

CZANTORJA

I POZOSTAŁE PISMA LITERACKIE



301

CZANTORJA



WŁADYSŁAW ORKAN

DZIEŁA

POD REDAKCJĄ:
STANISŁAWA PIGONIA

NAKŁAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA

WŁADYSŁAW ORKAN

CZANTORJA

I POZOSTAŁE PISMA
LITERACKIE



NAKLAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

1936

NAJCUDOWNIEJSZE...

NAJCUDOWNIEJSZE Z MOICH MARZEŃ
NI NAJŚĆ, NI UJĄĆ MI SIĘ DAJE —
ODBICIE W MGLE PRAGNIONYCH ZDARZEŃ,
W BAJKOWE UNOSZONYCH KRAJE.

PRÓŻNO WYCIĄGAM TĘSKNE DŁONIE
PO TO DALEKIE, MOJE, MGLISTE. —
RÓWNIE W PUSTYNI ZIMNEJ TONIE,
JAK TO, CO RZECZYWISTE...

CZANTORJA
OPOWIEŚĆ

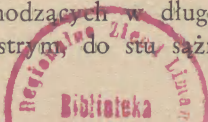


W S T Ę P

Opowieść niniejsza snuje się dookoła rozwidła gór, które wysokimi zboczami swych ramion obejmują zespad źródeł, jako i pierwszy rozpęd kwietnolicej, z połąki dwóch siestr śródleśnych urodzonej Wisły.

Nie mówimy o czasach pradrzewnych, kiedy góry te ogniem jeszcze nieugasłym dyszały w swem wnętrzu, a słońce przetaczało się nad nimi w oparach gęstych, czerwone, kiedy rosły tu nieznanne dzisiaj drzewiska, skrzypy wyniosłe jak maszty, paprocie w bujności rostu palmom rozłożystem równe (mówią nam o tem pokłady węgla głębokie), — a na górach tych żyli zaginieni w zmięczeniu odległych wieków wielgoludzie, o których dziś słuch jeno ledwo-majaczny się płacze. (Stał np. taki — mówi gadka — na jednym wierchu góry, a drugi na drugim. Dzielili ich szeroka roztoka-dolina. Ale cóż to dla obu wielgoludów było? Woła ten pierwszy: — „Janie! podaj mi kijanie!“ Tamten wyciąga nad doliną ramię i podaje mu na drugi wierch kijań, której ten potrzebował do łupania drzew.)

Wszystko pradrzewiej było przeogromniałe, olbrzymie. Z tego też czasu gadki chodzą, o jakichś jaszczurach strasznych, dochodzących w długości cielska, pokrytego pancerzem ostrym, do stu sążni; — o jakichś



rybach skrzydlatych, od których prześmigów gęstych słońce się w górze ciemniło, a mogących żyć równie łatwo tak na powietrzu jak na wodzie; — to o przetrwałym dłużej draku latającym, który wzburzał powietrze w swym locie, sprowadzając gwałtowne ulichy, a kiedy ponad las sunął, to taki wicher się robił, że parusetletnie drzewa gięło jak źdźbła i wykrocało z korzeniem, a szalasy z grubych płazów rozwalało jak sturmę z patyków. Różne potwory i dziwy ongiś tu bywały.

Niechaj to baśnie z podań odtwarzają.

My mówimy o czasie już pamięci ludzkiej, — ale kiedy jeszcze ród mnogi nie zalał roztok otwartych, kiedy jeszcze góry te pokrywał do cna bujny kozuch lasów, kiedy z chmurnej Baraniej staczały się ciemne zbocza jedli, ze Stożka spadały czernią zwarte regimenty smreków, z Bukowej aż do stóp ku Wiśle spływały szumne, rozłożyste buki, a z Równicy po spadach-terasach znosiły się falą kopuł ściśnionych jawory.

Nowsze już, opatrzone aż nadto oczom ludzkim drzewa, jako i znana od wieków zwierzyna (jako to: niedźwiedź, wilki, jelenie, lisy i t. d.) poza niezmierną podścielą rozmaitych floracyzn i traw zamieszkiwały ten obszar gorzecki.

Z dawnego, zmierzchłego czasu pozostały jeszcze leśne duchy, utopce, bandurki, jeleń o świetlanych rogach, no i złotogłowiec, strzegący skarbów pod Baranią. Z temi zjawami ludzie mieli jeszcze w pewnych momentach mrocznych różne dziwne wypadki i sprawy.

Lasy, jako się rzekło, różnodrzewne zalewały zbocza górskie i roztoczne wgłęby. Choć już kozuch ten

przeróżno-zielony linić się od góry począł. Siekiera i rąbanica powyrywały już czuby na wierchach. Odkryły się polany na szczytach, przełęczach i na wyżniejszych stopniach spadających zboczów.

Nowa to ręka przybylców te polany-wręby otworzyła. Z dawnych tu, rzadkich śród-puszczy mieszkańców, których dziadowie, bartnicy leśni, smołotopce, pamiętali jeszcze morawskie czasy Światopelka, powstał jeno, jak na świadectwo minionych złotych lat, ostatni, dożywający w smęcie swego wieku pod zachylą Baraniej, na Mrażnicy. Zwał się po rodzicu Morżoł, Jadam z imienia.

W ten bezpański prawie rozgór leśny przyszli skądś ze wschodniej strony, od Karpatów, idący pasterskim szlakiem wołoscy bacowie hrubi z szałasami, i widząc paszy poddostatkiem, założyli czasowe bacówki po wierchach, jak na Stożku, Beskidku, Kiczorze, Skalistym itd., a gdzieniedzie poniżej tych, na tarasach dogodnych zboczów, nawet i stałe osiedla.

Zakładali je, jak zwyczaj, na prawie wołoskiem, to znaczy, mieli przywilej karczowania, odsłaniania polan, poboru drzewa na budulec, jako i na opał, i prawo paszy ślebodnej, ograniczone jeno zasięgiem szałasów sąsiednich, — za co, podług umowy, dostarczać mieli do komory cieszyńskiego Księcia (jako z łaski bożej pana tych wszystkich leśnogór) pewną ilość wełny z owiec, sera suchego i bryndzy. Podług tegoż prawa mieli swego wojwodę, który łądził sprawy międzyszałaśne.

Więc prawie niezależnymi gazdami zajętych obszarów byli bacowie owi hrubi, jako i mniej hrubsi. Polany

rozszerzali, aby siano mieć na paszę zimą, utwierdzali palami osiedla, aby się od wichrów chronić, gdzieniegdzie wręby pokopali i siali owies lub żyto. Gazdowstwo tak gruntowane z ojca na syna przechodziło, stawało się przez przebieg lat, przez prawo używania, własne.

Dobrze się działo w tych górach onym niedawnym przybyszom. Poczuli się, jakby oddawna tu byli. I nie myśleli szukać paszy dalej. Co rok osiedle nowe trwale na zboczu którymś wyrastało. Za biedniejszego był też uważany, który w statku miał sto, dwieście owiec. Byli, co mieli po pięćset i więcej: I obszaru na wypas, wiele okiem objął, — całe połaci lesiste i zbocza... Przestrono, jak przy zajmie stworzonego świata.

Lecz cóż człowiek... Niewielu ich na tych górach roztoczonych było, a już zdało im się ciasno. Jako oto dwom bacom, Ogieli i Czantorowi, przegrodzonym doliną Wisły, stojącym szalasami akurat naprzeciw siebie na Czantorji i Równicy.

Z ich to srogiej zawiści wzajemnej sprawa się wywija.

I

NA CZANTORJI I RÓWNICY

Na wierchu ostatnim wydłużonego na północ i obejmującego od zachodu Wisłę ramienia władnej nad onemi górami Baraniej stanął był szałasem trwałym, znalazłszy tu paszy wiele, z Karpat dalekich przybyły, możny dobytkiem mnogim, Jura Czantor.

I rozgazdował się na całej górze. Na przełęczy głównego wyniosłego grzbietu, niby na kalenicy ściętej olbrzymiego lesistego dachu, założył był owczarski szałas i bacówkę, gdzie też sam niezawodnem okiem gospodarskiem dozierał bawiącego letnią porą statku, a na niższym, opadłym przywierchu, na karczowisku osłoniętem od wiatrów zachodnich, zbudował stałe na zimę osiedle, którego nadzór przez letni czas pozostawiał żonie.

Od jego też imienia przezwano górę, przezeń zajętą, Czantorją. I to wyższy wierch Wielką, a opadły Małą Czantorją. Nie gniewał się cale o to, ba, nawet to jego dumie bacowskiej schlebiało. „Sam sobie baca władny na swojej tu górze — Czantor na Czantorji — niech się nikto ku niemu nie równa“.

Był to chłop hruby, tęgi, ogromnego rostu. Szóstej dziesiątki lat dochodził, a włosy czarne jak smoła nic

nie straciły z polery. Nosił je długie, we warkoczyki plecione, które spadały spływem koło szyi jak węże na ramiona. Twarz, o rysach wyraźnie ciętych, wygolona, zczerniała jak gdyby ją proch zbliiska osmalił, miała wyraz sama przez się osepliwie ponury. Gdy się uśmiechnął zrzadka, było to jakby białość zdziwiona wyjrzała szczeliną skrytą z pod zawiesi chmur. Choć w naturze, jak zwyczajnie mocni i zwaliści chłopci, usposobienia ponurego nie był.

Nosił się napół z juhaska: w koszuli lnianej o szerokich, otwartych rękawach, sprzączką mosiężną na pierśsiach spinanej, w portkach wełnianych białych, z węgierska krojonych, z parzenicami czarnymi; tylko pas miał bacowski, szeroki, witkami świecącemi misternie wybijany, i kapelusz liptowski, o dużych, zawiniętych strzechach. Przy czasie chłodu wkładał na się modą huculską robiony serdaczek z niezapuszczanej farbą, białej owczej skóry, włóczką w krzyżyki z brzegów wyszywany. Chazukę z czarnej wełny odziewał jeno od święta, to jest gdy szedł naprzykład na radę bacowską, albo z leśniczym książęcym miał sprawy.

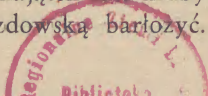
Osiedle, jak się rzekło, stało na karczowisku leśnem, które był Czantor przy pomocy syna i juhasów przez luźne dni jesieni i wiosen na pochyli słonecznej wyrobił, odkrywając dużą połąć ziemi dla uprawy zbóż. Darzył się owies, jęczmień, jak i dwuzimowe żyto, zwane w górach ikrzycą; ziemia bowiem, z próchnicy odwiecznego lasu, była do gruntu sprawiona. Osiedle było w otwarty czworobok zbudowane. Dom mieszkalny z okrągłych tramów, w zamek na węglach wiązany, miał izby dwie,

dymną i świetlicę, sień i komorę tylną dla schowu zapasów. Dach gontem kryty z łamanemi szczytami; odrzwia, niby w dworzyszczu, kołkami wybijane. Stodoła i okół na siano stały pod kątem prostym od frontu po prawej stronie izbiszcza, a stajnia na bydło i owczarnia długa zamykały obejście od lewa.

Latem stały tu tylko krowy i cielęta. Zawiadywała o nich, jak i o reszcie osiedlowego dobytku, Czantorowa, przy pomocy dwojga młodszych, lecz sprawnych już dzieci, Zofki i Pietrzka. Krowy pasła Zofka, a jałowicę Pietrek. Owce i woły były na szafasie. Tam też ciążyła latem cała gospodarcza waga.

Szałas na Czantorji składał się, jako zwyczajnie: z koleby, o wnętrzu dymnem, otwartem ku bantom, bez powały, z wiecznem ogniskiem na ziemi, nad którem kocioł na kuli zwieszony o bacowskim świadczył interesie; z dostawionej pozatem i napół przedzielonej deskami komory, dla schowu wyrobionego sera i dla spania; dalej z dużego, przenośnego (ustawionego na polanie) z plecionych krzesel dla owiec koszaru, ze strągwią grodzoną przytem dla podoju; wreszcie ze zwyczajnego z żerdzi koszaru na woły.

W szafasie swym rachował Czantor pięćset dojek-owiec i siedmdziesiąt jarek; kierdel wielki, który sześciu juhasów rosłych, nie ułomków, z posługą wartkiego psa-owczarza dniem-nocą pilnowało. Miał też cztery woły duże, z węgierskiej (z puszt cisańskich) siwej rasy, i jedną parę mniejszych. Dodać do tego bydło, co się przy osiedlu pasło, — majątek cale hruby. Miał też czem od świtania głowę gazdowską barłozyc. Dużą wyręką



w przyzieraniu był mu syn najstarszy, Jano, który poza-tem pasał woły na przerzedziach leśnych.

Był to junak dorodny, o twarzy ściągłej, orlej, w wyroście śmigły, strzelisty jak smrek. Weselem młodości dufnej napelniał, gdy się zjawiał, szalas, — wszyscy go radzi widzieli, a i posłuch miał u juhasów wszystkich, bowiem siłą nikt mu w zapasach nie zdzierzył. Daleko już po innych szalasach hyr o tych jego przewagach się głosił. Radością też był i dumą ojcowskiego serca. Jano, w czem chciał, to ojca mógł przewieść. Czantor kochał go prawdziwie. Jedna tylko była kolka, gdzie ojciec tykać się nie dał. Ale to już dalej się z toku powieści wywinie.

Zatem, jako widzimy, dobrze się Jurze Czantorowi wiodło. Z trojga dzieci miał już niemalą wyrękę i radość, — żona go godnie w osiedlu zastępowała; co do przychowu w statku, jak i wypasanego przez szalas obszaru, był bez chyby, najhrubszym na tych górach gazdą.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie jeden oścień urażliwy, który mu kolcami w sumieniu tkwił. Gdyby oto nie wróg-sąsiad naprzeciw niego, na Równicy. Ten mu spokojność odbierał i burzył w nim krew.

On to, zdraziec Ogiela, zapuszczał się szalasem na jego prawem umowy objęte terytorjum, a gdy — było — nakazał Czantor juhasom swym szalas zegnać, juhasi Ogielowi (napewno z ponuki jego) do bitki się do onych brali. On to szkody mu różne w statku z pomocą czarów wyrządzał; za jego to, nie kogo inszego, sprawą zmarniło mu się w łońskim roku siedem jarek-owiec, a na jesieni krowa się dojna sterała. A już najgorsze to, że —

jak Filas mu donosił — natrzęsał się Ogiela szydnie z ba-costwa jego, Czantora, i dużo przytem szpetnych słów o nim samym miał wyrzec.

To też ile razy Czantor wzrok ku Równicy skiero-wał, — a często musiał na nią patrzeć, mając ją naprze-ciw oczu, — to zawdy wstrząsał się cały kipiącą we wnętrzu złością, gniewem się w ciemnym obliczu zaogniał, pięść ocieżyła dźwigał i złością dławione słowa z przy-gniotu piersi wyrzucal:

— Poczkaaj, okpisiu, zrajco, zazdrośniku!... Będziesz ty na cudze hleđał!... Zjesz mi ty djasków, aj zjesz!

Ktoś, słyszając te częste klęcia i pomstliwe pogróżki Czantora, mógłby snadnie pomyśleć, że naprzeciw niego nie sąsiad-baca, jak insi, ba, chyba sam kumoter djabła w postaci bacy zatajony siedzi.

W rzeczy Ogiela Paweł, „Równiczana“, — bo takie było jego pełne miano, — stojący szaląsem dużym na wschodniem obramieniu Wisły, na Równicy, nie miał wcale wyglądu groźnego. Był to, w przeciwieństwie do Czantora, chłop suchy, szczupły, o mniej niż średnim wyroście, i w twarzy jego chuderlawej nic się z odbicia piekła nie tajiło. Tyle że wargi wąskie, mocno zaciśnięte, jako i szaro połyskliwe oczy, mogły świadczyć o tkwiącej w dnie natury jego — jeśli ją wywołać czem — sro-giej zaciętości. Zwyczajnie łagodnego był usposobienia, a dla tych, kogo rad miał, zwłaszcza dla córki swojej, Hany, jedynaczki, pociechy jego samotnego życia, miał miękkie nawet słowa i spojrzenia.

Bo wdowcem był Ogiela. Pasierbów dwóch po żonie nieboszczce niebardzo rad był widział; dali się mu bo-

wiem krnąbrnością swoją we znaki i nie umieli go za serce ująć. Zdegradował ich też, kiedy podrośli, na juhasów i tak ich samo jak pasterzy, a nawet ostrzej, traktował. Słuchać, mrużąc po cichu, musieli, bo bacowską powagę, choć niski, umiał wysoko nosić.

Bacą był niebylejakiem. Cóż ku niemu mogli równać się, choć też bacowie niepośledni, taki na przykład Pilch na Skale, Bulanda na Stożku lub Filas na Kubalonce. Miał czterysta owiec w statku, kóz trzydzieści, krów siedm i jałowizny sztuk piętnaście. Miał polan trawiających kilka, bo wierch siedlisty Równicy (jak sama jej nazwa mówi) nadawał się bardzo do karczunku. Stał kolebą i koszarem na samem wchyleniu siodła. — Krowy pasła Hana na niższych upadach, a z owcami chodziło juhasów pięciu po wszystkich rozległych zboczach, zniżając się aż ku stopom Wisły.

Całą tę rozdłużoną górę miał w swej władzie bacowskiej Ogiela i—jak rzeczony Czantor Jura na przeciwko-
ległej Czantorji — tak on był całym gazdą władnym na Równicy.

Mimo to nie miał spokojnych godzin żywota. Psuł mu je właśnie on sąsiad z przeciwka. Przez niego to, dość chudy, mizerniał bardziej i sechł, — on to, jak zmora wisząca ponad nim, pił jego krew.

To też, gdy kto przy nim wymówił imię Czantora, wstrząsał się cały, zieleniał, i w oczach szarych, przymglonych, zaświecały się stalowe błyski.

— Czantor!... — przeżuwał w gniewie. — Pycha djabelska..., duma... On pierwszy — nade wszystkich! Bo jakże!... On jeden... nie dałby drugiemu koło siebie

żyć. Ale poczkaaj, nie wierchuj! Mogę ja ci jeszcze sprawić, że zmalejesz...

Słuchający wierzyli święcie, że s p r a w i ć może. Bacom różne tajemne są znane sposoby, o których nieświadomi nie wiedzą.

Skąd ta nienawiść między dwoma najbogatszymi bacami powstała, nikto dobrze nie wiedział. Być może, stąd, że najbliższymi sobie byli sąsiadami. Ci, którzy niedaleko nich mieli baczki, mówili, że poszło im naprzódy o paszę, gdy juhasi ich, nie dbając wieldze o ustanowę granic, zapuszczali się kiertelami w ubocze naprzeciwległe. Stąd spory, waśnie, które latami się ciągnęły. Czantor dumny, Ogiela zacięty — nie mogli się nijako pogodzić. Patrzeli przytem jeden na bogactwo rosnące drugiego, — i zawiść w ich sercach, już zagniewanych, rosła. Do tego dołączało się, co już łacwo, insze. Gdy naprzykład któremu coś ze statku zmarniło się, padło, — posądzał o tę szkodę — kogóż? — przeciwnika. I tak to już głębiła się pomiędzy nimi ta roztoka, która ich państwa-obszary dzieliła. Aże stanęła między oboma nienawiść, która też w czasie, o którym ninie jest mowa, przeszła we walkę zaciętą. Natura sama jakby tej walce sprzyjała.

II

S Ł O T A

Słota nasza na góry wiślańskie w czerwcowe dni. — Skądś z północy zachodniej, od morza, od strony Ostrawicy i starośląskiej Olzy nadciągając poczęły skłębieniami nisko owisłe zwały chmur — jedna nieciecz za drugą — i napotkawszy wyniosłe wierszyska, oparły się ociężałe na nich, a znova nadpływające, nie mogąc się w zbittej masie przywierzchniej pomieścić, jęły się poniżać wełną, sunąć w ciasnocie szarej popod górną powalną owisną, zesuwać się wdół kudłate po lesistych zboczach i zalewać mgłą gęstą doliny. — Niedługie minęły chwile, gdy świat górski zatonął do ostatniej głębiny w tej mra-
ce. Stracił się, zczezł, jakby czarami połknięty.

Naokół człeka na sążeń nie dało się nic oczom uświadczyć. Wszystek kształt w szarej łonił się topieli. Pogłosy nawet tłumily się, jakby owijane wełną. — Gęstwia mgły przesuwiała się zwolna po ziemi, szukając jakby dla swej bezcielesności widmowej niewiadomego oparcia. A gdy znalazła je, zdałoby się, w jakim zbo-
czu urwistem, czy to ścianie leśnej, przenikała je swą szarą jawą, niby jakiś majak rzeczy, i szła szukaniem dalej. Było też — w zapadach gdzieś matecznych, w ci-
szynach — że wstrzymała się w zastygłej arfie bezwie-

trza i oparła się nieruchomo na strunach ciszy. Drgnienie nie przeszło przez jej bezkształt szary. Wisiała martwo ponad ziemią bez dźwięku kropli.

Trwało tak wszystko w tym suchym zalewie przez dwie doby czy dłużej. W pewnym czasie, — bo trudno było w tym stanie ranek od śródwieczera odróżnić — poczęło ze mgły nieznacznie mżyć wilgocią i rosić. Wkrótce to przeszło w słyszalne już, szemrzące — po liściach, szpilkach, trawach — romolenie, aż i nadobre z nawiesi mgły poczęło siąpić. Gęsta, uporczywa mokrość, przez drobne jakby sito przesiewana, osiadała na ziemi, na drzewach, przeimając wszystko żywotne, przenikając przez najhrubsze zaploty gałęzi. Z ociężałej, przesiąkłej wilgocią cetyny spadały grube krople na przyziem omszałą — i niebawem dno leśne o suchej jeszcze podścieli do cna we warstwie piarzystej zamokło.

Jakoby jeszcze mało tego było. Dźwignęły się zciężałe mgły z kotliny z nad spadu Wisły, nassane do syta wodą — przewiew popod nie, jak zgarbiony pod worem planetnik, przeciągnął — poczęło deszczem nieprzystannie siec, zacinać, kwasić i rozgniliła się naiste dokumentna słota.

Przygnębienie przysiadło wszystko stworzenie żyjące. Trawy ławą poległy w płaszczu rosy — las się zmilkłemi, do kory przemokłemi drzewami zasepił — zwierzyna wszelka pokryła się, pochowała w suszynnych zachronach, po gąszczach, jamach i dziuplach; tam, osowiła, tkwiła, czekając powrotu słońka.

A najdotkliwiej przygniot słoty szalasy odczuły. — Owce snuły się z biedą po zboczach zamglonych, mniej



się pasąc niż włóczęąc tutkami po rosie, ociążałe mokrą wełną, osędziałe, smutne, — niby widma zginionych w nieszczęściu kierdeli, — a spędzone na noc czy przy-połuń do odkrytego ku niebu koszar, deszczem zgóry sieczone, zziębnięte, zbijały się gromadą całą w ciasną ławę, że trudno je było do podoju pojedynką od masy oderwać.

I juhasom w tej kwaśbie cale nie lżej było. Pasterzowanie mieli znacznie uciążliwsze, bowiem baczyć musieli uważnie, by się owce z kierdelu w mgłę nie potraciły, — przytem łażąc wciąż po deszczu, po przerzedziach, ku chmurom otwartych, czy popod gorszym jeszcze ociekami drzew, — nurzając się po trawskach wysokich, po gęstwiach mokrych, floracznach, przemokli byli każdego dnia do ostatniej wełny. Dopiero wieczór przy ogniu w kolebie mogli się nieco osuszyć. — Łacwiej już bacom przy szalacie czas rośny upływał, choć i im psota nieprzestanna dużo dokuczyla; do tego turbacja o statek mizerniejący sępiła ich od dymu zczerniałe oblicza.

Mijały tak dni za dniami, jednakie, szare, uprzykrzone. Słota nie zdawała się mieć woli ustąpienia. Co się od ziemi nieco chmurny przysiad podniósł, przesiew jaśniejszy przeniknął powalę szarą, — że widziało się, już się rozerwie mroczość, rozpogodzi, — gdy znova zaczęły się wysnuwać mgły z lasów, potoków, rósć szybko w tumany wielkie, w skłębieniska, roznosić się po uboczach i zatapiać szarą masą jeden widok odkryty po drugim. Małe chwile uszły, a już w mrace traciło się wszystko.

Ludzie też ninie tkwiący po szafasach czuli się w tej zatoni mgławej jakby istnie zagubieni za deskami światła. Wieści znikąd ich nie dochodziły. Mało kto kogo w tym czasie nawiedzał. Skupiali się sami w przypołudniowy czas, czy wieczorem przy wiatrze w kolebie, pogwarzując między sobą o skąpych zdarzeniach dnia, to prorokując podług różnych znaków, jak długo jeszcze słota potrwa.

Tak jednego przypołudnia zgromadzili się Czantorowi ludzie koło ogniska w kolebie. Juhasi — zmokli — obsiedli dookoła wiatrę, susząc odzienie na sobie. Dymło z nich niby z zatłonych jałowców. Dym też wysnuwał się z ogniska, z niesuchych karkulców, i roznosił się górą po kolebie, a nie mogąc ujść rychło przez szczeliny dachu, wilgocią słotną wracany, zwisał pamłoką żrącą do pół zrębu.

Jano pół-leżał opodal ognia na ławie, z głową na dłoni opartą, patrząc nie patrząc przez szare światło drzwi ku koszarowi, który majaczył w dali na polanie za ścianą mgły. Czantor sam kończył obrzęd odwarzania sera, czerpiąc warzechą z odstawionego kotła białe grudki i zbijając je w oszczypne formy.

Kiedyniekiedy w tem leniwem osępieniu słotnem przegwarzali siedzący do siebie. Gwara była o owcach dwóch, które się wczora straciły. Już tę stratę przebolano, jeno dookoła przydarzenia tego snuły się różne domysły.

— Ka się howiedy zagubić mogły, — zastanawiał się starszy juhas, — kie my po wertepach zdradliwych nie

paśli. W uboczach przeca zrady nima... Ani dźwierz ich nie napadł, bo pies wartliwy by poczuł...

— Wilki się w tych czasach nie kręcą, — poparł drugi, — a i niedźwiedź trzyma się wyżnych przecho-dów, Baraniej; dawno tu o nim w tej stronie znaki nie świadczyły.

— Ka się zapodzieć mogły? — głowili się w domys-łach juhasi.

— Ba! Słota — ziewnął Jano. — Łacwo mogły się w tej biedzie odstrychnąć same od kierdela i przyostać gdzieś w gęstwi.

— Dyc my szukali wszędzie — odparł starszy, — i z szałasem poszli my dziś umyśnie w tę stronę, ka owce wczora się pały. Myślimy — jakby ka ostały, to do kierdela ściągna, — n'ale nic, ani ślaku-znaku, jakby pod ziemię zapadły.

— Słota, nie słota — mruknął gniewnie Czantor. — Ono się tu wyjawi... A każ Ogielowi paśli? — zagadnął juhasów. — Słyszeliście?...

— Hukali po hańtej stronie, n'ale trudno było przeze mgłę zmiarkować, ka się z kierdelem niesą...

— Ino dejcie na nich poziór! — przykazał ostro.

— Dyc zawdy się wie... — uspokoili.

Po chwili jakiejś znowu któryś sprawę rozważaną podjął.

— Powiada Jano: mogły się odstrychnąć... N'ale owca ma też rozum swój, od kierdela nie idzie, trzyma się go, cheba jak ją co postracha...

— O strach pode mgłą łatwo. Są i zmamuny różne, co się rade podczas słoty snują. (Baczycie, jak to łoni

Filasa wodziło?). Człeka zmamić potrafią, a nie to tę owcę...

— Coby nie... Różne są złośliwe stwory, co rade człeka na stratę przywodzą.

— Stwory, nie stwory — mruknął znowu Czantor.— Uż ja wiem, czyja to sprawka... ale poczkaj! — pogroził.

Pojrzeli nań zciekawieni, co powie, choć byli świadomi. A gdy baca nie miał woli nic więcej rzec, poczęli dalej w domysłach, we wątpliwościach się nurzać...

— Nieraz przytrafi się — począł najmłodszy z juhasów, — że ani człek nie wie sam, co mniemać, jakby go zmysły odeszły. Zdarzyło się raz tak, kiedych pierwszy rok na Kiczorze z Walkiem juhasował. Paślimy w uboczy i pod wieczór ześlimy z owcami nad potok, nad urwisko. Po deszczu było, z góry pogodnie. Naraz zadymilo się z potoku, wyszła mgła z urwiska, i — co powiecie — w oczach naszych połknęła pięć owiec, co się nad krawędzią pały. Mgła się wnetki podniosła, a owiec — rozstąp się ziemio — ani śladu. Dwóch nas na to patrzyło.

— To był duch ziemny, nie mgła — orzekł z przekonaniem starszy.

— Może i tak być...

— Płanetnicy też potrafią... a czasu burzy lebo słoty mają osobiwie walor. Ho! umieją i oni figła spletać.

— — — — —
W pewnym momencie wyłoniła się ze mgły postać ciemna, zdążając ku drzwiom koleby. Juhasi ku drzwiom odwrócili oczy.

— Zaś coś nowego będzie... Filas idzie.

— Pochwalony! — wpadło.

— Na wieki — niedbale odrzekli.

We drzwiach stanął człek średni, w bacowskim przystroju. Nim wszedł, oczy ruchliwe obiegły naprzód całe wnętrze, zatrzymując się przy pracy Czantora.

— Szczęść Boże! — rzekł.

— Dej Boże... Skądże to?

— Z Równicy idę — przystąpił do środka.

— Hm... — zachmurzył się Czantor. — Cóż tam?...

— Haw góra na was duża.

Czantor odłożył warzęchę, pojrzał nań wyczekująco.

— Trzy owce się Ogieli zmarniły — ciągnął Filas — i na was o to skarga.

— Niechże on mnie nie napala... — warknął Czantor.

— Ja mu też perswaduję, jak mogę, że przy takim czasie o wypadek nie trudno, bo i mnie haw samemu dwoje jagniąt się styrało, a co będę... Ale na nic, ani przytykać se nie da, ino twierdzi: — Czantor i Czantor tu winien...

— Zjadł on djabła!...

— Jego to — powiada — sprawka...

— Nie słuchajcież bałachwastów — zwrócił się do ojca Jano.

— Dy nie słuchaj... Ty zawdy bieresz go w obronę... a to zrajca wierutny! Dość, że ci szkodę wyrządzi, to jeszcze cię napala...

— Odgrażał się też — dodał Filas — że podwójnie na was stratę weźmie.

— Niech weźmie, czarci usługnik! Już wziął jedną... Ale niech poczka!... Wszystko się to z nadkładem odpłaci.

Filas przeziębłe dłonie tarł, oczy latające z niepokojem przenosił z twarzy na twarz.

— Czas wyganiać! — wstał Jano. — Co tu będzie...

Podnieśli się za nim i juhasi i pobrawszy swój przystrój, ruszyli.

— Pilnujcie dobrze statku — rzucił za nimi Czantor. I jakich wam przykazał: na tych złodziei dawać poziór!...

— No dyć! — odmrukli. A do siebie:

— Djascy nadnieśli tego podżegacza... Dość już piekła, to jeszcze podpali...

— Jakbych go tak ka w lesie!... — pogroził któryś.

— Wart byłby basarunku.

— Taką cienką habiną a mocną, żeby poczuł...

— Ono mu się kie zwartnie, ujrzycie!...

Doszli do koszar i jęli wypuszczać owce. Jano tymczasem wywarł woły.

Mgła tkwiła do samej ziemi. Siąpiło z niej bez przerwy jak z drobnego przetaka. Wnet też juhasi przepadli za ścianą szarą, pohukiwanie jeno i dzwonki owiec świadczyły, w której się znajdują stronie.

Jano z wołmi zadał się w ubocz ległą naprzeciw Równicy. Poniósł się, idąc pasęcy, ku dolinie. Miał w tem pasterskie swoje rachowanie i spodziewał się, że tu prędzej go dolecieć może cienki z tamtej strony od-



zew, który sercu jest jak rajskie wonie. Przystawał też szmerzyć się chodem po trawie, nasłuchiwał. Ale jeno stłumione mgłą hukania juhasów dolatywały od strony Równicy, — głosu ozwodnego Hany nie słyhać było.

— Kanyndziej musi paść, abo nie wygnała — tłumaczył zawiedzionemu spodziewaniu swemu. Czepiał się myślą tego, owego... Nic lżej mu przeto w sercu nie było.

— By choć jej głos zdaleka...

Już to drugie idzie lato, odkąd musi o niej myśleć, — od tej to pamiętnej chwili, jak spotkał ją na potoku Wisły, po kamieniach w obryzgu pian na tę tu stronę przechodzącą. Mniemał zrazu, że boginka. Aż się z sobą poznali. Cóż, — jak chmura nad tą ich skłonnością i przychylnością serc wisi nienawiść wzajemna ich ojców. Przez to, — choć serca ich rwą się ku sobie, — muszą się za przyczyną swych ojców unikać. Tyle co śpiewaniem ku sobie zdaleka bez powietrze mogą porozmawiać.

Nieraz starał się ojca swego przewieść... nie dało się. To samo Hana.

Nadzieją się krzepili, że ta nierozumna nienawiść przygaśnie i że zwali się ta ściana między niemi. Ale, jak snadnie ze wszystkiego uznać, nie ma się cale ku temu. Co się któremu z baców zdarzy jaka szkoda, — bo bez tego nigdy nie jest, coby się co nie przytrafiło, — to drugi musi być winien.

Ciągle i ojcu się wydaje, że Ogielowi juhasi za jego ponuką wypasają zbocza Czantorji. I co jemu w szalecie przydarzy się złego, to przyczynę na Ogielę składa. To samo robi Ogiela ze swojej strony. Nienawiść sama poddaje, a djabeł rad podpowiada. Jego to przeca żni-

wo. Jak sam nie może, to kumotra pośle. Jak i ten Filas...

Na przypomnienie tej jego gęby fałszywej gniew nim zatrzęsł.

— Żebych tak na ojca nie był uważował, pokazał-
bych mu, ka się wraca...

Przeznał już Jano zdawna jego zamysł. Chce on syna, Jędrycha, ożenić z Haną. Ogielowy majątek mu pachnie! A tu się obawia, żeby się Czantorja z Równicą nie pojednały, boby się mu to zmełło... Z tego to przyczynia się do pogłębienia waśni. I dużo może judzeniem podpalić...

— Jak i ninie... Dość ojciec już posądział o te dwie owce Ogiele, to ten go utwierdzi w tem. I rób, co chcesz, nie przekonasz. Bo lepiej czartu dawać wiarę...

Rozżalił się w swej bezradzie, choć ani mógł przeczuć, że się ta wiara nieszczęsna przez rychły jeszcze przypadek pogłębi...

Śródwieczerz w tem zadumieniu minął jak niebyły i zmierzch pode mgłą następował wartko. Gdy Jano z wołmi na polanę wyszedł, — juhasi już zaganiali owce do koszara.

Stał przy nich sam Czantor i dozierał rachowania. Co setkę wpędzili, to znaczył karbem na kosturze. Przy liczeniu ostatka — wybuchnął:

— Cóż to, do kroćset!... Chybia znowu dwóch dojek!
Juhasi się zatrwożyli.

— Cheba myłka być musi...

Przybliżył się i Jano.

— Sprawdzimy.

Poczęli liczyć od początku, zrachowane wpędzali do przegrody. Czantor sam rachował głośno: „Dziesięć, dwadzieścia...” do setki, którą karbował na kiju. Przy ostatku sprawdzili, że istnieje dwóch chybia.

— Cóżby to mogło się stać?... dyć my na krok nie odstępowali — sprawiali się juhasi.

— Już ja wiem, co o tem myśleć, — zamknął ich gwarę Czantor. — Zaprzec koszar i do wieczerze! — kazał.

Wartko się zawinęli, zadziwieni, że tak spokojnie przyjął baca tę stratę. Jeno, gdy ku kolebie szli, i Jano rzekł:

— Zwyczajnie, czasu słoty gadzina się tyra...

— Ty mi nie gwarz o słocie — wybuchnął. — Tego to sprawa, co z czartem narabia... Ale on mi to zapłaci! — pogroził przez mgłę ku Równicy.

Wiedzieli wszyscy, o kim mówi. Milczeli. Ciężej tylko uczyniło się w sumieniach... Juhasi już woleliby, by im baca tę stratę wytrącił z zasługi, ale samym im tę myśl nijako podsuwać. Może się to przecie rozerwie kiedy, jak i ta mgła...

W kolebie nikt już o tę sprawę nie potrącał. Czantor ciężył nad nimi jak chmura. Powieczerzali w milczeniu i juhasi obsiedli znów watrę, by się osuszyć przy ogniu. Zapoczynali gwarę o tem, to o owem, ale im nie szła jakoś. Więc pocichli i wpatrzni w ogień słuchali trzasku jedlowych karkulców. Wieczór wilgotny ze mgłą pchał się z pola do wnętrza...

Zaszmerzyło coś za progiem, — oczy strwożone juhasów zwróciły się ku drzwiom.

— Cóżby to o tym czasie...

Zamajaczyła we drzwiach ciemna postać.

— Morzoł... czy jego duch?

— Sława Bogu! — wleciało.

— Na wieki! — odetchnęli. — On istnieje.

— Prosimy dalej — ozwał się z głębi dymu Czantor.

Juhasi się pocofali, robiąc przy ogniu miejsce. A Jano podsunął gościowi stołek niski, samorodny, o trzech gałęźnych nogach.

Gość, którego Morzołem ozwano, przywitawszy się z wszystkimi, usiadł koło watry. Chwilę dyszał, wodząc przymglonemi oczyma po zebranych, wreszcie rzekł:

— Cóż tu u was, kochani ludkowie?...

— E, nic ta takiego — pokrył starszy juhas. — Zwyczajnie, jak w czas psoty...

— Już się wszystkim uprzykrzyło — przydał drugi.

— Tak, wej, tak... — przytwierdził spokojnie gość. — Jeszcze onoć pół biedy, moi mieli, jak ludzi kilkoro razem, jak jest do kogo żywe słowo przerzec. Ale jak haw mnie samemu... Dzień rokiem się widzi, zecnąć się chce... To też dumam: przejdę się ku Czantorji...

— Nikt was nie nawiedza?...

— Nawiedzają mnie czasem nieboszczyki, rówieśni moi, abo ich ojcowie. Już to odległe lata, kiedy poumierali. Śmierć o mnie ino jakoś zabaczyła, abo jej się ta nie chce po jeden zewłok stermać ku Mrażnicy...

Czantor położył przed nim na desce duży glon świeżego sera i podał mu w czerpaku wieczorną z kotła odwarę.

— Posilcie się...

— Bóg zapłać! — dziękował, przejmując ucho czerpaka. — Niech wam zawdy obfitość w udoju się darzy...

Serbał zwolna gorącą zentycę, szklenia ocz gdzieś daleko patrząc, poza światy.

Był to człek istnie mocno wiekiem dawny. I przyodziej też na nim była staroświecka. Miał na sobie koszulę pacześną, pod grdyką dla ślebodnego oddechu otwartą, sprzączką na grudach spiętą; na tem serdaczek bez rękawów, kiedyś czerwony, o resztkach dziwnie ładnego wyszycia i wyleniałej po brzegach opuszce.

Najwięcej juhasów ciekawiła czapa, którą nosił zimamoto, o kształcie hełmistym, z zausznicami zawiniętymi dogóry, w gwiazdę do czuba sukniem wielobarwnem, mocno już spelzłem, pokryta. Z pod czapy tej kosmy rzadkie nie siwych już, ale zzieleniałych od starości włosów plezły się po ciemnej szyi. Twarz spalona wichrem i zimami, zieleniła się też mchem po brodzie, dawno nie skrobanej brzytwą. — Istnie, kiedy tak spoczywał przy wiatrze, dymiąc wilgocią przesiąkniętą, zrudziałą odzieżą, zdał się jako pniak wiekiem omszały, zatłony od ogniska.

Juhasi pozierali nań jako na człeka drzewnych, niewiadomych czasów, z obawnym trochę szacunkiem. Zawdy przecie radzi go widzieli, bo kiedy przyszła nań chwila, opowiadać umiał dziwy o różnych cudach świata. Znał on sprawy, które są ludzkiej wiedzy skryte, jakby tam na Mrażnicy prawdziwie z duchami znajomość miał. Słuchałoby się noc i dzień, kiedy miał ino wolę prawić. Dumali teraz:

— Kieby zechciał... Rozpłoszylby hnet ten przygniot,

co wypadkiem onym na nich zeszedł, i bacia przestałby może myśleć o Ogieli.

Tedy, aby go wewieść niepoznacznie w gwarę, starszy juhas, mrugnąwszy chytrze ku kompanom, zwrócony doń zapoczął:

— Założyli się haw ze mną Jurko Wichrzaty i Walek, że pλανetnicy, kie zechcą, potrafią ludziom figla niejednego spletać. Ja twierdzę, że nie, — nie ich walor. A co wy, chresny ojcze, powiecie?...

Morżoł popatrzał szklenią oczu na pytającego i po momencie, jakby uwagą zdaleka powrócił, odrzekł:

— Hm, pλανetnicy?... Tak, tak... Mają oni swoje sprawy chmurne. Do ludzkich nieradzi się mieszają. Burza, grad, ulewa, ślota, — to ich powietrzna praca. Niby-praca, lbo zdaje się, jakby się przy tem kosmacze bawili... Kapryśni są, — i w gruncie niewiada, o co im idzie. Nieraz się, bywa, zesrożą, skołtunią, niby na groźną zapowiedź się zniesą, a potem się wożą jeno z pomrukiem po ścieli chmur, rzekłbyś: — jak młode niedźwiadki. Abo jak ninie: rozpuścili wory swoje z wilgotną mgłą, zadymili wszystkie zbocza, wgłąby i roztocki, — sami posiedli na wierchach i drzemią. Tak może trwać tydzień i trzy, aż im się uprzykrzy...

Ożywił się sam opowieścią swoją, — oczy od ognia przybrały odbłasku. Dłoń prawą uniośł wgórę:

— Ulewy i drak sprawiać może — owieścił.

— Co powiadacie?... — zdziwili się juhasi.

— Nie sam z siebie, ba, przez moc czarnoksiężnika, co go jak konia dosiada. Czarnoksiężnik snuje się po

górach, z pozioru — ktoby go napotkał — jak człek zwyczajny, wandrownik.

— Zda mi się, żech takiego widział — chełpił się Jurko Wichrowaty.

— Ino tem się odróżnia, że nosi z sobą grubą książkę, co je białemi literami na czarnym papierze drukowana. Nosi też zawdy uzdę na owego draka, około lewej ręki owiniętą. Nawiedza on kie-nie-kie bacówki w szałasach i prosi o czerpak mleka od czarnych owiec. Wypije, podziękuje i idzie dalej. Ale jakby go oszukali, jakby mu dali mieszanego albo od białych owiec, to wte bieda. Świstem przywołuje draka, zarzuca mu na łeb uzdę, do siada go, — wzbijają się w powietrze i taki wicher czynią, że koleby, koszary roznosi jak wióry, a smreka, jedle, by najhrubsze, z korzeniami wykróca. Nieraz do tego sprowadza grad i ulewy. Tak on się umie pomścić... Choć za dobre umie też dobrem odplacić...

Raz, było, jednego bacę, starego Jurygę z Gronia, co mu nie skąpił mleka społecznego z południowego udoju od czarnych owiec, zabrał ze sobą na draka i obwiózł go kęs świata. Pokazał mu zgóry Pragę, Wiedeń, Budę i insze spaniałe miasta. Cuda niestworzone Juryga uwi-dział. Odwiózł go też zpowrotem i zesadził przed kolebą. A całą tę drogę powietrzną odbyli w jedno przypołuń, zakiel juhasi owce w koszarze doili.

— To była jazda! — cudowali się juhasi i pasterze. Nawet Czantor głową pokiwał w zadziwie.

— Już jaby mu nie żałował, jakby się trafiło...

— Teraz go już pono nima, — wtrącił Jano.

— Kogo niby...

— Jako i draka...

Juhasi w Morżoła patrzeli, co powie. A on z powagą:

— Jest, chłopcze, jest, ino się nie okazuje.

— Ka on się chowa? — pytał ciekawy Walek.

— Zwyczajnie w trzęsawiskach, podmokłych jarugach, bo pali go we wnuku, to się musi chłodzić. Ale to jest powietrzny duch, nie ziemny.

— A bandurki?

— Te pod ziemią się kryją. Tam mają swoje pałace. Ukazują się zaś jako ogniki — w ómawą noc na młakach.

— Ja raz widział, — pochwalił się znów Jurko.

— No, niebardzo ono dobrze zbliśka się s niemi zejść. Umieją one być złośliwe. Podpatrzeć je zdala można, jak tańczą, jak się chybotają na powietrzu, jak się oddalają, to zbliżają ku sobie. Ale kie człowieka zoczą, to się zbiegają wszystkie, otaczają go, biorą w śrzodek koła — i już ich moc jest nad nim. Tańczą koło niego, śpiewają mu do ucha szydliwie, potrącają go, szczypią, różne pustoty z nim wyprawiają. A nieraz zwabią go na manowce, wewiodą w cierniaki, w barzynę i tam go drą i smykają, aż do białego rana.

— Jaby się im dał!... babom... — zhonorzył się Jurko.

— A jak ich telo, a tyś omamiony... — wyłożył Walek.

— Tak, tak... — przewieścił Morżoł. — Różne są duchy, złośliwe i psotne, ale najgorszy ten, co miana nima.

— Wtóryż-by to?

— Duch ziemny. Z tym się spotkać nie radzę...

— Co powiadacie?...

— Zwłaszcza, jak kto je ino z wody chrzcony, ten niech się go waruje!

— Był taki baca, Wiertnik, na Malince. Padło mu iść po jakiejś sprawie do Milówki. Wziął ze sobą juhasa, — a było to zimą, — śnieg prawie po pas, dotego zadymka. Nie uważając przeca na to, poszli. Juhas był nieduży, baca zaś, jak hań Czantor, chłop rostu ogrumnego, sielny. On też szedł pierwszy, drogę robił. Skoro przyszli na przełęcz za Baranią, — baca w zasep się osuwa. Powiada do juhasa: — Słabo mi! — Ten ujął go dźwigać, prosić: — Dy się trzymajcie jako!... — Na nic. Jakby go w ziemię co ciągło; — co się uniesie, to opada, niby ta glina bezkostna. A, widać, mocuje się, walczy z czemś, czego juhas nie mógł dojrzeć, — i coraz to więcej słabnie... Wreszcie upadł bez władzy. Duch ziemny go zwyciężył, — bo to on był...

Dziwnie niepewnie stało się siedzącym, — poprzy-suwali się bliżej watry, tworząc skupione koło.

— Tak, tak... — utwierdzał Morżoł. — Som jest duchy powietrzne, som ziemne, som i wodowe. A poza niemi rozmaite dziwostwory leśne; choć nie duchy, to ku nim trza je z natury rachować. Bywają brzyćkie jak czarty, choć też bywają i spaniałe, — jak on choćby złotogłowiec, co skarbów zaklętych strzeże.

— To ma być wąż...

— Wąż, hale jaki! Puchy ma złote koło głowy i koronę na głowie złocistą. Jakie ino spaniałości, to się je na nim widzi. Podanie dawne niesie, że pod Baranią mają być te skarby. W którym miejscu, — to już dziś

oznaki nima. Otwierają się w noc święta Sobótek, przy pełni, wtedy, kie paproć zakwita. Mówią, że się wtedy przesuszają. Ale nie każdy może zobaczyć. Godzien je widzieć ino pasterz, co się w te noc rodził, — ma dwadzieścia jedną wiosnę i jest w sercu swem niewinny jak dziecko. Może je oczyma oglądać, jak i samego złotogłowca, co ich pilnuje. Ino Boże uchowaj ruszyć co z nich... Choć pokusa jest wielka...

Raz był juhas młody, co go skusiło podnieść jeden świecący kamień. Schylił się — i w te razy padł martwy na miejscu, zabity oczami węża. Tam go nazajutrz znaleźli. Ale skarb się już głęboko zapadł. Ani śladu...

I różne podobne dziwy przewieścił im Morzoł, a oni kołem siedzieli przy wiatrze, patrząc w ogień, jakby w ów skarb otwarty, odbłaskiem ogniska rdzawieni, zaśłuchani, daleko myślą i uwagą od spraw dnia minionego odeszli...

Mgła wilgotna pchała się do wnętrza, walcząc z dymem, który przeze drzwi otwarte cisnął się znów do pola.



III

C Z A R Y

Słota trwała bez przerwy. Deszcz jeno zdrobniał, i stało się nieco jaśniej, jakby się miało mieć ku roz-pogodzie. Mgły, jakby już unudzone nieruchomem trwa-niem, poczęły zmieniać miejsce, przesuwać się nisko po-nad ziemią, przenosić się z jednej strony gór na drugą, przyczem odsłaniały się, jak przy zsuwaniu zasłony: to wyżnie czuby, to stoki lesiste zboczów, by za niedługą chwilę zakryć się znowu omraką.

Bacowie coraz częściej opuszczali dymne wnętrza ko-łeb i stawali poza okapem na widnej przestrzeni, by się rozejrzeć po zakrytem niebie: czy skąd pogoda nie świta.

Tak w jedno przedpołudnie wyszedł Czantor przed kolebę i obiegł wzrokiem naokół.

— Nic nie zwiastuje odmiany — uważył w doświad-czeniu swoim — mgły ino zmieniają miejsce. To na długie trwanie.

Poszedł po grzbiecie polany ku stronie wschodniej. Zawdy go ku stronie tej tajemnie coś, odpychając, z prze-mocną siłą pociąga. Tam myśli jego nienawistne lecą. Tam bowiem naprzeciw wznosi się owo, szydnie przed oczy dzień i noc stojące, Ogielowe państwo, Równica. Widzi

je dobrze, choć mgłą obecnie zakryte, jak je widzi wciąż, choć i oczy zamknięte. Każdy spad, każdy załom rysuje mu się w oczach tak wyraźnie, jakby je miał tuż w świetle naprzeciw. Nie sposób nijak zegnać z oczu tej nienawistnej jawy.

Stał na skraju szczytowej polany, za sprawą przechodzącej mgły rostem wynoszony ku onym dawnym wielgoludom, i przez skłąb zawały szarej patrzył ku Równicy. Chciałby przejrzeć, gdzie Ogielowi pasą. Zapewne — podejrzewał — korzystając z przesłony mgły, zapuszczają się szalasem w granice jego obszaru. Hukania swoich juhasów słyszał z uboczy padolnej. Ku Wiśle widać się spuścili. Słyszał i Jana; niedaleko pod wierchem się głosił...

— A tamtych ani słychu. Boją się ogłosem zdradzić. Kieby ich tak zejść znienacka!...

Dumał, czyby samemu spuścić się na wywiad w dolinę. Choć to kęs drogi uboczą, a trza udój poranny odwarzyć...

Miał już zawrócić ku kolebie, kiedy mgła przechodząca rozerwała się nad kotliną Wisły i otwarło się w szarym skłębie okno, przez które wyłonił się zielony stok Równicy. Na płacie odkrytym zobaczył owce. Było ich sztuk kilkanaście — białych i czarnych. Szły pod górę.

— Widać, skąd statek Ogielowy wraca: od Czantorji... Tam musieli hycle paść! — Któż ich pode mgłą upatrzy.

Przeżuwał w bezradzie złość.

— Cóż im zrobisz, jakeś nie zastał naocznie?... Ale

nie widać całego kierdela, może jeszcze na tej stronie...
Ej, dopaść ich!...

Już miał ruszyć wdół, rozpalony złością, kiedy okno zielone naprzeciw rozszerzyło się z nagłą ku górze — i zobaczył w uboczy kierdel Ogielowy, jak snuł się wskroś przerzedzi leśnej.

— Tam już są... Ale cóżby te owce na dole?...

Zniżył się oczyma ku nim. I nagle zatrzęsł się w zdumieniu. Poznał swoje jarki młode. One to, ani chybi! Idą prosto ku Ogielowym, jakby magnesem ciągnione. Widział to świat?...

— Jano! — huknął donośnie, aż się po zboczach rozległo.

— Ho, ho! — ozwało się zbliska.

Za moment Jano wyłonił się z lasu, podbiegł do ojca.

— Co nowego? — zapytał zdyszany.

— Patrz... widzisz? — wskazał Czantor ręką ku odkrytemu stokowi Równicy.

Jano spojrział za wskazaniem.

— Szalas Ogielów...

— A niżej?

— Owce jakieś...

— Poznajesz?

— Cheba oderwa od szalasu...

— Przypatrz się lepiej!

— Hm... — zastanowił się Jano. — Czyby to nasze jarki?...

— Nie czyje! Prościutko idą ku Ogielowym...

— Ale cóżby ich...

— Dyc się przypatrz. Teraz już cheba nie powiesz, że to nie czary.

Jano chciał coś na to rzec, lecz widząc ojca srodze napalonego, przemilczał.

— Leć mi wartko do juhasów, niech — rozkazał — je zawrócą, a ja się już z tym czartowym kumotrem rozprawię. Dobry to sposób przysparzać se majątności... I tamte nie inak poszły. Už wiada, kany je szukać.

Jano puścił się dołu, a Czantor stał jeszcze chwilę, patrząc w widok niebywały z pomrukiem pomstliwym — aż, gdy mgła przepływając zakryła okno zielone, zawrócił zwolna ku kolebie.

Skoro juhasi na południe kierdel przypędzony do koczara wganiiali, wyszedł sam ku nim.

— Wszystkie są?

— Mają być wszystkie.

— A jarki młode?

— Jest ich pięć i siedmdziesiąt. Siedmnaście się odstrychło, aleśmy ich zawrócili.

Z naciskiem spytał:

— Widzieliście?...

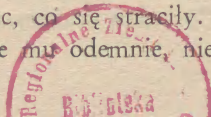
— Ba, hej! — przytaknęli.

A starszy juhas, chcąc zaniedbanie swe pokryć, w myśl Czantora przyświadczył:

— To už nie irsze, ino czary!

Kiedy poobiedowali, zwrócił się Czantor do juhasów i rzekł z bacową powagą:

— Pódziecie mi zaraz na Równicę i powiecie Ogieli, coby oddał te pięć owiec, co się straciły. Mnie on nie zmyli. — I zapowiedzcie mu odemnie, niech się więcej



szkody czynić nie waży. Bo ja na jego czary znajdę też sposób.

Juhasi, radzi nieradzi, powstali, zbierając się. Przewrócili serdaki kudłami nawierzch, do rąk wzięli ciupagi okute — nie wiada bowiem, jak ich tam przyjmą. Baca przy wyjściu zlustrował ich okiem.

— Ty Walek musisz drzewa na noc przystroić!

— A możeby ja z nimi... — wtrącił niepewnie Jano. Czantor pojrzał nań.

— Oni już we trzej sprawią, — rzekł twardo. — Ino tak zorendujcie, jakiech wam przykazał! — rzucił za nimi.

— No, dyć...

Godzina nie minęła, kiedy trzej posłowie wyszli na wierch Równicy. Ujrzeli koszar z owcami opodal, pobok kolebę dymiącą — bliżej szopę stajenną na krowy. Dawno tu noga ich nie stała. Niepewnie się też poczuli w środku nieprzyjacielskiego państwa.

Na chwilę przystanęli, rozglądając się z ciekawością po tyle słynnej polanie Ogieli. Poprawili kłobuczki na głowach, ścisnęli ciupagi okute w dłoniach i odważnie skierowali kroki w stronę szalaśnych zabudowań.

Kiedy mijali szopę, ujrzeli dziewczynę złotowłosą w progu. Poznali w niej odrazu córkę Ogieli, Hanę. Oczy pojaśniały im na jej widok. Idący przodem starszy juhas, pochwaliwszy przed nią Boga, uchylił kapelusza.

Odpowiedziała z uśmiechem, przyjaźnie:

— Ho! Cosi tam ważnego, kie was tu widzę.

— E, nic ta takiego — pokrył starszy juhas — bawowskie wiedno interesa...

Przystanęli. Dawno już z bliska nie widzieli niewieściej katanki, a przytem Hana miała wszystek urok, jaki się może juhasowi przyśnić. Twarzyczka jakby wykąpana w rosie, i te oczy śmiejące, i te włosy...

— Cóż mi się tak przyzieraacie? — rozśmiała się w głos.

— Hej, Boże!... — westchnęło się im.

— Cóż tam u was? — zagadła. — Co baca robi?

— Baca, jak baca — odrzekł starszy — i pewnie nie o niego ci chodzi!

— O kogóżby?...

— Wiemy, kto do kogo śpiewuje — przydał młodszy.

Hana zrumieniła się w licach, oczy śmiejące opuszczając.

— Jano chciał iść z nami, ale mu ociec nie dał — pojaśnił trzeci.

— Bez co?

— Ba! Możesz wiedzieć...

Uśmiech z jej twarzy zeszedł — posmutniała. Żal im się jej zrobiło. Coś chcieli jej miłego rzec, by znów uśmiech na twarz jej przywrócić, lecz nie wiedzieli co... Stali chwilę w milczeniu.

— Ociec doma? — zapytał któryś.

— Som w kolebie, byczka opatrują.

— Zwierz nam, Hana — przybliżył się starszy — czy ociec twój naprawdę umie poczarować?

— Skądby umieli?... Ale twierdzą, że Czantor ma umieć!

— Bajdki! My haw w miejscu, a nic sie nam nie dało zauważyć.

— Choć poniektórzy bacowie umieją — przydał drugi.

— O, żeby raz kany z temi czarami! — zaniemła się.

— To też, to też — przyznali skwapliwie. — My wej w tej sprawie idziemy.

— Lepi ojca nie napastować! — ostrzegła.

— Zorendować musimy, bo nam kazano.

— No, to idźcie. Ino ważcie słowa, bo je zły dziś.

— Bedzie, co bedzie — orzekł z powagą starszy.

I poszli.

Kiedy we drzwiach koleby stanęli, ujrzeli dwóch juhasów trzymających na ławie zabitego byczka, z którego sam baca, pochylony, zdejmował nożem skórę.

— Szczęść Boże! — rzucili do wnętrza.

Ogiela pojrzał ku drzwiom bokiem i ręka mu się zatrzęsła, gdy juhasów Czantorowych poznał. Wyprostował się z powagą, i patrzył w nich nieprzychylnie, czekając, co oznajmią. Ci przestąpili próg i starszy juhas zaczął:

— Posyła nas tu baca z Czantorji, cobyście oddali tę pięć owiec, co mu zagineny...

— Jak? co? O jakie owce chodzi? — zasyczał groźnie Ogiela.

— Co się nam straciły...

— Chłopcy! — warknął do swoich i porwał za stojącą przy ścianie ciupagę. Stanęli juhasi przy nim, podnieśli się i dwaj pasierbowie, co w dymie ognia siedzieli.

Lecz nie ulękli się wysłańcy Czantora. Ściskali ciupagi w dłoniach i w gotowości stali.

— To on śmie?!... — piał Ogiela w złości. — Patrzcie! — wskazał leżącego byczka — musieliście go dobić. Kto mu poczynił, jak nie on? A owce dwie, co wartogłowieją?... A te trzy, co upadły? Kto sprawił to, jak nie on? I jeszcze mi tu śmie...

Przestał i dyszał ciężko. Poczem z bacowska, zgóry, do wysłańców:

— Zapowiedzcie mu odemnie, niech się więcej nie waży. Bo ja na czary jego znajdę sposób. I niech mnie nie napastuje, bo jak wpadnę w złość, to kto mi na oczy przyjdzie z jego strony: syn nie syn, juhas czy nie juhas...

Szedł ku nim z ciupagą w dłoni, lecz widząc ich spokój groźny, zmitygował się, przystanął.

— Czyście zrozumieli dobrze, coch wam rzekł?

— Zrozumieli my. Powiemy — odrzekł starszy juhas.

— No to wracajcie!

— Z Bogiem ostają...

Zawrócili, i równo szli po trawie polany, nie spiesząc, ni zdłużając kroku, by zaś nie pomyślano, że się boją.

Czantor niecierpliwie wyczekiwał posłańców. Co chwila wyzierał z koleby, czy nie idą. Kiedy ich zoczył wreszcie wychodzących z kraja, podszedł naprzeciw.

— Nie żeniecie nic, widzę... — zgroźnił czoło. — Jak was przyjęto? Mówcie!

A gdy starszy juhas opowiedział wszystko i zoren-dował, co Ogiela kazał zapowiedzieć, mało Czantora gniew nie obalił.

— No no... — dławił się słowami, jakby miał tuż Ogielę przed sobą. — Zjesz mi ty, ej zjesz... Już ja do ciebie posłów słał nie będę... Czarcu synu! Na klęczkach do mnie przyjdiesz... To wam groził pobiciem?

— Ba, jakoż...

— Mogliście prać!

— Kiedy oni nie zaczeni.

— Grozić, grozi — mruczał Czantor — ale się boi zacząć, przeklęty twórz!...

Wydychał gniew pomstliwemi słowy i pomrukiem. Spokojniejszy już wrócił do koleby.

— Zapowiedź ma — pocieszał się — będzie się wagaował.

Kiedy juhasi na wieczór przygnali, zastali już bacę całę odmiennego. Siadł po wieczerzy przy nich koło ognia i nawet zaśpasował. Wszystkim się lżej uczyniło, jakby się dymna powała podniosła. Zabaczyli o wszystkim złem, co ich przez te dni trapiło. Nawet Jano, który od jakiegoś czasu posmętniał więdze z racji tych sąsiedzkich waśni, i mało co się miał wolę odzywać, widząc ojca inszego, poweselał i cieszył znowu oczy niefrasobliwą młodością. Stało się wszystkim w myślach różniej.

Dawno takiego wieczoru nie mieli. Choć słońce na świecie trwała, w kolebie była pogoda. Cieszyli się ju-

hasi, bardziej Jano, że to już inaczej będzie. W dobrych usposobieniach posnęli.

Lecz djabeł widać nie chciał, by na Czantorji długo spokój trwał... Nim jeszcze rano juhasi do owiec wyszli, wpadła Czantorowa z nowiną, że krowy krwią się doją.

— Wczora jedna czerwone mlisko dała. — Myślę: przejdzie; nie chciałam hałasu robić, — a dziś już wszystkie. Ja też zebrałam się: trza coś radzić... Ktoś, widać, psuje...

Czantor do juhasów:

— Odgrażał się Ogiela pomstą?

— Odgrażał — odrzekli stropieni.

— No, to widzicie... Ale to już musi być temu koniec.

Sięgnął na żerdź po serdak, zdjął z kołka ciupagę — i w milczeniu skierował się w pole.

— Ka idziecie — zatrwożył się Jano.

— Ka idę? Spytać się go, czy nie zaprzestanie.

Miał tyle groźby w czole, że się wszyscy polękli.

— Nie pódziecie — zastąpił w progu Jano.

— Co?! — uniósł się Czantor.

— Nie pódziecie, baco — postanęli za Janem juhasi.

— Kto mi śmie?!... — zagroził.

Lecz juhasi zwarli się w progu przed nim.

— My was pięknie prosimy...

Czuł, że nie ustąpią i że to z dobroci dłań czynią. Więc cały gniew zatamowany ku Równicy zwrócił.

— Wiedz se, ty, czarowniku! — wołał, pięść w górę

unosząc. — Wiedz se i zapamiętaj: Nie waź mi się więcej zrady czynić, jeżeli chcesz po tej ziemi chodzić. Już się przebrało...

A do żony spokojniej:

— Wracaj do osiedla i miej starunek o wszystko. A jakby co jeszcze zaszło, daj znać.

— No, cóż stoicie!? — zwrócił się gniewnie do juhasów. — Czas wyganiać...

Z ociągami brali się w pole, bowiem słońca zajęła się większa. Ciąć poczęło deszczem, mgła zgęstniała i oziębilo się tak, że się widziało: śnieg spadnie.

Kiedy owce z koszara ruszono, zbite w ławę, wędla przy wędle, — skoleńczałe nie chciały nijak wyjść. Siłą musieli je wypychać.

Powietrze, ziemia, las, — wszystko stało się szarą, siekącą mokrzacją. Wilgoć żrąca przeimiała pasterzy i statek do kości. Tonęło wszystko w szarej beznadziei. Jedno oziębienie wskazywało, że słońca się przesiliła.

Jakoż w południe deszcz ustał, mgły się poczęły rwać, — a nad wieczorem rąbek jasnego nieba, jak oświt długo czekanej pogody, na zachodzie się odkrył.

IV

P O R A N E K

Po ubiegu nocy krótkiej odmienił się świat do cudu nad wiślańskimi górami. Mgły, przez czas długi oparte na wierchach, zalewające mrałą szarą zbocza i doliny, znikły przez tę jedną noc, zczezły jak urok, odczynieniem szczęśliwem zmieciony, — wyjawily się o świcie szczyty różowe na rozkwitłem niebie, i cały połąg ciemnych i zielonych lasów, o schylonych spadach, siodłach i załomach, od wyniosłej Baraniej po stok ostatni (północny) Równicy, odkrył się przetartym oczom.

Nastał słoneczny ranek. Błękit nieba głęboki radosnym dzwonem zawisł nad górami, — od skłonu do skłonu czysty, bez jednej chmurki, że — jak powiada gadka — zaiście mógłby się juhas ożenić.

Wszystko, co żywie, dnia tego przywstało wcześniej, gdy po długim uwięzieniu rozchodzące się ponad wierchami wschodu światło świtu owieściło zbudzonym pogodę.

Jeszcze słońko nie wytoczyło się ponad grzbiet Równicy, gdy juhasi Czantorowi znikli już z owcami w lesie. Z pod Stożka, od Skalistej, z pod Baraniej przenosiły się już nad doliną Wisły pohukiwania pasterzy.

Jano też, w ony wywołujący ku weselu ranek, nie

pobawiał długo w kolebie. Pośniadawszy, zarzucił na ramię serdaczek, wziął do ręki zbierzącą ciupagę i poszedł wartko w stronę koszara oddalnego wypuścić woły. — Już się też parły na swobodę, łbami próbując podnieść grodzę żerdzi. Przywitały go poweselałemi studniami ócz. Odsunął zaporę: wyszły na polanę majestatycznie jeden za drugim, lśniące rosą, dumnie dźwigając na wzniesionych czołach wieńce rozłożyste rogów.

Zajął je i opuszczał się za nimi zwolna po wschodniem schyleniu polany ku krajowi, a w chwilach, gdy pochylały wieńce głów ku ziemi, zabawiając się od niechcienia próbowaniem trawy, rozpatrywał się z lubością po odkrytym świecie.

Zbocza różno zielone i wierchy wystąpiły oczom czyściej, wyraźniej, w radosnej krasie, jakby wykąpane, — a na niebie, nad wierchami wschodu, roznosiło się głębiejące światło z nowiną... o wzejściu słońca...

— — — — —
*

ŚPIEWKI JANA I HANY (do rozdziału IV)

Jano

Helo! h-e-lo! maliczko —
Daleko pasiesz, Haniczko?

Hana

Helo! helo! Janiczku!
Pasę niedaleko
Za górą, za rzeką —
O miedzę, o staje,
Przez zielone gaje.
Helo! helo!...

On:

Helo! helo! Haniczko nadobna!
 Jako ci się pasie
 O tym rannym czasie?
 Helo! helo!...

Ona:

Helo! helo! Janiczku nadobny!
 Mnie się dobrze pasie —
 Ociec na szalasię —
 Dzień ku nam sposobny.
 Helo! helo!...

On:

Powiedz-że mi powiedz,
 Moja kochaneczko,
 Z za którego wierchu
 Wychodzi słoneczko.

Ona:

Inszym tam wychodzi
 Kany...
 A mnie tam wychodzi,
 Ka mój Jano pasie.

On:

Jawory, jawory, jaworzyna —
 Pasie tam krowiczki cud-dziewczyną.
 A czyja je ona? niech wam powie...
 Mnie już powiedzieli słowikowie.

Ona:

Szumi dolina, szumi groń,
 Pasie tam wolki miły mój. —
 Ptazkowie, o mnie nie mówcie,
 Syneczka mego pozdrówcie.

On:

Kiedy se zaśpiewam
 Z Czantoryi hory,
 To mi odegrają
 Pod Baranią chmury.



Ona:

Kiedy se zaśpiewam,
Puszczę w dolinę głos, —
To mię, mój Janiczku,
W tej minucie poznasz.

On:

Kiedy se zaśpiewam
Z Czantorskiej wyżnicy,
To mi się odezwie
Echo na Równicy.

(Plan dalszych rozdziałów:)

IV. Poranek. Śpiew Jana i Hany. Filas w kolebie u Czantora, potem na Równicy. Scysja. Zakaz ojców.

V. Smutek młodych. (Owce postrachane, wartogłowe.) Morżoł im sprzyja. Legenda jego o Wiśle.

VI. Ognie na dolinach, huty. Wieści trwożące. Rada baców u wojewody. Czantor. Ogiela. Ramię księcia Cieszyńskiego. (Morżoł o skarbach zaklętych.)

VII. Jendrych — Hana — Jano. Zmowa Jewki Bulandówny. Filas z Równicy (nocą) na moczarach. Koziniec-„bandurki“.

VIII. Słudzy księcia (straż leśna). Zajęcie bydła (Pietrek donosi.) Bójka. Jano rani leśniczego; sądzi, że go zabił, ucieka.

IX. Pobyt u Morżoła. Nocą księżycową przez Malinkę (do Hany). Skarby — Złotogłowiec.

X. Ulewa. Powódź. Wisła. Utopiec (chwyta Jędrycha, który chce zdradzić Jana; „na prześpiegi“).

XI. Śledztwo, protokoły. Ogiela świadczy. Między Czantorem (słabym) i Ogielą. Nienawiść gaśnie. Jano wraca. Pogodzenie. Wróżby Morżoła.

NOWELE I OBRAZKI
SERJA PIERWSZA

S A M A

Hanusia miała już wyganiać krowy i zajęła się ku oborze, ale przedtem spojrzała w ulicę, czy Jasiak od sąsiada wygnał; bo jak nie... W samej rzeczy, nie wygnał jeszcze, choć w każdy dzień o tym czasie, a nawet i wcześniej nieraz, wygania.

— Cóż ono go tak zbawiło?

Stanęła chwilę, poczekała, ale nic nie widać. Raptem zwróciła się na pięcie i pobiegła ku ich izbie obaczyć naocznie.

— Czemuż wy nie wyganiacie? — zapytała „chrzesnomatki“, stając w progu drzwi otwartych, zadyszana biegiem.

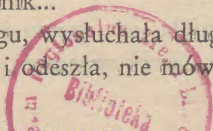
— E bo nima kto wyganiać...

— A Jasiak kany?

— Jaś poszedł z kosiarzami na węgierską stronę... Przyszli, jeszcze nie świtało, ten Tatar Józek i Kuba z Potoka, co to jeszcze z nieboszczykiem na kośćbę chodzili. „Pódź, i pódź z nami!“ Ja mu ta nie doradzała, ale cobyś zrobił; jak się uprze, to ani rusz; takie zmolne do roboty, choć to przecie jeszcze dziecko...

— Boże! mój rówieśnik...

Postała chwilę u progu, wysłuchiwała długiej litanji narzekań „chrzesnomatki“ i odeszła, nie mówiąc ani słowa.



Zdawało jej się tylko, że duży kamień od młynka stoczył się na jej piersi i gniecie. Nieporada oddechu wydobyć.

Zaszła do swojej obory, pospuszczała krowy — i stanęła przede drzwiami, jakby doznaku zabaczyła, kany, którądy, w którą stronę ma te krowy gnać.

Zajęła je nareszcie i pognała ulicą kamienistą, potem drożyną wąską, stromą, ponad potokiem.

Pierwszy raz wygania sama... Tak jej się dziwnie zdawało! Nie poznawała drogi, ani pola — wszystko się odmieniło doznaku, — za jeden dzień... Zdawało jej się, że niebo wisi tuż nad głową, i cięży okrutnie... Taka duszność w tem powietrzu!... Taka ciężka mgła...

Deszcz drobny ale gęsty sypał się na trawę, na jałowce, na skale i oślimaczał wąską drogę ponad potokiem.

Zaodziała się lepiej chuścina pacześną i, pochylona, stąpała w ślady za krowami, które szły prosto, jedna za drugą, ku znajomej miedzy.

Doganiała już ku miedzy, kiedy wrona przeleciała w mgłę nad jej głową — i zakrakała wyraźnie trzy razy. Dziewczę zadygotało z przestachu.

— Musi cosi wróżyć...

Złękła się i, dla odpędzenia nieznanego zła, przeżegnała się nabożnie. Dognała do miedzy krowy; zgłodzone, chwyciły się trawy. A ona siadła, zachylając się od deszczu, przy jedli opuszczonej, która tu rosła sama.

— Sama...

Nie wiedziała ino, czemu jej tak ciężko, tak smutno i bolesno, jak nigdy przedtem.

Mgła zniżyła się ku ziemi, poczęła zwolna osnuwać jałowce szarą, wilgotną przędzą i rozwłóczyć się po trawie długą pajęczyną, aż omotała całe pole i miedzę doznaku.

Krów już nie było widać...

Nie widać nic.

Słysząc ino było zza potoka, od skalistej grapy, nawoływania wron gromadne, przeraźliwe, głośnie. Skoro zaś te uciekły, dolatywał od uboczy niewyraźny śpiew. Ktoś zawodził... O, znowu to samo:

Pokochaliśmy się
 kieby gołąbecki —
 Heej!... ozlecieliśmy się
 kieby jaskółceki —
 Heej!... ozlecieliśmy się...

— — — — —
 Płacz głośny zagłuszył śpiew. Nie słysząc już było nic, ino jeden płacz — samotny — płacz nieutulony...

We mgle przy samej, opuszczonej jedli...

D Z I K I

Mamy tu, w Gorcach, między czterema porami roku — piątą: t. zw. porę dzików, którą lud nazywa po prostu „świńską“ porą. Trwa ona od połowy lata do późnej jesieni, to jest: od czasu, gdy się zboże poczyna zażywać, aż do wykopania ziemniaków.

W porze tej zapytaj chłopa, co go najbardziej gniewa — odpowie: dziki. Czego się lęka? — dzików... Na kogo pracuje? — na dziki... i tak bez końca, bez ustanku. Na nic też ludzie w tym czasie tak nie narzekają, jak na tę „plagę nieszczęsną“, o niczem tak chętnie nie gwarzą, jak o tej „przeklętej gawiedzi“, która przyszła nie wiedzieć skąd na wieczne utrapienie człowieka.

— Bywały tu — powiadają — drzewiej i wilki i rozmaita zwierzyna, a nic się tak chłopu nie dało we znaki, jak te nieboskie stworzenia. Bo wilk, bywało, porwie raz do roku jedno jagnię — no szkoda, bo szkoda, ale pal cie djabli! Wziąłś — toś wziął — to się ino raz najesz, a chłop i tak bez jednego jagnięcia wyżyje... Ale te psiekrwie zatracone nie kontentują się byle czem — ino ziemniaka kiebyś im wsadził, zboża nasiał po korcu, toby jadły! — Pracuj bez całą wiosnę, orz tę ziemię skalistą, kup, jak nie masz co wsiąć, proś Boga, żeby to ro-

sło — a tu przydzie psiapara do gotowiusieńkiego i zeżre.

Najgorzej w czasie zbiórki; wtedy się cisną do wsi całemi gromadami. A ludzie chodzą, jak w sennym obłądzie i skarżą się po cichu. Ten powiada:

— Zryły mi ziemniaki, ukopać nie będzie co.

Inszy mówi:

— Owies mi starasiły i zjadły do imentu...

— Człek sie we dnie narobi — skarży się trzeci i dziesiąty — człek się napracuje bez caluteńki boży dzień, że jak przyjdiesz wieczorem do chałupy, to ino pozierasz, kany lec, kany kości wyciągnąć na ławie — a tu idź w pole z chałupy, jak pies, na całą noc! Nie zagrzej miejsca nikany, ślęcz, skowycz na ugorze do rana! Jeszcze jak noc pogodna, to chwala Bogu. Ale jak padnie deszcz i psota!... Wrócisz rankiem skostniały, jak żerdź na mrozie.

Wyjrzyć nocą na pole — to cała wieś żyje, śpiewa i gra...

— Cóż z tego? — mówią ludzie — kie sie dziki nie boją. Oswoiły się z graniem i tańczą se po zagonach, aże ziemia dudni. Takie to ścierwo dojadłe.

Nieraz opowiadają sobie, jaki to kontrakt zawarły dziki z wilkami, frymarcząc chłopską krzywdą.

— Dziki, padają, były drzewiej na wygnaniu, pod obcym królem. Musiały się tam żołędziami żywić i bukwią, aże im sie to nareszcie przejadło. Toż to zebrały się do kupy i radzą, czyby się nie dało kany lekcej żyć; dawno już o tem wiedziały, że chleb z cudzej pracy daleko lepszy. No i zwiedziały się jakosi o tych stronach,

że tu chłop, wiecie, głupi jest i niezaradny — i chybajże! prościutko, jak po swoje. Ba, ale tu już byli inisi panowie — panowie wilcy, którym trza się było drogo opłacić, albo wrócić nazad z Panem Bogiem... Nieurada! Co było robić? Wysłały swoich deputatów na radę: „My wam — padają — damy swoje miejsce, ka was nikt nie będzie prześladował, wy nam dejcie swoje, bo tu znowu nam będzie poręczniej“. Wilczoszki mądre, przebiegłe, targowały się długo i rzetelnie. Ale wilczym węchem przeczowały, że tu wnet lasy wytną — nie będzie kany i jagnięcia schować, ani wyspać się przy czasie należyście — i przystały na ten frymark... Czy lepiej na tem wyszły, to kto wie! Bo ich sie ta nikt nie chodził pytać... Ale dziki to już wygrały tenno. Im ta o to nie idzie, że lasy powycinali, bo ta psiajucha katędy ryj wsunie, i wyśpi się za dnia ślebodnie, a w nocy to już je pan: nie boi się nikogo, bo wie, że go nie zastrzelą. Z początku, to im ta nieśmiało szło to gazdowanie po cudzych gruntach, ale teraz nie boją się nic, ospanoszyły sie tak, że im sie ognąć nieporada.

— Że też „kraj“ pozwala na to! — szepczą kobiety w naiwnej swojej nieświadomości.

— Kraj ma co inszego do roboty! — odpowiadają zgryźliwie chłopci. — Czy my to panowie, abo co, żeby sie o nas trapił! Kraj swoją drogą — a my i dziki swoją...

Zrezygnował już lud ze skarg, widząc, że te się na nic nie zdają — i w cichości przeklina „dopust boski“.

Ale gorycz sączy się po kropli do serc, a z kropli powstaje morze...

WYBORCA

— Pono Jagustyn wrócił z Limanowy?

— Dyc tak gadają.

— Póđźmy do niego; dowiemy się, jakiego ta wybrali tego posła...

— Dyc ta gwałtownych robót nima, możemy zajrzeć. Choć, prawdę powiedziawszy, to mi ta wszystko jedno; niech będzie, kto chce.

— No, ale tak z ciekawości.

— Ha no, to póđźmy.

Jagustyn mieszkał niedaleko, na drugim osiedlu. Błażej z Bartkiem, wchodzący, zastali już u niego sporo gazdów, którzy się naschodzili pod wieczór, aby coś usłyszeć.

— I jakże tam wypadło? — pytali ciekawie.

— E, psiakrew! z takim samorządem... ani gadać nie warto.

Musieli go długo molestować, nim się dał uprosić. Widać było, że sam chce zabaczyć o tem jak najprędzej. Była w nim jakaś tępa złość, nie wiedzieć na co i na kogo, jakaś zgorzkniałość trująca na wnętrzu, która go piekła jak zgaga, gdy — uproszony — począł:

— To, widzicie, tak... Poschodzą się djabel nie wie

skąd i jacy ludzie i urządzają se licytacje, a ty myślisz, że to wybory...

— Powiedźcie... No i któż tam był?

— Kto chciał, to był. Komu się ino Wideń zabażył!... Był od Nowego Sącza jeden, co był naprzód chłopem, a potem z tego do tego stał się wreszcie panem. Tamci ludzie, co go znali, chwalili go dużo. I kto wie, czyby był nie przeszedł, kieby go był ino miał kto podeprzeć. Ale upadł.

— A niechta, nieduże zmartwienie...

— Był tam i jeden drukarz, ale my go nie widzieli, ino opowiadali insi, że to na nic jemu głosy dawać, bo go panowie nie dopuszczą na żadnego posła.

— Musiał im się przeciwieć...

— Ba, dyć powiadali, jak im prał w oczy przy ludziach, bez żadnych ogródek...

— Temu go ta odcofnęli...

— Było potem dwóch chłopów ze samego Miasta.¹ Ale tych znowu chłopci nie chcieli, bo byli za mądrzy. I źli byli wielce na nich. „Bo jakoż to? — pada. — Ciby mieli wszystek rozum, a drudzy to nic? Niech ta lepiej głupszy idzie, nie zdradzi tak łacwo“.

— No, dy słusznie powiadali. Co się jeden ma wywyższać rozumem swoim, kie drudzy...

— Był jakisi adukat, podobno z Krakowa; był jakisi danielok, i djabeł wie jeszcze, dużo ich tam było; bo sie człek nie mógł dorachować, telo się ich naszło. Jak przyjdzie chłopu pomoc, to ich nima, pokryją się, po-

¹ Miasto, rozumie się Nowy Targ. Jak w starożytności *urbs* — rozumiało się Rzym.

włazą do najgłębszych dziur. A jak przyjdzie wziąć od chłopca, to się wszyscy najdą...

— Powyłażą, jak muchy z najdrobniejszych szpar.

— Hej, zlecą się jak mszyce i obsiędą człeka. Żebyś sto uszów miał, to ci ani jedno nie zbędzie. Bo cię wszyscy naraz kuszą i ze wszystkich stron. Nieporada się nijak ognąć. Ten powiada tak, ten tak, ten znowu inaczej. Choćbyś głowę miał jak kadź, — zgłupiejesz doznaku i nic nie wiesz, kto ci dobrze radzi. Bo każdy obiecuje, czego żywnie pragniesz, i wszyscyby cię przed wyborem w miodzie ukąpali. A skoro się ino dasz przewieść na jedną stronę, — oho! jużś wpadł... Już ci drudzy w oczy pierą, żeś zaprzedał duszę. Telo powiem: Niech was Pan Bóg uchroni od tego, abyście kiedy mieli iść głosować. Człek sumienia niepewny.

— Laboga, cóż to za czas nastał!

— Po kiego djabła człek ma iść wybierać, kiedy oni sami wiedzą, kogo wybierają! Żebyście wy widzieli!... Ale szkoda i widzieć. To, wiecie, tak jak jarmark; ale co ja gadam! Na jarmarku obieresz, zmówisz i kupisz. I nikt ci nie zastępuje, chyba jak się cofniesz. A tam wszyscy handlują...

— Sumieniem i skórą...

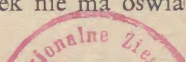
— Dy nie czem inszem! Skóra chłopska na licytacji. Ani się nie obejrzysz, jak ci ją przedadzą.

— I litkup na dopłatek!...

— Myślicie że nie? Chciałbym mieć telo owiec, kielo tam ostrzygli.

— Czy już tak naród podupadł, czy co?

— To, wiecie, tak: Człek nie ma oświaty za grajcar.



Zlecą się zewsząd i obsiędą, ani się obrócić samowolnie, kanybyś chciał. I rozum ci się zaćmi. Ksiądz doradza tak; już ci trza mu wierzyć, bo jakże, przecie piastun boży. Kto inszy znowu inaczej powiada; widzi ci się, że dobrze i poszedłbyś za nim, ale kto wie, czy śmiało możesz mu zaufać?... Starosta nakazuje; trza go znowu słuchać, a dziandary poboku, a panowie zgóry. Zbałamuca doznaku i sam nie wiesz człeku, za kim idziesz i kany, na jaką złą stronę. Kto chce, to rządzi tobą: kto chce, to ma władzę. Pomieszanie rozumów, jak przed końcem świata. A żeby cię zostawili przy twojem prawie, to nie, ino się tak opiekują, jak małem dzieckiem. A nie chcesz słuchać, to cię gwałtem zmuszą.

— Kto taki, coby się poważyl?

— Kto taki?... Dyc jest samorząd na to, coby samorządził. On porozdzielał prawa i zagarnął władzę. Nie spyta się nikogo o nijaką wolę, ino robi swoim dumem, co mu się podoba.

— Ej, bieda też to, bieda, jak nima oświaty!...

— I jakiegożeście tego posła nareszcie wybrali?

Jagustyn zachnął się na to pytanie. Widać, że chciał z umysłu ominąć tę sprawę; gadał wiele a tłumil złość niewysączoną. Teraz przyciśnięty, gniewem, gorzyczą, wybuchnął.

— Ja go ta nie wybierał! Wybierali insi...

— Kogóż takiego?

— Adukata jakiegoś... z Krakowa.

— A jakże się nazywa?

— Czy ja wiem? Kto ta kiedy słyszał jego miano!...

Dyć się pytajcie inszych, co ta ze mną byli, czy go znał kto, czy widział kiedy jego gębę!...

— I na cóż mu dawali głosy?

— Na co?... Bo musieli dawać i... psiakrew! z takimi wyborami.

Pomilkli, i widząc, że go ino złoszczą, nie pytali już o nic. On jednak sam po chwili, wysapawszy się, zaczął:

— Ale my se poradzimy. I na drugi raz, jak padnie, to już nie będziemy tacy głupi. Kie ten zły, ten niedobry, — to żaden nie będzie. Już my się umówili w kilkunastu, że jak nadejdą wybory, to na cesarza będziemy dawać głosy. Niech się opiekuje nami, kiedy tak...

Z triumfem spojrzął po obecnych gazdach, a ci siedzieli na ławach w milczeniu, dumając długo nad słowami jego. Najstarszy z nich po chwili odezwał się zcicha:

— Możeby to i nieźle było... Co myślicie, Błażeju?

— Mnie ta wszystko jedno.



„CO MA WISIEĆ — NIE UTONIE“

(Z opowieści Sabały niewiernie zapisał i podał
Wł. Orkan)

Drzewiej, kie jesse u nas kościoła nie było, chodziliśmy do kościoła do Saflar. Ale my se wse pomyślowali: Saflarzanom musi być markotno, jeze tak, jak zwyczajnie, do ich kościoła chodzimy — trzaby im cosi za to dać... Pogadował ten i ów — nareście rada w uradę: Cozby im tu takiego dać, coby se nie markocili?

— E wiecie co, ja powiadam, dejmy im świętego!

A był tu, wiecie, cłek, co świętych rabiał — toz to my do niego: „Moiściewy, kochani, piekni, zróbcie nam świętego!“ On sie ta duzo nie oganiał — nie tak jak insy cłek nieupytany — ba zaraz poseł, opatrzył nahrub-są jedlę, ściał, wyrznał ś nie odziomka i wycieszał świętego. No i rada w uradę: ochrzcili my go Morcinem. Ino wto go tu poniesie? Prógował kozdy dźwignąć, ale nieporada — ciężkawy.

A był tu jeden chłop, co dziesięciuk nie bardzo sie ubał — toz to my znowu do niego:

— Wiecie co, kochani, piekni, nieście Morcina do Saflar!

— A co mi za to dacie?

— Damy wam sto dni odpustu.

On sie ta juz nie drozył — dźwinał go na plecy i poszedł prosto ku Dunajcu.

He, ale mu po drodze pocał ten święty dopiekać. Zagrzeł sie pod nim setnie, a tu dopiero Poronin. I skoro tak idący ciężko nie letko podychuje, spotyka hłopa znajomego.

— Wiecie co — powiada mu — weźcie no hawto ze mnie, zanieście do Saflar, dam wam dziesięć dni odpustu...

— Ni mam tyz casu, bo sie do lasa pośpiesam...

— Dam wam dwadzieścia!

— Ani za sto!

— E! nie poniesiecie, to nie; to ja go tu już doniesem.

Po jakimś casie znowu spotyka na drodze babę. A ze to baby, wiecie, łakome na odpust — toz to on zaraz do niej:

— Moi piekni, weźcie no haw to ze mnie, dam wam trzydzieści dni odpustu...

— O moiściewy, dyćbych rada, ale tyz nimam casu, bo dzieciska w chałupie; bo to, bo tak...

— Dam wam styrdzieści... na, pięćdziesiąt — niech stracę!

Baba sie jesse wymawia — za sto możeby sie była i uwiedła — ale mu sie już nie chciało dodawać...

— E! nie poniesies — powiada we złości — to ja go haw już doniesem...

I poniósł dalej — aze przyszedł na most na Dunajcu. Sparł na poręcy, oddychnął na chwilkę, otarł rękawem pot i tak se дума: „Sto dni odpustu juz-ek zasłużył po-

tela... Ja by cie tu za darmo tak dźwigał!... Co ma wiesz, nie utonie...“

I zepchnął go na wodę.

No i, wicie, nie utonął — ba do dzisiaj wisi w Saflarach w kościele. Haj!

PRZEZCO SABAŁA OMIJAŁ JARMARK
W KIEŻMARKU

Sabała w młodych latach, jak zresztą wszyscy Krzeptowscy, lubił wylatować przy czasie „po interesie myśliwskim“ za wierchy. Czy przez to, że na tej tu polskiej stronie mniej było zwierzyny, czy że na cudzym terenie śmieiej było wobec większego niebezpieczeństwa rubszycować, — luptowska strona południowa była celem myśliwskich wycieczek skrzydlatych zakopiańców. Że zaś Liptacy, naród twardy, strzegli zacięcie prawa swej własności, wywiązał się trwały stan wojenny między oboma plemionami. Nierzadko też do krwawych przychodziło z przyczyny owej porachunków. Zaznaczyć przytem wypada, że wybitniejsi myśliwcy po tej i po tamtej stronie znali się z postawy i z imienia wzajem, jak walczący naprzeciw bohaterowie homeryccy.

Więc jednego razu wyleciał Sabała na tamtą stronę na kozy. Ustrzelił capa — i za ledwie zdążył flintę dla bezpieczeństwa śrótem nabić, — widzi: chmura Luptaków, którzy się tu widać zasadzili, doń pędzi. Nie było się ni chwili co ważyć. Ostawił capa — i w ucieki. Sadził jak jeleń, gdy kupa ogarów tuż-tuż ma go dopędzić. Przypadł nad osypisko — i w momencie, gdy miał chybnąć w przepaść, odwrócił się i — wygarnął z flinty do

tej kupy. Poczem zjechał po piargu kilkadziesiąt metrów — i już wdziera się w górę po przeciwnym zboczu. Obziera się i widzi: kupa Luptaków stoi nad urwiskiem, — widać wstrzymała ich flinta, — a jeden z nich, znajomy mu dobrze, jedną ręką zasłania se wypuknięte oko, a drugą grozi Sabale.

— Pocekaż se, Jasiu, — woła — bo ja cię dońdę!

Sabała dobrze wiedział, co ta zapowiedź znaczy. Już się też i nie obejrzał więcej. Darł co sił ku przełęczu, szczęśliwie dostał się na polską stronę, nareszcie i na Krzeptówki, do domu.

Nikomiu nic o przygodzie nie rzekł, to też cudno nieraz onym było, którzy znali jego „naturę myśliwską“, że Sabała przestał wylatować „na tamtą stronę“. Polować bo polował, niejedną jeszcze kozę, ba, niejednego niedźwiedzia (jak się zdarzyło) ustrzelił, ale jeno tu, po stronie naskiej, a luptowską statecznie omijał.

No i minęło tak roków coś dwadzieścia. Aż ci jednego razu „ich wielkomożność“ pan Chałubiński powiada:

— Zbierzcie się wartko, Sabała, mam interes, pojedziemy do Kieżmarku na jarmark.

Kieżmark w Luptowie, wiecie, jak nasz Nowy Targ na Podhalu: oko istne, stolica.

Nie bardzo się to Sabale zwidziało, ale „coz sie bees ich Miłości panu Chałubińskiemu prociwił“.

Zaprzął Sabała konia, pan Chałubiński siadł, sam Sabała furmanił, — pojechali. W Kieżmarku, jako w mieście zwyczajnie czasu jarmarku: harmideru, krzyku, wołów, ludzi pełno, naród z okolic dalekich ściągnięty, a sami prawie Luptacy.

Pan Chałubiński poszedł za interesem swoim po jarmarku, — Sabała został przy wozie. Odudźnął konia, dał mu obroku i coś koło wozu dudrze, — aż ci widzi: Jakiś Luptak o jednym oku zachodzi z tej, to z tej strony i tem okiem się mu przypatruje...

Jużć Sabała odrazu go poznał. Dusza mu w pięty uciekła. Ba! możecie wiedzieć: Jest na jarmarku w Lupowie...

— Toś to ty, Jasiu? — rzecze z uśmiechem ów Luptak.

Sabała już śmierć swoją widzi w tym uśmiechu. Ale nie daje nic poznać po sobie, jeno najobojętniej powiada:

— E, o kogoż to się pytacie?

Stropiło to trochę jednookiego Luptaka.

— Eś to pono ty Sabała? — rzecze już niepewniej.

— Ho! — uniósł Sabała kapelusza. — Sabała!... Niech mu ta Bóg grzychy odpuści... Dawno pomarł. Juz kielka roków usło, jak pod trawnickiem leży.

I widząc, że Luptak trop zmylony chwycił, jął się dalej rozwodzić:

— Dy ta gwarzą, ze ja niby do nieboscyka Sabały mam być zywoistnie podobny, boch ta niby krześniak jego i tak tyz samo jako on z Krzeptowskich... Ale ka mi ta do Sabały!... Co ta z nim kogo równać! Beł to cłek, beł...

I zaczyna się Sabała (tj. siebie — nieboszczyka) chwalić, jak jeno najlepiej umie.

Zmyliło to już do reszty Luptaka.

— Hm, — począł dumać, — niby on i niby nie.



Dwadzieścia roków minęło... — Nic nie wiedział, co sądzić.

Poszedł po jarmarku, zwołał znajomków-Luptaków, co Sabałę Jasia znali: może kto trafi...

Obstąpili Sabałę kołem, każdy się mu pilno przypatruje, — a Sabała kapelusza poprawia, wóz smaruje: świat mu niby poza wozem całkiem obojętny.

Nikto nie wie, co pewnie powiedziec. Dwadzieścia lat...

Na to nadchodzi sam pan Chałubiński. Co miał w jarmarku, posprawiał. Zerknął ku nadchodzącemu już zdala Sabała, nieznacznie dał mu znak okiem.

(— Ho! Ich Wielgomożności nie trza było wiera, — jak to insemu łopata! Zaraz zmiarkował, że cosi się święci...)

Nim jeszcze się do wozu zbliżył, Luptacy ku niemu:

— Cy to Sabała? — pytają, wskazując na furmana.

Pan Chałubiński już rozumiał, o co tu rzecz; odkręcił głową, że nie. Podszedł do fury (już była gotowa), skoczył na siedzisko, Sabała przed nim, ujął lejce, — Luptacy się zwolna rozstąpili...

— He! — powiedział potem sam Sabała. — Jak my się z tego piekła wydobyli, — jakich zaciął konia, to wóz jakby skrzydeł dostał. Ino się drzewa migały. Juz-ech odtąd na jarmark do Kieżmarku nie jeździł!

BETLEJEM I ASYŻ

„I postawię dla ciebie przymierze dnia onego ze zwierzem polnym i z ptactwem powietrznem i z płazem ziemskim, a łuk i miecz i wojnę wygladzę z ziemi: i sprawię, iż bezpiecznie mieszkać będą“.

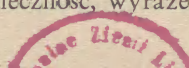
(Ozeasz, II 18).

Narodzenie Boga w człowieku...

Zaiste, cud to niesłychany.

Ze słów powyższych snadnie można rozumieć, że Bóg zrodził się w duszy człowieka, kiedy ten poczuł się Panem i mógł nowe prawa tworzyć, jakoteż zawierać ze słabszem stworzeniem przymierze. Lecz ze słowa „wygladzę“ rozumiemy, że przemawia tu jeszcze (aczkolwiek już z miłością nowego zakonu) groźny Jehowa. A oto boskie zdarzenie: Betlejem... I obraz każdemu znany: stajenka prosta, żłób, barłogu szczypta, Osoby boskie, przy żłobie zaś wół i osioł, na progu i nad oddrzwiami ptaszki różnego gatunku.

Tu już nie „przymierze“ wroga z wrogiem, lecz jakby pewne zżycie się i przyswojenie; jak gdyby patryjarchalny stosunek pana z czeladzią; z jednej strony życzliwość, łaskawe przyjmowanie należnych hołdów — z drugiej zaufanie, bezpieczeńność, wyrażenie hołdu i ofia-



rowanie usług: ptaszki śpiewają, co które umie i pamięta, a wół z osłem chuchają ciepłem swoim na Dziecinę, przyczem „klękają, adorują“, jak mówi kolenda — adorują Boga w człowieku.

Jest w tej „stajence“ jakaś niema wieść o czasach przedablowych, kiedy „zwierzęta mówić umiały“ (czyli człowiek przestał rozumieć ich mowę, gdy się zbożczył), a zarazem jakoby sen o dalekiej, przyszłej Harmonji. Coś, co się nie wyraża, lecz co się czuje, jak powietrze ojcyste lub zawiew z hal, gdzie się przeżyło z pasterzami swobodne lata wzrostu: — tak, to powietrze stajenki betlejemskiej wieści o czemś i wzrusza...

Tu przez dziwne skojarzenie Betlejemu z wilją, raczej z pamięcią wilij z lat chłopięcych, przychodzi mi na oczy serca ojciec mój... Słowianin, zamiłowany w przyrodzie i rozumiejący jej ducha — on, który znał mowę ptaków jak nikto, a z bydłami, jako gazda, tak się zaobchodzić umiejący, iż gdy woły — siwe ze Spiżu sojki — przedawał, to wołom — twierdził — łzy z ocz ciekły...

Przypomina mi się przy wieczerzy wigilijnej, jak drżącą ze wzruszenia ręką bierze opłatek, leżący na sianie nakrytem białym obrusem, podaje matce w milczeniu i życzy jej wszystkiego temi dobrami, siwemi oczami, na których w tej chwili błyszczą dwie łzy... a potem z nami się łamie... i, gdy już siedzimy z łyżkami, czyni kochaną ręką krzyż nad polewką grzybową, mówiąc złamanym przez wzruszenie głosem: „Pobłogosław, Panie, te dary...“ a po wieczerzy idzie z opłatkiem do stajni — do bydłat... i kruszy im opłatek do „wilji“. —

Wierzyłem święcie, że we wilję wieczór bydlęta z gazdą rozmawiają; utwierdzało mię w tej wierze zaobchodzenie się z niemi mego ojca.

Oto, czemu Betlejem skojarzyło mi się z pamięcią ojca i tych „wilij“ z lat chłopięcych.

*

Mało kto jeszcze z ludzi ma „Betlejem“ w sercu.

Oto obchodzi się święto Bożego Narodzenia. Pierwszy świadek Narodzenia Pana, wół idzie na stół — dla uświetnienia tej uroczystości. Nie mówi się już o świni, specjalnie na zabicie tuczony. (Zważmy podobny los człowieka, którego kiedyś też w podobnym celu tuczono wśród plemion ludożerczych; ale nie w tem podobieństwo człowieka do świni, raczej w tem, gdy naprzykład święto Bożego Narodzenia obchodzi pijaństwem i tarzaniem się w błocie; przyczem pijaństwem wprawdzie jest od świni różny, ale to nie jest jego nad stworzeniem wyższość, bowiem i małpy umieją z owocu jednej z palm robić trunk mocny i upijają się hałaśliwie, doznaku jak ludzie, a następny dzień po upiciu są smutne, osłabione, trzymają się za głowy — znów tak doznaku jak ludzie.)

W dzień Bożego Narodzenia
Radość wszystkiego stworzenia,
Ptaszki w górę podlatują...

Tak jest w kolendzie, a w rzeczywistości... ileż to tych małych istot, zdobiących prawdziwie ziemię krasą i śpiewem swoim, które ongi ćwierkały nad „stajenką“.

cisły się do „żłóbka“, dziś idzie na stół człowieka — na uczczenie „Bożego Narodzenia!...“

*

— „...Pokwapię się, wy lekkie, jasne motyle, i wy muszki złote jak iskry! Ptaszki wesołe, i wy zwinne, polne i leśne zwierzątka... Wszystek ten drobny świat, który jakoby dla kogoś doskonalszego zabawek jest zbiorem, niech się kwapi dziś, gdyż oto, dni temu nieco, najpiękniejsze ze stworzeń, Człowiek przyszedł na świat!... Z uweseleniem podaję wam, że jeden więcej błogosławiony, jeden więcej piękny narodził się...“

Tak gdy swoją pieśń skończył anioł, przelatujący nad siołem, nastąpiła chwila głębokiego uciszenia, poczem jak z jednej struny złotej wygłos zabrzmiały słowa złotych muszek i owadów tęczyowych i motyli w pyły świetne odzianych:

— „Piękny — piękny — piękny! jest człowiek-dziecię i niebawem podziwiać go będziemy hasającego po łąkach, rumianego jak zorza, po pas w kwiatach... Gdzie skinie ręką, w której nieść będzie zdradną mgłą gazy, podchwyci motyle zbyt ufnie ssące kwiaty, podchwyci muszki złote, szklano-skrzydłe i tęczyowe owadki... a potem z uśmiechem poprzewierca im karki, one okręcać się będą na kruszcowych palach i wspinać na wyprężane nogi z jękiem, którego nie dosłyszysz tłuste ucho człowieka, gdy po łowach, rzuciwszy się jak był na posłanie, głęboko będzie spał, w pięknym odniechcieniu tem nadobniejszy...“

„I przyjdzie matka, pojrzy, zachwyci się — profesor przebudzonego chwalać będzie, iż wdzięcznych tyle trudów poniósł — ale on się nic z tego, ani nikt z tego nic nie nauczy! Tylko człowiek-pacholę rozpocznie próbować przyszłego rzemiosła swego, to jest, ażeby wszystko podstępem ująć, zamordować, obdrzeć i dla samego siebie zużytecznić! To jedno od rana do nocy codzień względem całego stworzenia począł on przez wszystkie wieki!...“

— „Atoli on jest piękny i piękna matka jego i siostra starsza...“ — szczebiotać począł ptaszki. — „Lecz strzeżcie skrzydeł waszych, w których może błyszczeć parę piór, bo obejmą was pod-

stępniem opętaniem sieci i odrąbią skrzydełka wasze, ażeby uczepić je na kapeluszach i na włosach. Kobiety od nas wszystkich ptaszków są piękniejsze, lecz nie nauczono ich rozwijać piękności własnej, tylko obdzierać cudzą i brać na siebie. Strzeżcie się więc...“

Upomnienie takie słysząc na drzewie, wiewiórka, cała w złotym słońca promieniu złota, ześliznęła się nieco niżej i pokornie swą rozpoczęła prozę:

— „Powiadają, że umiałybyśmy bawić i rozweselać ludzi, będąc jakoby wcieloną gajów krotochwilą... lecz człowiek uprzejmiej patrzy na igraszkę, niżli ocenia pracę i trud. Wystrzegajcie się go, jakkolwiek piękny jest i wyniosły! Gdy my albowiem pracą znojną uzbieramy sobie na zimę jadła i we wypróchniałem drzewie orzech zebrawszy do orzecha, otulimy je mchem najstaranniej — zaraz bystry i piękny przewie się o tem i zabierze wszystko, on, któremu to jest igraszką jadła...“

— „Jadło wszystko stracić na zimę jest wielka rzecz...“ — tęskno dośpiewa ukryty w cieniu mały ptaszek — „lecz nam przemyślny człek, bywało, igłą wykała oczy, ażebyśmy, w ciemnościach zagrożone, bujniej śpiewały...“

— „Widziałam go przez matkę kąpanego, i wiem, jak jest urodziwym“ — zadzwoni ze szklanych fal strumienia jasna rybka. — „Czoło ma zawsze podniesione... Zaiste, mądry przeto, bo on z przezroczyściego włosa nici uda nic wody bieżącej, i nastroi jej hak żelazny, i robaczka albo robaczka pozór utwierdzi na haku, aby mimo idąca głodna rybka, połykając podstępłą śmierć, ginęła...“

Wtedy nad strumienia brzegiem przeżuwaną złotą trawę ciołek, podobny do Apisa poszukiwanego, gładki i połyskliwy zawoła:

— „Zawsze ofiarny stryj wół, który pracuje na ludzi, upomina, że nawet skoro wyciągnie do ciebie człowiek białą swoją rękę, ażeby cię pogłaskać, nie dowierzaj! Bo on uczy się szukać palcami, ile mięsa narosło, ile tłustości...“

„Albowiem jego całą rzeczą jest i było po wszystkie czasy, od rana do nocy tem się zaprzętać jednym, ażeby wszystko podstępem ująć, zamordować, złupić — i zjeść, i zjeść...“

„On to sędziwego wołu, gdy już dlań dość żwawo w polu

plużyć nie może, utuczy obmyślnie i zabije, — skórę użyć pośpieszy na uchronienie obuwiem stopy swojej od szwanku, — mięso zje, kości porznie dla urobienia z nich fraszek do gry zabawnej po uczcie, — z rogu jednego pić będzie, a w drugi róg zatrąbi! I niemożebnem stanie się, ażeby cię śladu pozostał, że tu wół istniał...”

— „Nie inną niesie zagładę rodowi owiec!” — jęknął nareszcie i baranek biały i czysty jak obłok. — „Lubo owca sama porzuca i dawa z ochotą wełnę swoją i mleka, lubo dzielić się lubi wszystkim, co ma — ale on już od dziecka w strony podstępny, wyzysku i pozerstwa wystosował twardość serca swojego i do ostatniej chrząstki policzy wszystko we zwierzęciu. Wytoczy z niego wnętrzości, wyrobi je i sprzedzie w struny muzyczne, ażeby na nich wygrywać piękne melodje, pono na chwałę Boga!...”

(Hymn wyjęty z utworu Cyprjana Norwida: *Ostatnia z bajek*).

*

A ponad tym człowiekiem, który „przez wieki tem tylko się zaprzętał, ażeby wszystko podstępem ująć, zamordować“, ponad tą *Iljadą* łowów, łowów i łowów, od kąd ludzkość nam widzialna aż do dzisiaj, jaśnieje niezemijskim światłem jako gwiazda zielona nad mrokami — żywot świętego Franciszka z Asyżu.

Dlaczego przez Kościół, który uprawnia zabójstwa, uznanym jest za świętego, trudno zrozumieć; natomiast świętym jest istotnie dla tych, którzy pragną z mroków zwierzęcości dojść do Człowieka. On sam życiem swem stworzył nową religję. „Kochaj bliźniego“ — rozszerzył na wszechstworzenie, — wszystkie przykazania zamknął w jednym, ale żywym i wszystko obejmującym: „Nie zabijaj“.

Znów widzimy narodzenie Boga w człowieku... W „niebardzo podłej“ mieścinie Asyżu przyszedł na świat ten

człowiek-dziecię, aby miłością nieznaną olśnić duszę i raj ludziom pokazać na ziemi. Wyraźnie więc zaznaczają się trzy fazy boskie w stosunku człowieka do zwierzęcia: starozakonne prz y m i e r z e, betlejemskie prz y o s w o j e n i e i wreszcie prz y j a ź n ą św. Franciszka.

Przez Betlejem prowadzi droga duszy do Asyżu. Aby umiłować, trzeba naprzód zrozumieć i uszanować.

Św. Franciszek już nie „błogosławi rybom“ — na półmisku, ale nad brzegiem stojąc, gdy zaciekawione wychylają główki nad powierzchnię, rozmawia z niemi — mową serca, nieznaną ludziom mięsożernym. — Legendy ludowe włoskie mówią o nim jak o czarodzieju. (Np. legenda „O wilcasku z Gubbjo“, który dał łapę nato św. Franciszkowi, jako że „nigdy nikogo nika nie napaśnie“, byle go jeno żywiono, i potem „chodził posłusnie“ za św. Franciszkiem, słuchając jego kazań o miłości).

Życie św. Franciszka to religja zbratania, miłość wszystkiego stworzenia, czucie się we wszystkim, — jako że we wszystkim jest cząstka Boga. Dusza w porywie szczęścia i miłości, ku gwiazdom wyciągając ręce, woła. „O bracie mój, księżycu! O siostry moje, gwiazdy!..“ Miłością wszechświat ogarnia. Jest to bogactwo niesłychane — czarowne skrzydła szczęścia — Harmonja.

Betlejem wyznawców ma niewielu — Asyż jeszcze mniej. Mimo że co rok obchodzi się powszechnie święto „Bożego Narodzenia“.

NOWELE I OBRAZKI
SERJA DRUGA

O STWORZENIU PODHALA

Legenda

W siedem dni Pan Bóg stworzył świat, a potem, bawiąc się jakoby, stwarzał w przechodzie różne kraje, ze wszystkim na nich, co było potrzeba. — Właśnie utworzył był kraj węgierski, nizinę żyzną, przeciętą rzekami, a gdy trafiły się wzgórza, to ku południowi zboczami schylone, by na nich wino rósć mogło. Zaczem zbliżył się ku stronie, gdzie miała powstać Polska. Postanowił ją jeszcze bogatszą uczynić, przez to, że różne na jej obszarze umyślił założyć ziemie. (Już wówczas śnił się Panu Bogu regionalizm).

Akurat kiedy zaczął Podhale budować, przechodzący mimo Anioł zawołał: — „Szczęść Boże!“

Pan Bóg uśmiechnął się sobie, miał bowiem w myśli wizję przebogatego Podhala.

Ośmielony Stróż niebios zbliżył się ku Panu Bogu i przyglądał się chwilę Jego pracy. A widząc, jak mu się wydawać mogło, że to wcale nie tak trudna sztuka, zapragnął sam popróbować.

— Odpocznij, — rzecze — Panie mój, a ja z rozkoszą przez ten czas za Ciebie się potrudzę.

— Żebyś to mógł dać rady...

— Nie dam rady?! — uniósł się Anioł w honorze. —

Zezwól, Panie, a ujrzysz, że niegorsze potrafię zbudować krainy, niż te, co z pod Twojej Boskiej ręki wykwitły.

Stwórca świata uśmiechnął się na to pobłażliwie.

— Jeżeli chcesz koniecznie... (Umiłowanemu Aniołowi czegożby w dobroci ojcowskiego serca nie ustąpił?). Jeżeli chcesz koniecznie spróbować, — powiada — to możesz skończyć tę tu oto ziemię, którą zacząłem budować (sądził Pan, że co dobrze zapoczęte, to nie tak łatwo zepsuć), a ja tymczasem przejdę dalej...

I przeszedł Pan Bóg w stronę ku północy, aby nowe tam ziemie ukształtować. Miało to być proszowskie i sandomierskie. Niedługo to wcale trwało (bo cóż dla Boga trudnego), jak był z ziemiami temi dwiema gotów. Zawołał tedy Anioła:

— Jużś skończył swą pracę?

— Już! — odkrzyknął Anioł.

— To chodź, przypatrz się moim ziemiom.

Anioł przyleciał na skrzydłach i już z góry wykrzyknął:

— Ach!

Bo też było się czemu zadziwić...

Ziemia proszowska była jak dywan wzorzysty rozkoszną, barwną równiną, przetykaną kępami sadów, ruczajami — a sandomierska, wyższa nieco, pofalowana w doliny i wzgórze, chyliła się łagodnie ku słońcu południa i zdawała się grzać w jego promieniach. Wstęga Wisły szeroka zataczała błękitne półkola pomiędzy jej złotymi wzniesieniami. Bowiem — gdzie okiem rzucić, tak w proszowskie jak i sandomierskie — wszędzie widne były, na wzgórzach, dolinach, złote łany psze-

nicy — iż się wydawało patrzącemu, że pozlota prawdziwa ze słońca na dwie te ziemie padła.

Kiedy Anioł dość się już temu nadziwował, rzecze Pan:

— No, a teraz zobaczymy to twoje Podhale...

Anioł, dumny z swojego dzieła, cieszył się już naprzód pochwałą Boską i krokiem niecierpliwym wyprzedził Pana. — Skoro stanęli na miejscu, Pan Bóg aż oczy przetaił, przestraszony, nie mogąc wierzyć temu, co ujrzał.

— Coś ty tu porobił?! — zakrzyknął.

Anioł sam się też zdumiał niezmiernie i strwożył wielce. Co innego bowiem zastał, niż był zostawił.

Przystępując do pracy, wyobraził był sobie, rzecz prosta, że nic lepszego ziemi dać nie może, jak dużo, dużo ciepła. Przeto zebrał niesłychaną ilość kamieni, głazów i skał, spiętrzył je w wysokie góry aż ku niebu, ziemią je zlekka jeno przyprószywszy, w tem przekonaniu, że gdy je tak ku słońcu wysoko wydzwignie, to gorąco samo wszystko sprawi i kraj żyznością zakwitnie. Aliści pod ten czas, kiedy w sandomierskiem bawił, przyszła ulewa okrutna, strugi wody splukały ziemię ze skał, zniosły ją na dół wyrwami potoków — i oczom teraz wystąpiły groźne, spiętrzone ściany skalne, o nagich, w niebo wystających szczytach, o żłebach czarnych i przepaściach, górą kosodrzewiną zmarniałą, a dołem ciemnią smrekową odziane, dzikością surową tchnące, — no, jednym słowem... Tatry. A zaś na niższych stoczach i pagórkach, gdzie woda ziemi nie zdołała splukać, ście-



lily się tylko mchem zarosłe, pustynne hale, lub ziele-
niły się tu i ówdzie płaty lichego owsa.

— Coś ty za myśl miał — uważywszy to wszystko,
rzecz do Anioła Pan Bóg — żeś tak tę ziemię ukształcił?

— Chciałem ją, Panie, podnieść tak wysoko —
sprawiał się strapiony Anioł — żeby więcej ciepła sło-
necznego dla niej uzyskać.

— A przez to właśnie chłód jej sprowadziłeś. Oto
czeladnicze myślenie. Ten nawet licheski owiesek, co na
niej rodzić się może, zanim dojrzeje, mróz zetnie. Tak,
tak, — zadumał się nad Podhalem Pan Bóg — będzie
to, przez twój nierozum, kraj chłodu i głodu. Już to się
nie da odrobić.

— Nie trap się, Panie — przystąpił z otuchą
Anioł. — Ja temu jeszcze zaradzę. Dozwól mi tylko, że-
bym tu ludzi utworzył, a zobaczysz, jak sprawią te łąki
liche, jak pokryją zbocza skalne uprawną rolę.

— Co to, to już nie! — rozzłościł się Pan Bóg. —
Chcesz się bawić, to możesz iść ku północy i tam se La-
chów stwarzać; choćby ci się nie udali, to jakoś żyć
będą, bo im przygotowałem kraj żyzny, pszeniczny. Ale
Podhalanina pozostaw mnie.

I sam Pan Bóg wydumał tedy górala: o rosłej, śmi-
głej postawie, o nogach jak ze stali, o oczach bystrych,
orłowych, o umyśle lotnym, przedsiębiorczym, o zacię-
tości niezwykłej, energii i sprycie — aby mógł na tej
biednej, aniołowej ziemi dać sobie radę.

N A H A L E

Koło Zielonych Świątek, gdy jeszcze w głębokich żlebach górskich śnieg zrudziały leży, a już zielona ruń pokryła trawiaste upłazy, rozpoczyna się wypęd bydła i owiec na hale. Dzieje się to w pewne dni pogodne na całym obszarze Podhala równocześnie, jakby za tajnym rozkazem. Ożywiają się naraz dziedziny, ruch w osiedlach powstaje, radosny nastrój udziela się równie starym jak młodzieży nieletniej.

Weźmy dziedzinę pierwszą skraja, np. Biały Dunajec. Rano słoneczne. W osiedlach, po obu stronach drogi rozłożonych, niezwykle poruszenie. Oto, kurzem gościńca zamglona, zbliża się ku wsi jakaś zbita a ruchliwa masa, niby szare wojsko piechotne. Słysząc już zdala klekot dzwonek, tak dobrze znane turlikanie...

— Szalas idzie! Szalas idzie! — podają od pierwszych chałup młodzi jedni drugim w gorączce podniecenia.

Ciekawością za dziećmi z chałup wywabieni wysuwają się na drogę starzy i oczy, słonione dłońmi, kierują w tę stronę, skąd pylna chmura przyziemna nadciąga.

Aliści w ulicę wsi wpływa, niby rzeka wełnista, kierdel owiec... Naprzód idą dojki siwe, rozumne przodow-

nice, co już na hale z szafasem od kilku lat chadzały; za niemi toczą się posłuszną masą, z kiwaniem głów potakliwym, trzęsąc strączkami swych kozuchów, białe i czarne jarki. Za kierdelem, sprawiając go gwizdem osobliwym, kroczą młodzi juhasi w koszulach ciemnych, serdaczkach czerwonych, w kapeluszach z białymi kostkami, z wełnianymi torbami u pasa i ciupagami zberczącemi w dłoniach. Kierdel rachować można na trzysta i więcej owiec. Ogania go naokół gorliwie pies biały, średni, owczarek, z wywieszonym od trudu płomiennym ozorem, a z radością w śmiejącej się paszczęce i oczach, iż tak ważną dano mu wypełniać służbę.

Gdy szafasy, — jeden, drugi i dalsze, — przeszły w hale, poczyną się w obejściach krzątania, przygotowanie wypędu statku mieszanego na bliższe upłazy.

Podobnie dzieje się też w obejściu Orawcowem. Owce dojne dołączono, dawszy im znaki, do szafasu, pozostałe jałowe owce i jagnięta mają się paść obok bydła na tzw. Skupniowym upłazie. Do paszenia najmłodszy z rodzeństwa, lat czternastu niedoszły, przeznaczony: Wojtuś i Tereska. Wynika też między nimi sprzeczka: kto będzie paść owce a kto krowy. Honor bowiem większy paść owce w halach.

— Ty bedziesz krowy, — twierdzi Wojtuś.

— Nie, ja będę owce, — upiera się Teresia.

— Widziałeś, żeby dziewczki owce pasaly? — szydzi Wojtuś.

— A widziałeś, żeby je paśli tacy mali, jak ty? — odcina się Tereska.

— Mali?... Czy ja to mały? Zmierzymy się! — stał obok siostry.

— Aha, na palcach się podnosisz...

— To ty się, cyganko, podnosisz!

— Będziesz widział, że ja pożenę owce.

— Będziesz widzieć, że ja.

Osąd ojcowski rozstrzygnął. Wojtuś został przy swoim. Nuż tedy, ostrząc palce, dworować z Tereski:

— Widzisz, na moje wyszło!

Teresce łzy do oczu nabiegły.

— Czekał, kieś taki...

Żal mu się siostry zrobiło.

— Na drugi rok, — pociesza ją, — to się przemienimy. Ty będziesz paść jagnięta z krowami, a ja się zgodzę na juhasa.

— Hej, — uśmiecha się przez dłonie Tereska, — byłby też to juhas!...

— A co, — uniósł się czołem. — Ujrzysz... Na mój dusiu! — zaklął się po juhasku.

Przybiegła strykowa Jewka i Stochów Jasiak z pytaniem do nich:

— Kiedy będziecie wyganiać?

— Mówili tatuś: pojutrze...

— To pożeniemy razem... Hu, ha!...

Nastał ranek przeczysty. Ani chmurki nad rysującymi się na niebie szczytami Tatr. Dzień do wypędu wymarzony.

W osiedlu Orawcowem ruch od świtu. Wojtuś wygo-

tował sobie bicz z czerwoną u końca biczyska kitką i próbuje nim strzelać po obejściu; za każdym razem trzask, odbity od ścian stodoły, podwójnie się rozlega. Kręcące się po osiedlu owce rozgłośnie turlikają, przywiązano im bowiem dzwonki blaszane na szyjach, aby je słychać było, gdyby się w lesie straciły. Za nimi wywarły się jagnięta z owczarni i dokazują, na dziedzińcu, szermując się swawolnie główkami, to skacząc na miejscu w górę. Wypuszczono nakoniec i krowy ze stajni, które, porykując zrozumiale do spodziewanej paszy, obzierają się po obejściu wielkimi, jak studzienki na hali, oczyma.

Wojtuś z Tereską gotowi już do wypędu, zaodziani na drogę, z biczyskami w dłoniach. Tedy ukazał się na obejściu ojciec z kropielnicą, przeżegnał krzyżem na powietrzu statek i pokropił go święconą wodą. Zaczem przeżegnali się i pasterze mali, zszepłali krótki paciorek wargami i zaśmigując biczem Wojtuś owce a Tereska krowy, zajęli je razem i pognali.

Po drodze dołączyli się do nich ze statkiem swym Jewka strykowa i Jasiiek od Stochów. Weczwór pędzili dalej. Wojtuś gwizdał na palcu, jak juhas prawdziwy, co budziło aż podziw strykowej Jewki. Wnet minęli wieś Poronin i olczańskie działy, weszli w regle i zadali się drogą leśną w ubocz.

Rzeźkość żywiczna lasu ich objęła, — cztery pasterskie serca uderzyły żywiej. Oto ciągną w góry, w hale, ze zgrzytem piargu pod stopami, z pohukiwaniem, z turlikaniem owiec, jako już pasterze duzi, którzy nie rok-dwa pasali. Cieszą się dumą swoją, rankiem tym

rzeźwiącym, słońkiem, co przez las prześwieca, i radosnem spodziewaniem, co ich tam czeka na hali. Niecierpliwość już wzięła ich skrzydlnemi dłońmi pod pazuchy i, jak piórka na powietrzu, lekko w górę ich niesie.

Las wkońcu poczyna rzednąć, — jeszcze chwila... i okrzyk radości wydarł się naraz z czterech młodych piersi. Oto otwarła się nagle upłazem ku nim idąca w niebo gdzieś hala, cała od słońca złota.

Tu ich lato pasterskie...

Śmieje się szczęściem do nich, tarzająca się po złotej trawie, rok niewidziana swoboda.

OWCE W BURZY

Wysoko w Tatrach, między skalnymi zboczami, znajdują się łąki, zwane hale, na których latem wypasają się liczne szałas. Taki szałas — jestto kierdel, do trzystu i więcej owiec, spędzonych z górskich osiedli. A rządzi nimi stary baca, który w kolebce dymnej wyrabia z mleka owiec sery. Ma on pod sobą kilku dorosłych juhasów, których zadaniem jest pilnować owiec. Pasą je dołem na halach, a czasem podchodzą z nimi po zboczach skalistych na wyniosłe przywierzchnie upłazy.

Gdy lato ciepłe, pogodne, to niema biedy z szalasem. Ale gdy się trafi rok zimny, burzliwy, gdy padną, — jak to w górach nierzadko bywa, — mgły, śloty, wichry, burze, lub śnieżyce, wtedy juhasi ciężkie mają z owcami przeprawy. Stworzenia te bowiem, z natury lękliwe, łatwo wpadają w popłoch; wówczas, zbite w ławę, suną przed się na złamanie karku i nic nie zdoła ich wstrzymać. Zdarzyło się raz, że — czemś spłoszony — cały szałas przyleciał z hal do wsi o mil kilka, i ludzie nie mogli zbitych w strachu owiec uspokoić. W ścisiku tym padło zduszonych kilkanaście jarek. Albo wówczas, kiedy to z szalasu na Kondratowej sto owiec przepadło... Jeden ze starych juhasów, który był przy tym szalasiu, tak później o tym wypadku opowiadał:

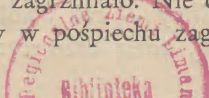
— Onego lata staliśmy z szałasem na hali Kondratowej. Od Zielonych Świąt, kiedyśmy z owcami wyszli, do końca miesiąca czerwca nic się nam niepomyślnego nie przydarzyło. Baca był nam juhasom rad, bo ani jedna owca z szałasu powierzonego nam w tym czasie się nie zmarniła. Aż nadszedł ów dzień feralny...

Było to coś w tydzień może po świętym Pietrze i Pawle. Już my rano wiedzieli, że coś będzie, bo owce, kieśmy wyganiaли, nie chciały jak zwyczajnie z koszara wyjść. Długą mieliśmy z nimi pracę, nimeśmy je wygnali.

Dopołudnia paśliśmy na hali, a po wydoju południowym zajęliśmy szałas i udaliśmy się pasęcy ku skalistym wierchom; minęliśmy przełęcz i spuściliśmy się z owcami na stronę południową. Były tam pośród skał upłazki trawiaste, i owce rade miały się po czem paść. Było w kierdelu pięćset owiec, a na to czterech nas juhasów do strażowania. Pies-owczarz, wprawiony w służbę, obiegając wkoło kierdel, pomagał nam w czuwaniu, by się owce zanadto nie rozchodziły.

Słońko, schylone już prawie na śródwieczerz, jakoś zabardzo przygrzewało. Aleć o jakiejś zmianie ani znaku. Cała połać południowa nieba była jasna, — dalsze wierchy Tatr i węgierskie widne niże topiły się w słonecznym zalewie. Co było z drugiej, od północy, strony, nie dało się przez przesłone ściany skalnej widzieć.

Nagle wyrzała rąbkiem ciemna chmura zponad północno-zachodniego szczytu i jęła szybko rósć na niebie. W momencie pewnym zagrzało. Nie czekając na dalsze oznaki, poczęliśmy w pośpiechu zaganiać wgórę ku



przełęczą owce, przynaglając je gwizdem i hukaniem. Pies też opędzał je, dysząc płomieniem ozora jak oszalała.

Nim do przełęczy dobiliśmy, chmura już zakryła słońce. Zniżala się włochatem brzemieniem i szła wprost na nas. Kłębiło się w niej okrutnie i szumiało aż strach nas oblatywał.

Naraz rozbłysło przeraźnie, — huk straszny potoczył się po wierchach okolnych, i lunął deszcz wraz z gradem. Siekło nas lodem i ulewą; widziało się, że nas żywo zmiecie. Krótco to na szczęście trwało. Zaczem zwała się na nas płachta chmury. Noc nas przysiadła.

Byliśmy właśnie na przełęczu.

I z tej nocy raz po raz otwierało się przeraźne, oczy ślepiące, światło; — za każdym łyśnięciem dreszcz przez ciało przechodził, — huk toczył się gdzieś w dole.

Byliśmy w środku burzy.

Ponad całą tą trwogą i przeraźnią górował w nas juhasach strach o szalas, o owce. Mogliśmy jeno spuścić się z niemi jedynym bezpiecznym szlakiem, ukosem z przełęczu, — a w momencie tym gadki o tem nie było. Zbiły się bowiem w strachu w jeden płach nierozzerwalny i na żadne hukania, gwizdy nie zważając, zsuwały się ścianą białą w stronę północną naślepo. W mgnieniach między łyskaniem, gdy noc zapadała, traciliśmy je z oczu. A gdy rozbłysło, to się jak lawina oczom złęknionym wyjawiała — sunące prosto na przepaść.

Rozpacz nas ogarniała. Ochrypli od hukania, wszelkich sił używaliśmy — rąk i kolan, — by je skierować w stronę prawą, gdzie bezpieczniejsze zejście. Na nic.

Żadna moc by ich w tym ślepych, lawinnym ruchu nie wstrzymała.

Tak zsunęły się nad krawędź przepaści. W rozbłysku światła widzimy, jak urywa się część wełnistej lawiny i niknie... Cud, że reszta, jakimś ostatnim instynktem powstrzymana, zwróciła się na prawo.

Gdy spuściliśmy się nadół, na halę, widniej się czyniło. Burza się z wierchów cofała. Na zachodzie pokazał się skrawek jasnego nieba. Policzyliśmy szalas — sto owiec brakowało. Byliśmy jeszcze radzi, że na tem się skończyło. Bo mogły wszystkie wpaść w przepaść.

ZŁA ZIMA

Zazwyczaj zima w górach daje się ludziom, jak i zwierzyńcu, we znaki. Lecz zimy takiej, jaka w tym czasie, o którym ninie mówimy, nastąpiła, nie pamiętali najstarsi gazdowie. Była to w całym tego słowa znaczeniu zła zima.

Spadł odrazu na Wszystkich Świętych śnieg wielki i sypał przez dni następne jak z wora, tak iż widziało się: wszystko w śnieżnej pogrzeży zatonię. Zaczem przyszła zawierucha, jęło dąć śniegiem lecącym i spadłym, — jedna biel wirująca podniosła się od ziemi do nieba. Trwała ta zamieć dni kilka; a gdy się wkońcu uciszyło i rozjaśniło nieco, przestawił się zdumionym oczom świat przeinaczony... Gdzie były poprzód dolinki, tam wzgórze białe — płotów, jak miedz wysokich, ni śladu, — koło ścian szańce, sięgające strzechy; każdy pień w sadzie odęty naokół, jakby wyrastał ze studni, a drzewa o pół skrócone: śniegu wzwyż do paru metrów.

Od izb do stajen by się dostać, rozkopy musiano czynić w zaspach i tunele, tożsamo i do studzien; z osiedla do osiedla śladów nie uświadczyl, — ani gadki, by się kto mógł przez topiel zaspów przekopać. Do tego mróz siarczysty chwycił. Zamknęło ludzi w domach.

Ptactwo przeniosło się w niższe okolice, by łatwiej

jakie pożywienie znaleźć, a wierne górom trznadle i sikorki cisnęły się do stodół i sieni.

Zwierzyny leśnej ani słyhu. Zajac gdzieś w szczelinie zaspu pod jałowcem znalazł przygodną schronę. Wiewiórki tkwiły w swych ruchowych pościelach, futerkami ogonów nakryte. Kuna też nie wychylała się z zaarendowanego wiewiórczego gniazda, w czarny swój mufek po oczy lśniące schowana. Lis zaszył się na pościeńnie jamy, kontentując się dogryzaniem pozostawionych z lepszych czasów kości. Borsuk w martwość zapadł w swojej norze, tłustością własną sycony. Dziki i sarny, które zima, raptownie zwalona, zastała w górnych uboczach, nie mogły już, z powodu zaspów niebywałych, dostać się w niższe, mniej srogie rejony i skazane były na przetrwanie, aż się odwilż przystępna uczyni. Gdzie je czas okrutny zapadł, tam trwały. Pojedynek lub w zbitych gromadach stały koło pni pod strzechą konarów, oszukując głód zmarzliną mchu, korą z drzew i czem mogły.

Tak pod schroną rozłożystej jedli na skraju zachylnej polanki skupiło się stadko małe: rogacz i trzy siutki; z tych jedna małżonka rogacza i dwie ich roczne lato-rosle. Odęło ich naokół zamkniętą ścianą śniegu, widziało się — ścianą studni, na której dnie się znalazły.

Zrazu nie było im nic. Odgrzebywały ratkami śnieg i z pod ścieli zamarzłej dostawały resztki jesiennej trawy, płatki mchu, igliwie cetyny, a nadzieja tkwiła jeszcze w ich siłach. Lecz mijał dzień po dniu, a znikąd żadnej odmiany, ba, coraz zimniej i głodniej. Co mogły z dna zdobyć, spożyły, — została ino ziemia szczerą,

na kość przez nocy parę zmarła. Tedy, gdy głód dopiekał, poczęły ogryzać spękana korę z pnia jodły. A gdy wewnątrz paliło pragnieniem, jadły śnieg, który ogień gasił. W czasie długich mroźnych nocy tuliły się do siebie i grzejąc się swem ciepłem, trwały w pół-śnie, pół-jawie.

Przyszły dni cięższe. Kory już na pniu nie stało. Głód począł słabić je w nogach. Najmłodsza siutka osunęła się na ziemię. A dwie pozostałe zwróciły oczy pytaniem błagalne na rogacza, na opiekuna jedynego.

Sarn pojął tę ich prośbę, sam uważył, że to już ostateczny kres. Trza znaleźć jakąś radę. Gdyby do lasu młodego nadół się przedostać, tam łatwiej dałoby się przetrwać. Gałęzie tam nisko zwisające, cetyna młoda, pachnąca. Tam siutki swe przewiedzie. Naprzód musi tor zrobić swą pierśią...

Rzucił się w ścianę śniegu, lecz owiózł się z powrotem. Nie dając za wygraną, oczyma siutek zachęcany, powtórzył próbę raz, drugi i trzeci... Za czwartym razem ugrzązł w zaspie i całego wysiłku musiał użyć, by się wydobyć z powrotem. O przedostaniu się dalej — ani mowy. Spuścił głowę ku ziemi na znak swej bezrady.

Minęło srogiej niedoli dni parę. Mróz się wzmagał. Stadko, osłabłe, już tylko śniegiem, skubanym z rzadka, zasłaniało straszny docisk głodu. Coraz słabiej opierały się zciężałe główki wzajemnie na szyjach, coraz smutniej patrzyły na siebie głębokie studzienki ócz. Fatum bliższego końca zawisło nad stadkiem onem. Minęło znów dni kilka bez odmiany.

Wreszcie nadszedł dzień, gdy najmłodsza ze siutek,

kiedy drugie powstały, już nie podźwignęła główki. Zbliżyła się ku niej matka i poczęła ją trącać lekko nóżką. Poczem, zrozumiawszy, oczy rozpaczne obróciła na ojca-rogacza. I druga córka nań patrzyła, a w oczach jej był lęk i nieme wołanie o ratunek.

Ryknął sarn, jakby w serce ugodzony strzałą i rozpaczą pchnięty, runął w zasp śnieżny. Utonął zaraz, lecz nie dał się pogrążyć. Począł podwajać skoki i parł pierś, garnął puszysty śnieg przed sobą, co chwila zapadając i wyciskując się przemocą w górę. Chciał masę śnieżną wziąć pod siebie, czynił wysiłki szalone, by się nad nią wydostać, lecz wielka masa puszysta wciągała go jak woda.

Począł nareszcie płynąć.

Nióśł rosochatą głowę jak mógł najwyżej, a nogami przebierał, pruł zaspę rozpaczłą zaiście siłą.

W pewnym momencie obrócił głowę za siebie. Uczynił już tor spory od drzewa. Obaczył swoje dwie siutki, jak się zabrały za nim, — lecz osłabłe ustały wnet, i musiały się cofnąć.

Przetoruje im drogę podwójnie, — wróci po nie. Pewny zwycięstwa, począł płynąć przez polankę dalej. Lecz opór był nadmierny. Długie godziny uszły, nim dobrnął na środek.

Odpoczął moment i znów ruszył naprzód. Natrafiał na głębiny, w których nogi dna nie dostawały, — osuwał się, a oczy śnieg mu zasypywał. Parskał wtedy, wyrzucał sobą w górę, brał pod się puszyste fale — i płynął, płynął, płynął... Na tem białem jeziorze polanki zdawał się jak łódź łykliwa, za którą szlak długi sinieje.

Już przepłynął część większą, — już, już skraj leśny niedaleko... Zwycięstwo!...

Znowu zapadł na głębi. Śnieg na oczach... Czyni wysiłki okrutne, lecz nie może opanować chłonącej go, sypkiej, białej masy. Siły, rozpaczą dobyte, wyczerpały się w męce.

Próbuje wrócić — na nic — masa ciężąca nie puszczą, pęta nogi, całe ciało zesłabło w kleszcze zimne zagarnia.

Ostatkiem siły jeszcze wyrzucił głowę w górę — i znieruchomiał w zaspie.

Na drugi dzień ślad już przetoru nie ostał. Zarównało go nocą. Wspaniałe jeno rogi rosochate, uniesione ponad śnieg, świadczyły, gdzie ustał wczora rogacz...

Gdy słońce wyszło nad polankę i szronem osypane latorośle rogów oświeciło, zakwitły one ogniem przedziwnym, jakoby z bajki wyjawiony, bezcenny krzew poświęcenia.

O R Ł Y

Na baszcie niedzickiego zamku nad Dunajcem, naprzeciw ruin Czorsztyna, gnieździła się para królewskich orłów. Stąd, z tej wysokiej straży nadgranicznej, panowała nad całym Spiszem.

Stąd czyniła wyprawy powietrzne po należną jej z ziemi tej daninę. Nie wybierała jej jednak, podług tradycyjnych wskazań, z okolicznych wsi: aby gniewu i pomsty w sąsiedztwie tak bliskiem, coby bezpieczeństwa gniazda zagrażało, nie wywoływać, — lecz zapuszczało się jedno lub drugie w swych wycieczkach daleko na południe, aż poza Poprad, Kieżmark, Podoliniec, w słowackie niżnie dziedziny, i stamtąd rabowało sobie prawem orlem naznaczony haracz.

W dni deszczowe, zamglone, siadywały w posępie na krawędzi baszty i chmurnym wzrokiem pozierając zgóry, ostrzem dziobów gładziły nastroszone pióra. Zaś gdy rano się otwarło słoneczne i granie Tatr Wysokich rysowały się na czystym bez chmurki błękiecie, tedy przestworem pogodnym ciągnięte porywały się samolotnie z baszty, wzbijały się ku niebu wysoko i nad poniżoną ziemią majestatyczne zataczały koła.

W promieniach ich podniebnego wzroku zieleniło się wdzięczną mapą wdole całe ich królestwo spiskie: od si-

ných murów Tatr po liljowe Pieniny, — od niebieskiego zakola Dunajca po lśniącą wstęgę Popradu. Władnym, przewładnym wzrokiem toczyły po swej ziemi, a zaś pogórzysty, z góry zrównany kraj, — gdy ponad nim szerokie zataczały kręgi, — harniał, zdało się, ich widokiem. Ludzie, pracujący w polu, prostowali plecy swe z nad ziemi i słońc oczy dłonią przeciw słońcu, śledzili wzrokiem podziwu ich królewskie zaiste okręża.

— To wej spaniały ptak! — mówili w dumie: — Jak se hań po niebie płynie...

A one płynęły istnie, jak admirałskie przepyszne okręty, po morzu niebios. Płynęły po błękicie bez celu, pośniewając w słońcu jak dwa ciemne obłoki.

Nieraz zaś głód je i troska o orlęta młode do kołowania celowego zmuszał. Wtedy odbijały się daleko od gniazda, szybowały utartymi szlaki na południe i tam nad roztoczą dolin, nad dziedzinami słowackimi toczyły koła złowrogie, wypatrując zwysoka żywiny. Ludzie tu już nie sławili ich władnych okrężeń, lecz je jak manewry wrogie traktowali.

— O, patrzcie! — wskazywali w górę na kołujące. — Już po podatek przybyły... Już upatrują rabuśniki, co w swe szpony by porwać!...

Choć w rzeczy, co się koło osiedli kręciło, — żadna z tego orłom naszym korzyść. Gołębie, kurczęta, kury — za licha to dla ich trudu zdobyć. Tę zostawiały czeladzi swej: jastrzębiom i krogulcom.

Co inszego, gdy się zabieliło na pastwisku kędyś jagnię młode, — gdy się ukazał zajęc w polu, lub zaczerwienił się lis przemykający, — gdy sarnię wyszło na po-

lankę... Wtedy orzeł czy orlica (które z nich koło ponad tem toczyło) ściągało raptem wiechy skrzydeł i strzałą prosto spadało ku ziemi po upatrzony łup. Porywało go w straszne kleszcze szponów i najbliższym szlakiem spieszyło do gniazda z ciężącą w onych zdobyczą. Tu na nią czekały ostre haki dziobów, zdaleka się już przy zbliżającym się znanym szumie skrzydeł łakomie roztwierające.

Gdy młode orlęta opierzyły się natyle, że wyrosły im długie lotki skrzydeł, wówczas rodzice wywoływali je z gniazda i zaprawiali w ćwiczeniach do lotu. A skoro już widzieli, że samotne dadzą sobie radę, wtedy wypuszczali je z pod swojej opieki. I widać było z pobliza Niedzicy, jak toczyły godzinami na powietrzu koła z oczekującym kwileniem: „U-li! U-li!“ — aż je wkońcu głód doskwierający do przedsiębiorczości samodzielnej zmusił.

Co rok wylatywało z baszty zamku nowe pokolenie, które zakładało w pobliskich Pieninach, w lasach Felsztyna lub w tatrzańskich turniach swoje wysokie osiedla, i mnożyło wyprawami swemi na południe chwałę niedzičkih orłów.

I dobrze się królewskiej parze orłowej, nad Spiszem panującej, wiodło. Widziało się, że szczęście, mocnym sprzyjające, na stałe przy niej osiadło. Aleć wiadomo, że i panujących ślepy grot losu nie omija.

W jedno pogodne rano orzeł, na którego wypadła kolej zdobycia obiadu, porwał się z poszumem z baszty i popłynął zwyczajem swym ku południowi. Mijały się oczom jego ległe w poniżu, wdole, i w opyli słońca zatone pagórza spiskie, doliny, — na prawo zaś spię-

trzały się w górę ostremi załamami granity Tatr i stał samotnie na uboczu groźny cień rzucający Murań.

Przypomniało się pływającemu podniebnie orłowi, jako niedawnym czasem jagnię przysiadł na zboczu Murania. Pies-owczarek zrobił chark, juhasi przypadli, — a on im je na oczach w powietrze uniósł.

— Możeby zboczyć... Znajdzie się zapewne jeszcze... i byłoby bliżej do obiadu.

W tej myśli odmienił ster w kierunku na zachód i wnet nadpłynął nad ścięte stocze Murania. Począł zataczać koła, wypatrując zgóry. Ujrzał na zielonym upłazie owce białe, cały rozsypany kierdel, niby kamyczki ruchliwe. Opuścił się w okrążu i śledził je dokładniej lunetami ocz. — Pilnowało je, widział, dwóch juhasów: jeden ciupagę dzierżył w ręku, drugi zaś połyskujący, strzałoosny kij. Nic sobie nie robił z tego, choć znał te kije zdradliwe, — byleby jeno upatrzeć odpowiedni łup...

Zoczył wreszcie dwa jagniątko, przyostające po boku. Jedno z nich sobie naznaczył i już miał je na celu żrenicy. Kiedy, kołując coraz wężiej, znalazł się prosto ponad niem, stulił raptownie skrzydła i piorunem szumiącym spadł na nie. W mig poderwał się od ziemi z wiszącym w szponach. Jeszcze nie odbił się w górę, kiedy huk wypadł znienacka i wraz łoskot bolesny przeszył mu skrzydło. Posypały się pióra... Kiedy huk drugi dobiegł z ziemi, był już z łupem wysoko.

Odtąd orzeł nasz szwankował na zdrowiu. Mógł jeszcze unosić się na falach powietrza, ale już niepewnie, chwiejnie, jak aeroplan o zwichniętem skrzydle; o dalekich zdobycznych wyprawach nie mogło już być mowy.

Cały trud dożywiania orląt spadł teraz na orlicę. Co rano szybowała ku spichrzom południa i powracała wcześniej, później, — nigdy z próżnemi szpony.

Kiedy jednego dnia zabawiła dłużej na południu i wracała do gniazda ze zdobyczą koło śródwieczera, zdała już, nadpływającą, uderzył widok dymu skłębio- nego nad basztą zamku. Tknięta trwogą, pomknęła chy- zo, co sił w skrzydłach. Nie było już wątpliwości: pożar obujął basztę. Ujrzała też poprzez dym latającego w oszaleniu orła, wydającego dziwne skwiry trwogi.

Puściła ze szponów łup i sama wpadła w gęstą chmurę dymu.

— Pisklęta!...

Dojrzała je przez rdzawy dym w gnieździe, które już języki płomieni muskały. Wydała krzyk krótki, ścina- jący krew i na ślepo rzuciła się ku nim... Chwycić je w szpony i wyrwać wgórze z otoczy płomieni było jed- nem — ponad śmiercią — mgnieniem. Zaskwierczały pióra od gorąca, żar oczy skrwawił. Nic to — przebiła się już z nimi przez noc dymu, wyniosła je na powie- trze i opodal w lesie na mchu wilgotnym złożyła. Stwier- dziła w szczęściu, że żyją. Oczadzone dymem i gorącym chłód powietrza otrzeźwił.

Zleciał też ku nim orzeł-inwalida. Dużo było milczą- cej powieści. — Po naradzie krótkiej zabrali pisklęta ra- zem i przenieśli je za Dunajec do ruin Czorsztyna. Tu za- łożyli nanowo osiedle. Stąd starostują dalej nad ziemią spiską.



PRĘDKI MICHAŁ

Dla Michała z pod Gronia czas nic nie znaczył. Co dziś zamyślił, to się napewno po latach musiało zrobić. Chyba żeby się nie zrobiło. Jako i z tą świetlicą... Lecz o tem trzeba skraja opowiedzieć.

Michał gospodarz niebiedny i nie stary jeszcze, od roku mieszkał w nowym domu. Dom, jak zwyczajnie, miał dwie izby, przedzielone sienią. Michał jednak mieścił się z całą rodziną tylko w jednej izbie, zwanej piekarnią; druga, świetlica, stała dotąd niewykończona. Brak w niej było okien, drzwi, pieca i podłogi.

Ile razy Michał przechodził przez sień i pozierał na rumowisko otwartej świetlicy, tyle razy postanawiał w duchu:

— Trza będzie pomyśleć o wykończeniu.

Ale wciąż coś zachodziło, — jak nie to, to tamto, — czas ubiegał i rzecz się oddalała. Rok drugi minął i trzeci, a świetlica stała — nie skończona.

Mieszczącym się w jednej izbie było zaiście ciasno. Latem jeszcze jak latem, dzieci szły w pole do robót, drzwi się otwierało, — ale zimą, gdy się wszyscy w izbie gromadzili, do tego kury, króliki, czasem cielę, — jak to w większem gospodarstwie bywa, — nie było się istnie gdzie obrócić. Gość jaki gdy się nadarzył, nie było

go zgoła gdzie usadzić. Cóż dopiero, gdy nadszedł czas, kiedy ksiądz miał chodzić po kolędzie. Michałowa ze wstydu pod ziemię chciałaby się schować. Wtedy też Michał miał za swoje!...

— Twoja to wina, — krzyczała do męża — że ja przed księdzem muszę czołem świecić. Jakże osobę duchowną w takim chlewie gościć! Świetlica dawno mogłaby być gotowa. Ale tyś zawdy prędko.

Michał w pokorze zwieszał głowę, czuł przecie, że żona ma słuszość. Łagodził ją też słowami:

— No, deżyjże spokój. Już ja się do tego wezmę, jak jeno kolędy przejdą.

Ale czas kolęd i postu minął, przyszła wiosna, z wiosną znów roboty pilne, potem sianokosy, żniwa, i rok jak amen uleciał. Świetlica, jak stała niewykończona, tak stała.

Zdarzyło się w pewnym czasie, że któryś z panów z powiatu, bawiąc na komisji w okolicy, przechodził mimo domostwa Michałowego. Bardzo mu się położenie domu spodobało.

— Co za widok stąd macie! — pochwalił. — Moglibyście mieć mieszkańców na lato, jeno wykończcie świetlicę. Za czynsz z jednego lata kosztą się odbiją. Gospośia może przytem sporo groszy zarobić na miejscu za mleko, jaja, których swym gościom dostarczy.

Zwidziała się ta rada Michałowej.

— Musisz raz wreszcie świetlicę wykończyć, — oświadczyła stanowczo mężowi.

— Ja też tak myślę, — odrzekł zgodnie Michał. —

Czas już najwyższy, by zabrać się do tego. Jenó deski trza naprzód przystroić...

Miał Michał swój las przy gruncie. Zdobył się na to nareszcie, że upatrzył dzień w tygodniu, przynajął chłopą do siebie, poszli do lasu i drzewo na deski ścięli. No, dobrze. Trza było teraz drzewo to obrobić, zepchnąć ku drodze i zawieźć do tartaku. Na to już Michał nie mógł się tak rychło zdobyć. Myślał poprawdzie o tem, by zaczęłą robotę dokończyć, ale zawdy coś mu przeszkadzało.

Pół roku uszło, nim się Michał mógł zabrać do obróbki drzewa, i znowu drugie pół roku, nim je na drogę zepchnął. Tam i zostało. Leżało wprawdzie na głowie Michałowi, i nie raz, nie dwa pomyślał: „Trza to drzewo do tartaku zawieźć“. Ale wciąż coś zachodziło, czas ubiegał, drzewo na drodze gniło. I świetlica stała — nie skończona.

A tu w piekarni stawało się coraz ciaśniej. Dzieci podrosły. Dawniej troje i czworo drobiazgu wyspało się napoprzek na łóżku, teraz trza było więcej pościeli sposobić. Bywało, że Michał sam nieraz na podłodze się ułożył, serdak pod głowę jeno podścieliwszy. Gdy mu ta poniewierka dokuczyła, nieraz nocą westchnął:

— Już ja muszę tę świetlicę skończyć...

Ale w świetle dnia ten mus się rozwiewał. I mijał tak miesiąc za miesiącem, rok za rokiem, — świetlica stała — nie skończona.

Ludzie patrzący na to jego zwłóczenie z robotą, ukuli nawet przysłowie: „Prędki, jak Michał z pod Gronia“.

Świetlica zresztą, tak jak stała, bynajmniej nie próz-

nowała. Latem składano w niej potraw, jesienią len, grochowiankę, ku wiośnie zawierano do niej kózki i jagnięta, a przez rok cały służyła za skład sprzętu gospodarskiego.

Lecz zimą biało w niej było od zasy py śnieżnej; a gdy z wiosną przybyły roztopy, śnieg topniał i zlewał się w kałuże. Zaledwie zaś wsiąkły, odnawiała je każda ślota, deszczem wpadając do środka przez puste otwory okien.

Co Michałkowi trudno, to Michałowi jeszcze trudniej. Lata szły, dzieci dorastały, — Michał z wiekiem coraz to większą czuł w kościach ociężałość. Pozierał smutno na świetlicę:

— Trzeba by dokończyć...

Ale już nie miał wiary, by to zrobić.

— Dorośnie syn, to izbę dokończy.

Gdy syn dorósł, nie było już co dokończyć. Świetlica bowiem zgniła...

INKLUS W GOSPODARSTWIE

Jan Głowa i Gawel Głąb, rozbudowani osobno sąsiedzi, gospodarzyli na jednej 24-morgowej zagrodzie. Każdy z nich miał porównie po 12 morgów, tylko w parcelach mijanych, położonych w dwóch pochylnych spadach.

Obaj byli w równych średnich latach, jednakowo mieli dzieci po kilkoro i zdrowie równie obu służyło. Zdawałoby się, że jednakowo też powinno im się powodzić. Ale tak w rzeczy nie było, Głowie wszystko szło „jak z płatka“ — Głąbowi „jak po grudzie“. U Głowy chleba nie zbrakło — u Głąba niedostatek nieraz pobawiał w chałupie. Pracował poprawdzie Głowa, ale i Głąb nie próżnował. Jakaż tego odmiennego powodzenia mogła być przyczyna?

Kiedy ludzie postronni, nasłuchawszy się narzekania Głąba i cierpkich jego uwag o powodzeniu sąsiada, pytali się go, co za powód, że Głowie oto na takiej samej połowce zagrody zgoła inaczej się wiedzie, Głąb znacząco wznosił oczy, niby dziwując się ich niedomyślności...

— Nie wiecie?

I wytrzymawszy ich ciekawość, rzucił szeptem tajemniczym:

— Głowa ma inklusa.¹

Tedy wszystkim — co ciemnem w tej sprawie było, jasnem się naraz stawało, i odchodzili z chrząknięciem rozumiejącem:

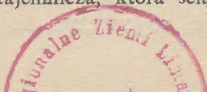
— Patrzcie, ktoby się spodział...

Głowa istnie miał inklusa — jeno wcale nie takiego, o jakim ludzie myśleli. Inklus jego był w oświacie. Czego Głęb znowu, jak Głęb, docenić nie umiał. Podczas, gdy on np. święto czy niedzielę uważał za dzień próżniaczy, Głowa nie ciężał sobie ostać po sumie w czytelni, posłuchać przemów, jakie się nadarzyły, zwłaszcza interesowało go szczególnie, co instruktor rolniczy, dojeżdżający z powiatu, o uprawie ziemi, o hodowli, wogóle o podniesieniu gospodarstwa rolnego opowiadał. Nie poprzestając na tem, zaprenumerował sobie *Przewodnik Kótek Rolniczych*, *Gospodarza Polskiego*, i o jakiej książeczce dowiedział się jeno, że o sprawach rolniczych traktuje, starał się ją niezwłocznie sprowadzić.

Stało się mu dużo jaśniej w głowie i zrozumiał, że już tak pchać to życie, jak ojcowie pchali, czas idący nowy nie pozwala. Grunt, pole, choćby i niemałe, to jeszcze nic. Trzeba uważać, zbadać, czego potrzebuje, aby się mogło plonami odplacić.

Chodząc po polu z myślą uprawy odmiennej, uważył naprzód, że dobrzeby było parcele rozrzucone zcalić. Daleko łatwiej bowiem na jednym kawałku większym doświadczenia gospodarskie robić. Ku scaleniu nie wi-

¹ Inklus — siła tajemnicza, która ściąga szczęście (bogactwo lub powodzenie).



dział przeszkody — pogadać jeno z Głębem. Spotkawszy go tedy na zagonach, zaraz do rzeczy przystąpił.

— Wiecie, kumie — powiada mu — mierzą mnie te parcele mijane, te miedze. Dwóch nas ino jest, po jedni pola mamy — przetnijmy zagrodę na pół, niech każdy ma swoje pole w caliźnie. Wybór wam pozostawię, którą połówkę zechcecie. Co wy, kumie, na to?

Głęb się zastanowił. „Co Głowa może w tem mieć? Bez interesu na to by nie ciągnął..“

— No cóż? Przystajecie na podział? — naglił Głowa.

— Coby nie. Ino trza się zastanowić...

— To się zastanówcie rychło; dajcie mi odpowiedź. Ale Głębowi się nie spieszyło.

— Kie Głowie tak o to chodzi, to widać chce sobie lepiej — dumał. Chcąc się w tej myśli upewnić, do ludzi zwracał się po radę:

— Tak a tak — mówi — sąsiad mnie haw na podział nakłania. Widać się mu parcele moje większe widzą, bardziej obsuszałe, abo kto wie...

Ludzie, jak ludzie — przytakiwali Głębowi, bo cóż ich to w rzeczy obchodziło. I Głęb się w podejrzeniu swem co do sąsiada utwierdzał.

Wkońcu Głowa, nie mogąc się doczekać odpowiedzi, postanowił robić próby na parcelach, jak są. W tym celu wybrał dwie największe i, pokrajawszy je na równe działki, przeprowadził na nich z nawozami, zalecanemi w książkach, doświadczenia. To samo zrobił na łące.

Głęb przypatrywał się temu zdaleka i pokpiwał z tego wobec ludzi:

— Wiecie, wiecie, co on nam tu Głowa nie pokaże.

Kraje parcele, odmierza, idzimieruje po łące — jakiś popiół sprowadza, rozsiewa — dziwy istne na polach wyprawia.

— Pewnie tych sztucznych nawozów próbuje, które ten pan z powiatu zachwalał.

— Będziemy widzieć, co za gotowe manny rósć mu będą...

Głowa o tych podrwiwaniach wiedział, czy nie wiedział — nic go z drogi postanowienia nie myliło. Zebrawszy plony z tych części, które doświadczeniu poddał, zważywszy je i porównawszy, zobaczył jasno, co się gdzie nadaje. Te więc nawozy pomocnicze począł stosować przez rok jeden, drugi — i doczekał się wnet nad cud rezultatów. Stodołę musiał rozszerzyć na słomę i siano, również śpichlerze na ziarno. Inaczej też wyglądało teraz i w stajni u niego. Bydło, lepiej odkarmiane, nabrało lica, krowy poczęły dawać dwa razy więcej mleka. We wszystkim znać było przyrost a przybytek.

Głęb, widząc to, zieleniał z zazdrości. A kiedy latem przeszedł się po polu i porównał zboże swoje liche ze zbożem Głowy, sam już nie wiedział, co sobie z zawiści począć. Postanowił wreszcie chwycić się sposobów Głowy.

— Co, czy ja to gorszy? — honorzył się. — Głowa myśli, że on ino mądry, że niktó tego samego nie potrafi. Nie żadne to szkoły, gimnazyje — za pieniądź wszystko dostanie. Trzaby się ino wywiedzieć, co on to używał, co mu tak dobrze skutkuje.

Z Głową samym nie chciał o tem gadać. Wywiedział się więc z boku, jakie nawozy sprowadzał, poczem

z żydkiem w karczmie się naradził i już wiedział, czego się trzymać. Skoro nadeszła wiosna, dowiózł nawozów sztucznych worków sporo i z dumą, jak uważał, po polu je rozsiał.

Teraz z niecierpliwością oczekiwał lata. Co kilka dni zazierał na pole, rychło pocznie zboże strzelać w górę... Jakież było jego — coraz to większe — stropienie, kiedy widział rosnące jak pod urokiem jakimś zboże Głowy, a swoje — nikłe, jak było lata łońskiego. I tak aż do zniw samych. Dziwował się w zgryzocie, nie wiedząc już, co sądzić.

A iście dziwu nie było żadnego. Bo gdy Głowa, nauczony z książek, glebę naprzód przebadał i wiedział, co na której z nawozów rozsiewać, to Głąb takimi szczegółami wcale się nie bawił. Rozsiał więc supersfosfat czy azotniak na glebie kwaśnej, podmokłej, żuźle na zamuszonym hycu i t. p. Przytem, gdy Głowa sprowadzał nawozy pewne przez Składnicę Kółka Rolniczego z Syndykatu, to Głąb brał je od żydka-karczmarza „po taniości“. Juścić siły potrzebnej nie mogły mieć. A jeszcze źle zastosowane, nijakiej glebie lichej nie dały korzyści.

Głąb, widząc ten skutek marny, zwątpił odrazu w zalety nawozów sztucznych.

— To ino podrywka Głowy, coby mnie bardziej pognębić.

A to, że zboże Głowy jak las się kłosiło, wcale już teraz nie było dla Głąba dowodem, że to nawozy sprawiły.

— Insza to — mówił z naciskiem — przyczyna.

Takiemu, choćby i nic nie wsiął, to się udarzy. Ma inklusa.

I tak już Głowa pozostał z inklusem — a Głęb z biedą.

JAS W CHOCHOŁOWIE

Jaś Łukaszczyków z Poronina pod Zakopanem pocałował starego ojca w rękę i poprosił:

— Nie brońcie mi, tatusiu, na niedzielę do Chochołowa.

Było to akurat na rok przed wojną, w lutym.

Ojciec się wypatrzył nań:

— A cóż to tam ma być?... Odpust jaki?

— Ba, wielgi! Święto chochołowskie.

— O takim święcie my tu nie słyszeli.

— Boście, tatusiu, nie czytali w naszej gazecie. Jak to Chochołowianie razem z księdzem zrobili powstanie i mieli iść panom polskim na pomoc.

— To niby w czterdziestym szóstym?

— Zgadliście. Jak przyjechały potem jegry z miasta i namówili Dunajczan, coby ich przeciw Chochołowianom skupili, jak przyszło koło kościoła do bitki, i jak się smutnie skończyło.

— Bo tak się musiało skończyć.

— Ba, wiera! A kieby Dunajczanie byli nie zdrażili...

— Co ty o tem, smarku, możesz wiedzieć?

— Jaż wiem, co wiem, tatusiu. No i teraz, skoro się znowu coś stroi...

— Co się ma znowu stroić?...

— Powiadają, — ściszył głos Jaś, — że śpiące wojsko ma się ruszyć...

— Oj, bajaku, bajaku!

— Toż to postanowili na Podhalu, — ciągnął młody czytelnik gazetki, — uczcić pamięć tych powstańców i naradzić się...

— I ty się na te narady wybierasz? — zakpił ojciec.

— Nie, jaby się ino chciał przypatrzeć. Całe Podhale ma tam zjechać. Pozwolicie mi — prosił.

— No dyć... jakeś tak ciekawy...

— A nas nie zawzięłbyś? — wtrąciła żartobliwie siostra Tereska z pod okna, gdzie przędła kądziel z matką.

— Czemu nie? Zaprzągnę Łyska do sanek i — wio!...

Miał lat przecie piętnaście i sam już furmanił; a widząc uśmiech pobłażliwy ojca, klasnął w dłonie, podskoczył i pięta w piętę jak tancerz uderzył:

— Tereś! Mamo! Jedziemy!

Gdy wyglądana niedziela nadeszła, już od przedednia Jaś się zerwał, do świtu konie napasł. Wystroił się też jak na wesele. Gdy się dzień widny zrobił, Jaś stał już gotów ze sankami i z koniem na obejściu. Wyszła siostra Tereska, również jak druchna strojna. Za nią matka. Wsiadły w sanki. Jaś przypiął różdżkę białą do chomąta konia, ujął za lejce, — ruszyli.

Z tego, owego osiedla, gdy je mijali podrodze, wyjeżdżały na szosę równie wystrojone sanki i łączyły się z nimi. W Zakopanem pod kościołem spotkali gotowych już do wyjazdu kilkadziesiąt sań, ubranych w bukiety, wstęgi, jak do ślubu. Dołączyli się i ruszyli kuligiem świętym w stronę Kościeliska.

Dzień, jak umyślnie na to święto, cudny. Połsniewają zbocza Tatr, błyszczą hale, — okieść drzewa odziała jak w bajce. Światło słońka przesiewa się przez różowe na szczytach obłoki i osrebrza w powietrzu śnieg przelatujący. Sto sanek z brzękiem dzwonek przez tę bajkę mknie...

Tuż przed Witowem przywitała kulig banderja strojna górali. W paradzie jechano dalej. Na wstępie do Chochołowa bramy przybrane zielenią: „Witajcie!” — A potem sam Chochołów... Domy wszystkie umajone, — na dachach chorągiewki, — u wrót otwartych każdego osiedla gazda i gaździna, odświętnie ubrani, z ukłonem nadjeżdżających w gościnę zapraszają.

Stanął Jaś z koniem na jednym obejściu. Sam poszedł do środka wsi. Już tam było ludno jak na odpuszcie. A tu gościńcem od Nowego Targu nieprzemierzony sznur sań wali. Również z drugiego traktu, z Odrowąża... I z trzeciego... Prawdziwie chochołowskie święto. Wzruszeni też Chochołowianie.

O jedenastej dzwony się ozwały. Ruszono do kościoła. Lecz kościół duży część tylko mógł pomieścić ludzi, — reszta została na dworze. Po sumie wszystek naród załegł plac wielki przed kościołem, gdzie widniała zdaleka wysoka, ubrana w barwy trybuna. Jak okiem rzucić: głowy, głowy, — czuchy białe i czarne, i chusty niewieście. Całe istnie Podhale tu ściągnęło. Są z pod Tatr wszyscy, z pod Gorców, nawet z dalekiego Czorsztyna, — tylko, mówią, sąsiednich Dunajczanów brak. Wstydzili się przyjść na tę rocznicę: że to ona Chochołowianom chwala, a im gańba.

Cóż to się tam wśród tłumu pod trybuną miga? Przedziera się Jaś bliżej, by zobaczyć: — Broń, lufy, szeregi junaków z piórami orlemi w górę, z karabinami na ramionach... Zadrzało wzruszeniem nieznanem góralskie serce Jasia... „Pierwsza drużyna Podhala!” — Czy to nie o tem śpiącym wojsku?...

Na trybunie stanął wójt chochołowski. Serdecznie podziękował wszystkim za przybycie, za ten zjazd tak wspaniały. Potem były przemowy — jedna, druga... Nie wszystko rozumiał Jaś, ale czuł, że serce mu rośnie i aż piersi rozpiera. Wreszcie ukazał się na trybunie góral stary, — drżącym przemówił głosem:

— „Staję tu, rodny Dunajczanin, za braci swoich, za Dunajczan. Niema ich między wami, — uważali, że nie mają prawa do tego święta. A ja to prawo mam. Kupiłem je krwią własną za Polskę w r. 1863, i niewolą moskiewską. Tyle mogę na obronę braci Dunajczan rzec, iżę mniej byli winni jak ciemni. Dzisiejsi ich synowie tę winę ich czują. I jużby inaczej poszli, gdyby padło... Może czas ten niedaleki. Niechże im będzie darowane i nie wspomnane. Niech już stanie między nami wieczne pojednanie“.

I ręce wyciągnął starcze do wójta z Chochołowa. Uścisnęli się mocno i ucałowali.

Naród wszystek poruszony płakał. Padał na głowy odkryte śnieg polatujący. Słonko w gorze radośnie jaśniało i Pan Jezus uśmiechał się w niebie.

Nazawsze w serce Jasiowe zapadła ta święta w Chochołowie chwila.

DYZMA W BETLEJEMIE

Dyzma, odkąd zapamiętał, to jest od dziecka-sieroty, pasterzem był cudzego dobytku. Ostatnio w latach starszych na juhasa się najmował i pasał owce na halach. Po rodzicach swych nic w spadku nie dostał, jako że był w rozumie ułomny. Przytulisko miał jednak u zamężnej siostry, która grunt odziedziczyła. Póki siostra żyła, było Dyzmie znośniej; ale gdy ją Bóg zabrał, a szwagier ożenił się wtórnie, o Dyzmę nikt się nie zatroszczył; dobrze jeszcze, że go pod dach na zimę przyjmowali.

I zestarzał się Dyzma, pasając ludzki dobytek, a niczego się przez tyle roków nie dosłużył. Miał jeno pieska, co mu stał za całe mienie. Wołał na niego: Wiernuś. Była to mała, kudłata, bardzo zmyślna psina. Wierny był, to już niema co powiedzieć. Chodził za Dyzmą wszędy, na krok go nie odstępował, nosił za nim kapciuch, serdaczynę, — służył mu wiernie, jak Dyzma ludziom.

Z latami Dyzma na piersi zapadał, nogi poczęły mu ciężyc i za owcami prędko chodzić nie mógł. Ale przed ludźmi nie narzekał. Wiernusiowi się tylko uskarżał, który mu też pomagał nawracać owce.

Zimy w komórce przy szwagrze przepędzał. Czy

tam chorował, czy nie, nikt się o to nie spytał. Coraz też bardziej przykrzył mu się żywot.

Jeden miał Dyzma tydzień w roku jasny: święta Bożego Narodzenia. Gdy się zbliżały, już się naprzód cieszył, gorączkowym spodziewaniem je witał. Były to przecież święta jego, pasterza. Nic on nie umiał, do szkoły żadnej nie chodził, nauk, przykładów katechizmowych, ni modlitew nie znał, — umiał jeno z pamięci kolędy. Jakoś łatwo, z powietrza ich się nauczył. Bo też tam prawie wszystko w nich, co znał i rozumiał, co mu było bliskie i znajome.

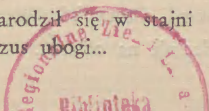
Pasterze bieżeli,
Gdy głos usłyszeli...

To napewno ci pasterze, co paśli przed nim na halach. O nich w kolędach stoi. Cała ta historia prawdziwa: jak w kolebach swoich posnęli, a tu się ogień na niebie pojawił; jak się ze snu porwali, pytają: „Co się to dzieje?“, aż ci gwiazda stanęła przed nimi i zawiodła ich prosto do stajenki. Gdzież to ta stajenka być mogła?

W Betlejem przy drodze
Jest szopa zła srodze...

O Betlejemie słyszał, że miało być gdzieś daleko, w żydowskim kraju. Ale owa „zła szopa“ musiała tu być gdzieś blisko, przy końcu wsi, skoro „pasterze do niej przybieżeli“ w tę samą noc.

Narodził się w stajni
Jezus ubogi...



O Bogu Dyzma mgławe miał pojęcie. Wiedział jeno, że to wszechmocny Pan, do którego on, biedny owczarz, bał się przybliżyć; w kościele nie śmiał iść ku ołtarzowi, stawał poza wszystkimi innymi, przy samym progu. Ale ten „Jezus ubogi“, co się narodził w stajence, przyośmiał ubogiego Dyzmę, iż z całą ufnością w upośledzeniu tem swoim by się Mu oddał. A jeszcze, gdy wyobraził Go sobie jako leżącą na sianku Dziecinę, to już tajał cały w sercu i łez słodkiego rozczulenia nie mógł powstrzymać.

Kolędy przenosiły Dyzmę w jakiś świat lepszy i prostszy. Podczas całych świąt chodził jak w błogim śnie. Widzieli mu się wszyscy ludzie dobrzy, bratni wszystkim i przyjaźni. I cuda, w innym czasie od ziemi dalekie, zdawały mu się w tym czasie możliwe.

I raz w tem nastrojeniu przyszło mu do głowy, że się może znowu Betlejem i owa stajenka z Dzieciną przybliży, i że się może na oczy biednym pasterzom okaże. Skoro tamci z kolęd ją widzieli, czemuż i ci dzisiejsi, nie mogliby jej widzieć? Aż mu od tego zamarzenia serce radością trwożną podskoczyło. Tedyby i on, Dyzma, dostał tego szczęścia, żeby się mógł pokłonić Jezusowi-Dziecinie w stajence? Juścić nie z próżnymi rękami by poszedł. Jak to ta kolęda... co to ze sobą przynieśli:

Jędrak kopę siana,
 Łukaszczyk barana,
 Dyzma oszczypków parę —
 Dziecinie na ofiarę...

Wyraźnie: Dyzma... Dyćby i on oszczypki... Czyby to już naprzód mieli o tem śpiewać? Aż się wstrząsł cały. Uwierzył, że to się stać może. Jak rychło, — trudno zgadnąć, ale się stanie.

Myśl ta go już nie opuściła. Czasem słabła, czasem się jaśniej zaświecała, ale w nim trwała. Przyduszały ją głody i chłody, jakie podczas zimy długiej, w komórcie u szwagra mieszkający, znosił; na halach, przy owcach wyzwalala się znowu — a już na adwencie, gdy święta się zbliżały, przemieniała się w gorączkę oczekiwania.

Za paszenie przez lato otrzymywał on w zapłacie oszczypki. Otóż wybierał z nich najładniej urobione, najpiękniejsze, i kładł je na wysokiej półce, aby się dobrze do tej chwili ważnej zachowały.

Przed wilją stroił się, jak mógł najlepiej. Włosy przystrygał, onuce prał, płaszcz stary łatał, by się jak najprzystojniej w stajence śnionej okazać. W noc pierwszą święta nie spał wcale. To do okna, to na niebo co chwila pozierał: światła, wezwania czekał. Gdy noc minęła, powiedział sobie w duchu: „Jeszcze nie czas... Na drugi rok się stanie“.

A im dalej w lata zachodził i słabnął, tem goręcej nadzieję tę żywił.

Aż przyszło owe Święto Narodzenia...

Dyzma leżał na wyrku w stajni. Tam go, jako chorego, mającego wnet umrzeć, wyniesiono. Zresztą cieplej mu tu było przy oddechach bydłat, bo zimnica go trzęsła.

Dyzma leżał w gorączce, ale pamiętał przecie, że to dziś wilja. Kazał też sobie, gdy gospodyni była w stajni

doić, oszczypków parę przynieść z komórki swej i miał je w pieczy na wyrku — resztę zato zlecił gospodarzom. Wiernuś został zwinięty przy nogach jego.

Nadszedł wigilijny wieczór. Wieczereżę jedzono w domu i łamano się opłatkiem — o Dyzmę w stajni któżby się kłopotał? A on, ciężko na wyrka swoim oddychając, radosne w duszy miał myśli. Czuł, że się dziś ów cud, długo czekany, spełni. Wyzierał go całym nastrojeniem duszy. Opar gorączki wielkiej wraz z mrokiem nastalym zasnuwał zwolna jego zmysły, iż mżyć począł półsennie. Trwał w mżeniu chwile długie, aż północ się zbliżyła.

Naraz ocknął się Dyzma. Cóż się to dzieje? Jasność niezwykła uderzyła w jego oczy. Słyszy muzykę niebiańską... Pojrzy na wnętrze stajni — a tu stajnia odmieniła się do cudu. Wszystko się zasrebrzyło naraz, zazłociło — pajęczyny wiszące u powały stały się obłokami, z poza których migają się w świetle główki aniołków. Widzi... ze drzwi otwartych przez próg sypią się owce — jedna za drugą... poznaje te, które pasał — cały ich kierdel, o wełnie w blasku srebrzonej, wpływa do wnętrza... Aż ci oczy go wiodą do żłobu — ku miejscu, skąd światło bije — i widzi na złotem sianku Jezuska, jasną Dziecinę...

Zrywa się co prędzej z wyrka, bierze w trzęsące dłonie dwa serki, złazi na ziemię i drżąc na całym ciele, a przeciskając się przez gęstwę owiec, zbliża się do żłobka-słonka. Tu pada na kolana i serki dwa u stóp Dzieciny kładzie.

— Jezusku! Jezusieńku! — tyle jeno wydoła powiedzieć.

Śmie podnieść wzrok — i widzi: Dziecina się doń uśmiecha.

Tedy już Dyzma nie może błogości w serce napłynionej przenieść. Traci się w niebie.

Skoro przyszedł ktoś rano do stajni, zastał Dyzmę na wyrku martwego. Radość miał w twarzy, jakiej nikt u niego w życiu nie widział. Usnął w Betlejem pasterz Boży. Wiernuś go oplakiwał.

SZKICE I WSPOMNIENIA LITERACKIE

O ODCZUWANIU DZIEŁA SZTUKI

Fragment odczytu „Z powodu *Wyzwolenia*“¹

I.

Tytuł afisza zapowiada pogadankę „Z powodu *Wyzwolenia*“. Wielu też zapewne przyszło z tą myślą, że usłyszą rozbiór *Wyzwolenia*, lub jeden więcej sąd o tym tworze. Ale z powodu jakiejś rzeczy można o zgoła innych rzeczach mówić; z powodu mgły np. można mówić o melancholji. Ja też z powodu *Wyzwolenia* chcę powiedzieć parę uwag o różności dusz ludzkich, o stosunku widowni do dzieła i przejść do szczytowych rzeczy twórczości ducha polskiego, do wydanych po śmierci poety dzieł Juliusza Słowackiego. Na pozór rzecz nie związana, — ale o ileż się to nieraz rzeczy różnych przez jedną godzinę w logicznym myśli postępie potrafi!

Ostając już przy użytym wyżej porównaniu (choć to porównanie słabe), — powtarzam: stosunek rzeczy, które tu mam mówić, ma się tak do *Wyzwolenia*, jak melancholja do mgły; nie przeto, iżby mi się bezpośrednio z powodu *Wyzwolenia* urodziły, boć przecie i melancholja nie rodzi się z mgły, ale ją sobie człowiek wobec mgły np. bardziej niż wobec słońca uświadamia.

¹ Odczyt wygłoszony był w Zakopanem dnia 21 marca 1903 r.

Wyzwolenie, a raczej przyjęcie, jakiego doznało od ludzi, piszących swoje ze sztuki wrażenia, lub o tej sztuce krytyczne uwagi, — uświadomiło mi mocniej spostrzeżenia, jakie mi się dawniej nasunęły, o stosunku ludzi do dzieł sztuki, — te zaś wyłynęły konsekwentnie z wiary mej o różności dusz ludzkich, której tu nie będę rozwijał.

2.

P. Ostap Ortwin zamieścił w *Krytyce* swoje wrażenie z *Wyzwolenia*. A to wrażenie jest takie mniej więcej: — Hamlet-Wyspiański wystawia swoją sztukę *We-sele* wobec Klaudjusza-publiczności. Sztuka powinna nosić tytuł *Łapka na myszy*. I Hamlet-Wyspiański patrzy w twarz Klaudjusza-publiczności, jakie ta sztuka jego wywrze wrażenie. Nie zrozumiano. Więc Hamlet-Wyspiański wystawia drugą swoją sztukę p. t. *Wyzwolenie*, która ma być policzkiem dla Klaudjusza-publiczności za niezrozumienie poprzedniej. — To wrażenie miesza p. Ortwin z innemi, a całe jego studjum jest osobistym dramatem, napisanym w formie artykułu z powodu *Wyzwolenia*.

Prof. Chmielowski znów ze swego stanowiska krytyka rozpatruje sztukę i podnosi wiele wad, które można ująć w takie zdanie: że sztuka ta właściwie nie jest napisana, że autor dopiero na scenie kłopotuje się z myślami swojemi — i zamiast jednolitego dzieła sztuki daje chaos nadlatujących pomysłów, stąd niejasność i załamywanie linii przewodniej myśli dramatu.

A inni znowu inaczej pisali, — więcej ujemnie lub bardziej entuzjastycznie. I wszyscy mieli rację.

Kto największą rację miał (czyli kto najlepiej zrozumiał zamiar autora), o to nie chodzi, — bo wszyscy rację mają. Powiem więcej: Nietylko ci, co podnoszą wady lub zalety formy, ale nawet ci, którzy całkiem różnie rozumieją ideę główną dramatu, i nawet ci, co zgółta tej idei nie widzą w *Wyzwoleniu*.

3.

Ludzie stają wobec dzieła sztuki jak wobec zjawiska przyrody.

Weźmy więc takie zjawisko powszednie, jak zachód słońca. Jak wobec zachodu słońca zachowują się różni ludzie?

Chłop będzie patrzył jak na wróżbę i będzie się starał z zachodu słońca wymiarkować, czy będzie jutro pogoda, co za tem — czy da mu jęczmień zebrać lub co insze. Chłop dalej posunięty w rozwoju umysłowym będzie, patrząc na zachód, chwalił wszechmoc Boga, czyli będzie uwielbiał nieznanego autora tego wspaniałego dzieła.

Inny znów człowiek zachowa się wobec zachodu słońca krytycznie. Będzie mówił np.: — „Wspaniały byłby zachód, gdyby nie te chmurki niepotrzebne, które zastępują oczom. Wogóle zachód niejasny!“ I odwróci się niechętnie, mówiąc: — „Wczoraj był zachód daleko wspanialszy“.

Malarz będzie wypatrywał w zachodzie słońca zestawienie barw, grę światła i t. p.

A stanie znowu wobec niego człowiek z dramatem w duszy swojej (jak Ortwin wobec *Wyzwolenia*), —

i będzie w zachodzie słońca widział s w ó j dramat przedewszystkiem, przez wyobraźnię nieraz spotężniały do tragedji wszechludzkiej. Przykład: Kasprowicz, jego *Pieśń wieczorna*. Stojącemu wobec zórz zachodu, jak Mojżeszowi z ognistego krzaka, wystrzela Bóg-sumienie z krwawego ogniska, palczaste odpromienie są mu ręką karzącą Sędziego, — i człowiek gnie się, czyni spowiedź wszystkich win i grzechów, a zorza paląca się martwo poza szczytem pada mu na duszę lękiem, staje mu przed oczyma jak życie, jak fatum, jakimś odwiecznym, „kamiennem, ślepem przerażeniem...”

A jeszcze inni inaczej się zachowają, — ogromna skala różnic. Jedynie ludzie o podobnych duszach podobne z tego zjawiska przyrody mogą odebrać wrażenie.

Tak dzieje się i wobec dzieła sztuki. Weźmy np. wypełnioną widownię w teatrze. Jestto zbiorowisko ludzi (a raczej grup), na różnych stopniach umysłowego rozwoju będących, prawie tak różnych pomiędzy sobą jak rasy; — i jakże wszyscy mają z przedstawionego utworu na scenie jednakie wrażenie odnieść? Dzieło może wywołać podobne echo tylko w duszach, na tym samym stopniu rozwoju będących.

Śmieszne są gadania twórców, uważających widownię za jednolite zbiorowisko, nazywających je pogardliwie tłumem. Tak samo naiwne są i głosy krytyków, wymyślających „publiczności“, że sztuki nie zrozumiała. Gdyby oni zrozumieli, co to jest „publiczność“, toby się wtedy nie dziwili, ani nie gniewali, że sztukę t a k przyjęto, nie inaczej, — bo t a k musiano przyjąć.

Każdy odnosi takie wrażenie ze sztuki, jakie mu do-

zwala odnieść jego rozwój umysłowy. Autor może stać w rozwoju swoim wysoko ponad nim, — wtedy szczere dzieło tego autora będzie w większej części dlań niezrozumiałem, a zrozumiałem to tylko będzie, co odpowiada stopniowi jego rozwoju. Znowu: — autor może stać niżej w rozwoju swym od niego, przeto dzieło tego autora będzie dla niego rzeczą słabą. I w tym i w tamtym wypadku człowiek ten słusznie dzieło sądził. Lecz z takich ludzi składająca się „publiczność“ będzie dla autora niemiłą, — będzie więc niemiłą zawsze, bo zawsze ci różni od niego ludzie będą większością stanowili. Bo stopni jest liczba wielka, a on będzie miał w widowni jedyną sympatyczną grupę, t. j. ludzi na tym samym stopniu rozwoju umysłowego będących, na którym sam się znajduje, to znaczy: przyjaciół swoich, znajomych i nieznajomych. Ci jedynie mogą rozumieć jego utwór tak, jak on sam go rozumiał, tworząc.

Tych przyjaciół znajdzie zawsze każdy. Niema bowiem środowiska, w któremby człowiek nie znalazł podobnych sobie w rozwoju. Chyba nadzwyczajnie rzadko. Przeto niema dzieła tak wielkiego, ani tak małego, któreby nie miało wielbicieli. Komedje Bałuckiego, sztuki Przybylskiego, legendy o Matce Boskiej Gawalewicza i inne. I to wielbicieli szczerych. I więcej ich zapewne jest niż zwolenników *Wyzwolenia*.

Podkreślam: Mówiłem dotąd o szczerem wrażeniu ludzi z dzieł sztuki, mówiłem, jakie powinnyby być różne to wrażenie odnośnie do różnych stopni rozwoju dusz ludzkich, — i przez to naturalnie, gdyby było szczerze.



Ale jest rzecz jedna, która zaciemnia to jasne odnośzenie się ludzi do Sztuki, co nie dozwala wielom uświadomić sobie rzeczywistego, z natury, z konieczności wpływającego stosunku do dzieł różnych. Jestto wrażenie narzucone, zachwyty sztuczny, nie płynący ze zrozumienia utworu.

Zachowanie się ogółu nie rozumiejącego piękna, a chwalaącego je, przypomina anegdotę (zdaje się, prawdziwą) o zachowaniu się górala-przewodnika. Ten szedł najpierw z malarzem, poetą, — i gdy ci zachwycali się pięknnością przyrody górskiej, on milczał, udawał, że się czem innym zajmuje, ale pilno słuchał, i nawet zapamiętał se dobrze ich gesty. A teraz idzie z paniami „z Warszawy“, i stając w miejscach, gdzie tamci stawali, z podobnym szerokim gestem wypowiada frazesy, jakie zapamiętał. A panie się dziwią: — „Ach, co to za lud, czujący piękno!“

Znaczy: Artyści tyle nagadali i napisali o pięknie, o formach piękna, że każdy może powtarzać to samo, zgoła nie rozumiejąc, nie czując. A zwłaszcza ci, podobni w bladze przewodnikom (choć dużo niżej od nich stojący myślowo), fachowi sprawozdawcy, recenzenci i t. p. przewodnicy po galerjach sztuki. Te sądy nieosobiste ciągle latają w powietrzu, snują się po pismach i są największą przeszkodą ludziom w pojmowaniu Sztuki. Te sądy pełne zachwyty o rzeczach małych, a ujemne o wielkich.

Jakie dzieło jest wielkie? Powiadają: — „gdy dzieło znajduje oddźwięk w każdej duszy“. To wcale rozumne powiedzenie, jeno wogóle źle rozumiane. Powiadają

też: — „gdy przerasta pojęcia tłum”. I w tem jest prawda, ale nieświadomiona.

Genjalna jednostka (że użyję używanego wyrazu), lepiej: twórca wielkiego dzieła musi przechodzić w rozwoju swoim wszystkie stopnie, na jakich znajdują się ludzie o duszach niższych w swym rozwoju i z każdego stopnia coś w jego duszy ostaje. Przeto każdy z będących na niższych od niego stopniach rozwoju znajdzie w jego utworze coś nowego. I dzieło jego znajdzie naturalny oddźwięk w każdej duszy. Ale nie w całości.

Prawdziwa wielkość dzieła będzie nie to sztuczne pona d, (bo się tak można pomylić, biorąc niejasność wypowiedzenia się za przerost pojęć), ale spojrzenie ze stopnia wyższego niż znajdujący się w widowni.

Jeszcze jedno. Rzecz wielka zawsze będzie jasna, dla każdego inaczej i w części (to jest właściwie nie dla każdego, lecz dla różnych grup, na różnych stopniach myślowego rozwoju będących). Ale wielkość jej (jej genjalność — jak mówią) będzie w tem, co jest niezrozumiałe wszystkim stopniom, co przerasta pojęcia nie tłumem lecz najwyżej posuniętych w rozwoju umysłowym. Ta wielkość będzie różnością twórcy od przyjaciół, jego tylko indywidualną własnością.

4.

Prawdziwie wielkimi, a w Polsce największemi utworami dramatycznymi są — podług mnie — dramaty Słowackiego, wydane po jego śmierci; niestety, nie wszystkie skończone, z kilku jeno fragmenty ostały. Te fragmenty czynią wrażenie, jakby się stało wobec stłu-

czonego posągu; — odłamy na podłodze: tu ręka się wala, tam część głowy i — widzi się z tych odłamów, co to za arcydzieło być mogło i żal ogromny obejmuje serce. Genjalność twórcy widzi się w tych gruzach.

Dla mnie te rzeczy są szczytowe nie tylko w dramacie, lecz i w poezji polskiej. Człowiek wyszedłszy z dzisiejszego bezpoczucia bogatego patosu sztuki, znużony, — tam wchodzi jak do świątyni gotyckiej. Dusza tam człękowi rośnie. I żal, że te arcydzieła są tak mało znane. Leżą spokojnie w pyle na półkach księgarskich, — a tu o rzeczach małych tyle gwaru dokoła się czyni.

Chciałbym na te dzieła, korzystając z dzisiejszej chwili sposobnej, zwrócić uwagę, — tembardziej, że widzę w nich dużo z genezy dzisiejszej twórczości Wyspiańskiego. Twierdzę, — że wywarły, jak na każdego z poetów muszą wywrzeć, — wpływ wielki i dały pchnięcie jego myślom, owo wysokie napięcie uczucia narodowego. Nawet w formie często się napotyka podobieństwo. W takich rzeczach, jak np. rytm niespodzianie prosty, — owe powiedzenia wieszczce, i wiele innych.

Najlepiej będzie wykazać, czytając. Biorę pierwszy z kraja fragment dramatu p. t. *Beniowski*...

— — — — —

PULKOWNIK MIŁKOWSKI

Wspomnienie

Zapewne wielu z uczęszczających do gimnazjów galicyjskich przed laty dwudziestu, biorących udział w tajnych kółkach samokształceniowych, które naówczas były jedynym, bardzo rewolucyjnym odruchem wśród przyniatanej systemem szkolnym młodzieży, pomni do dziś, jakie znaczenie miała dla nas *Rzecz o obronie czynnej* Miłkowskiego. Była nam ta książeczka niejako ewangelją narodową. Był to naówczas, w latach szarżyzny pozytywistycznej, gdy zewsząd szły ku nam aż do uduszenia monotonne litanje o „pogodzeniu się z losem“, jedyny śmiały głos, traktujący wręcz o walce zbrojnej. Młodzież w lepszej swej części nie dała się też uwieść monotonnym tubom, przez wszystkie organa sennie dowodzącym o „konieczności pracy organicznej“, lecz poszła za budzącym głosem Pułkownika. *Rzecz o obronie czynnej* była dla wielu pierwszym pchnięciem na drogę wyzwoléniejszego działania.

Bawiąc zimą 1898 r. w Genewie, miałem szczęśliwą sposobność poznać czcigodnego pisarza-Pułkownika osobiście. Dziś widzę tę postać niezwykłą, jak mi w pamięci oczu i serca została, o steranem, zasuszonem czole, o wydatnie kościstej i smagłej twarzy kresowca, wąsach za-

wiesistych, ustach zaciętych wolą twardą, o oczach głęboko smutnych, na wieczność sprawie zaprzysięgłych.

Bywałem u państwa Pułkownikostwa prawie codziennie przez parę miesięcy na herbatach i pogawędkach wieczornych. Ś. p. pani Miłkowska, o gładko zczesanych białych włosach, o jasnych niebieskich oczach, miłym uśmiechu, staruszka o wdzięku dziewczynki, snuła się cicho, nalewając herbatę i wypowiadając swoje trafne o sztuce, o ludziach uwagi. Pułkownik zaś, zwyczajnie pół siedząc pół leżąc obok na szezlongu, żuł pod wąsem zwieszonym smutek przeżytych lat, nawiązywał do nędzy spraw tegoczesnych, które dzienniki nadnosiły, a gdy rozmowa potraçała o sprawy przeszłe, — opowiadał.

Nie miał w sposobie opowiadania nic z rozwlekłości, ni powtarzań, właściwych ludziom starym; nie zbaczał w epizody mniej warte uwagi, nie rozgałęział, lecz mówił treściwie, zwięźle, po żołniersku. Nie opowiadał, lecz raczej wspominał.

Wspomnienia jego miały dla mnie urok niezwykły. Mówił o ludziach czczonych, dawno zmarłych, widzianych już tylko w legendzie. Dawaly im barwę życia. Wolski Włodzimierz, Lelewel, generał Bem, Mickiewicz, Sadyk Pasza i inni, zstępowali ze sztychów spłowiałych, nabierali rumieńców żywotności. Z Wolskim i Lelewalem żył w Brukseli, z generałem Bemem walczył w rewolucji węgierskiej 1849 r., Mickiewicza poznał u schyłku dni jego żywota w Konstantynopolu. To też starałem się często wracać pytaniami do przeszłych zdarzeń i ludzi, aby móc słuchać jego żywych i bogatych w treść niezwykłą wspomnień.

O różnym nastroju były te wspomnienia, zależnie od spraw i osób, o jakie potraçały. Był w nich i humor niekiedy. — Raz, baczę, była rozmowa o Słowackim, o jego w początkach twórczości zapoznaniu. Pułkownik nawiódł wspomnienie, jak studentem jeszcze, z rodzicami mieszkającymi na Wołyniu, był w gościnie w sąsiedztwie. Zjechało się osób sporo, był i mąż pani Bobrowej, który właśnie powrócił z Paryża i przywiózł nowinki świeże. Słuchano z ogromnem zajęciem. Otóż on, wśród wieczerzy, między innemi powiada:

— Wyobraźcie sobie, państwo, zjawił się w Paryżu jakiś młokos, który mieni się być większym poetą niż Adam.

— Ho, ho! Któż to taki? — pytano w zdziwieniu.

— A syn tego profesora z Krzemieńca, Euzebjusza Słowackiego.

— Cha! cha! cha! — całe zebrane towarzystwo wybuchnęło jednogłdnym śmiechem.

Ironizował też Pułkownik przy rozmowie o Krasieńskim, niestosunek wielkiej duszy do jej ideału, przypominając listy owej „boskiej Dally“, których forma jest zadziwiająca; dziwnem bo zaiste wyda się śmiertelnym, że ideał ten mógł pisać nieortograficznie.

Lecz najczęściej wspomnienia i opowieści Pułkownika surowe były w treści, jak jego żywot pielgrzymi.

O sobie mówił niewiele i niechętnie, chyba gdy tego wymagała konieczna prawda rzeczy, którą przedstawiał słowem. Baczę jedynie wspomnienie jego osobiste o dniach głodu w Londynie i o biedowaniu w Bułgarji, gdzie był przymuszon nędzą nosić kotły na targ. Przy tem wspo-

mnieniu ostatniem oczy jego z wdzięcznością i rozrzewnieniem spoczęły na miłej głowie przyjaciółki-żony. Widać niemałą w tych ciężkich dniach była mu siłą i pomocą.

Najchętniej rad wspominał epizody z walk o wolność Węgier, w których jako oficer z wieloma towarzyszami polskimi brał udział. Opowiadał o generale Bemie, Görgeyu, Czajkowskim, rysując wyraziście ich postaci, lub o przebiegu bitew i potyczek, w których uczestniczył. Plastyka, z jaką kreślił obrazy walk, jakoteż wzruszenie towarzyszące słowom, dowodziły gorącości udziału jego w tych przeprowadkach.

Nie zapomnę momentu. Pani Miłkowska grała...

Grywała dość często na fortepianie, a grała pięknie, może nie nazbyt uczenie lecz dziwnie uczuciowo, osobliwie. Szopena zwłaszcza grała nadzwyczajnie, inaczej niż się go słyszy przez wirtuozów grywanego. W Brukseli przez Wolskiego poznała jeszcze tradycje muzyczne salonu ks. Czartoryskiej, jego własne, Szopena, reprodukowanie. Był to Szopen niejako mówiony, nierówny, głęboki i nadwrażliwy, wstrząsający do głębi i przedziwnie jakiś bliski, zwyraźniały. Na jej partyturze ołówkiem przez Ujejskiego wpisane słowa do Mazurków dowodziły tem żywiej, że Ujejski nic Szopena nie czuł, nie rozumiał.

Otóż proszona przez nas jednego wieczoru siadła do fortepianu i poczęła grać. W kolei przerzucanych rzeczy zagrała Marsza Rakoczego. — Wśród tych związanych mocno, czardaszowych dźwięków przychodzi miejsce o wysokiem potencjalnem napięciu. Pojrzą na Pułkow-

nika, — a ten wysztywniał jakoś, pobladł, i łyzy mu po zaschłych licach jak tarki się staczają... Po przebrzmieniu tonów marsza, czując moje nieme pytanie, powiada:

— Marsza tego, a zwłaszcza jednego w nim miejsca, nie mogę słuchać spokojnie. To miejsce nawodzi mi żywo... Przy dźwiękach tych szedłem siedemnaście razy do ataku.

I drugie jego wzruszenie pamiętam.

Czytał mi parę razy, gdym był u niego w pokoju, na głos Słowackiego, aby podkreślić piękności, któremi się zachwycił. Czytał przepięknie, z istotnem zrozumieniem twórcy *Króla Ducha*.

Otóż przeczytał mi raz jednego wiersz *Na pogrzeb kapitana M.* Zaczął — rzecz tę ogromną w swej prostości — prosto:

Braliśmy nędzną trumnę ze szpitalu,
Do żebraczego mieli rzucić dołu.
Ani łyzy jednej, pamiątki, ni żalu...

Czytał dalej z powstrzymywanem drżeniem serca. Lecz gdy wygłaszał słowa:

...i niech się przed Panem
Pochwali tem, co krzyż na grobie gada,
Że był w dziewiątym pułku kapitanem,
Że go słuchała rycerzy gromada
I że ojczyźnie jest niczem nie dłużny,
Chociaż osobny ma pomnik — z jałmużny, —

głos mu się załamał w wewnętrznym szlochu, łyzy się po brzdach lic potoczyły.

Czułem wzruszony, że los swój, powstańczego pułkownika, widzi w tym żalonym losie „kapitana M.“, który, cały swój żywot oddając Ojczyźnie, ma wkońcu pogrzeb — z jałmużny.

Opanował się jednak, wyprostował i niezwykle mocno, jak rozkaz ku niebu dzwoniący dumą boleści, zakończył:

...Ale Ty, Panie, który z wysokości
 Patrzysz, jak giną Ojczyzny obrońce,
 Prosimy Ciebie przez tę garstkę kości,
 Zapal przynajmniej na śmierć naszą słońce, —
 Niechaj dzień wyjdzie z jasnej niebios bramy,
 Niechaj nas, Panie, widzą, gdy konamy!

— — — — —

MARJA WYSŁOUCHOWA

Wspomnienie

„Z Boufałów Marja Wysłouchowa po długich i ciężkich cierpieniach zmarła 20. marca 1905 r. we Lwowie. O dobre wspomnienie Rodaków duch Jej prosi“.

Takie karty żałobne cień rzuciły na Lwów i poleciały po ziemiach polskich i dalej, jak czarne ptaki-wieści.

Nigdy może na żadną wieść o zgonie niewiasty polskiej tyłu ludzi nie zapłakało. Nigdy jeszcze nad żadną mogiłą tyle dusz żalem przejętych nie stało. Nigdy nie zdarzyło się czytać telegramów, kondolencyj z wyrazami żalu i współczucia — tak szczerych, bezpośrednio z serca wypisanych, tak ociekających łzami prawdziwemi; a pod temi kondolencjami tyle mówiących nazwisk ludzi, których we znacznej części solą tej ziemi smutnej nazwać można.

Już to wyraźnie wskazuje, kto nas odszedł i jakie życie musiało być Tej, która tyle żalości przez odejście swoje zostawiła.

Słowa są za powszednie i za zbrukane przez używanie ich częste w celach kłamanych określeń, aby wypowiedzieć żal, jaki uczuwa dusza strapiona, rozpamiętująca niepowetowany ubytek Ducha jasnego z pośród nas,

trwających tu jeszcze czas jakiś. Wyrazić owo uczucie może chyba jedynie święte milczenie żałobne, jakie obejmuje duszę wobec mogiły, okrywającej niezadarnioną ziemią wielkie Serce, które nam było jeszcze wczoraj żywe i darzące.

Ale milczenie mową jest osobistą bardzo. A mówić trzeba mową, któraby słyszana była, gdzie tylko druk dochodzi, szczególnie tam, gdzie uciechą witano, jak najdroższego gościa, jawiącą się co miesiąca *Zorzę*.

Więc powtarzam i aprzód, co osoby różne, a jednakiem przejęte żalem, zapisały po Jej zgonie.

Marja Wysłouchowa urodziła się na Litwie, w tej ciaśniejszej ojczyźnie Mickiewicza i Kościuszki i wielu jeszcze serc wielkich, i obraz tej ziemi rodzinnej do końca żywota najmiłośniejszym jej pozostał — mówiła o niej z uczuciem gorącym, malowała ją żywo słowy płonącemi.

Jakie było jej wzrastanie, jakie rozbudzanie się onych uczuć, któremi później miała nam zaświecić — o tem nie mogę, nie znając żywota jej z tych lat, opowiedzieć. Mogę jeno nadmienić, iż z pewnością nie brała wzorów z nieba Orzeszkowa dla swoich bohaterek powieściowych, lecz musiała je spotykać na Litwie. A zaś krewną z ducha tych bohaterek (zwłaszcza Dzikiej z *Dwóch biegunów* i Seweryny z *Ad astra*), wydaje mi się Marja Wysłouchowa.

Zaczem, według podanych, nauki wyższe czerpała w zamrocznym grodzie carów — i tam jej duch, nienawidzący niewoli wszelakiej, tem silniejszym napawał się przeciw niewoli protestem. Potem słyszymy o niej jako o nauczycielce w Warszawie, gdzie zjednała sobie przez

bogactwo duszy swej niezwykłej wiele serc dużych i umysłów — tu do Galicji później wspomnienia częste za nią szły i stąd wymieniała z przyjaciółmi tam pozostałymi listów budujących sporo.

Aż wreszcie z mężem swoim Bolesławem z ziemi prześladowań carskich przybyła do Galicji. Wiadomo, jakie tu najdowali „schronienie“ Królewiaczy i rodacy z Litwy, zwłaszcza ci, którzy nie przyszli szukać spokojnego dachu nad głową, ale nowego pola czynu... Nie było kamieni, którychby im pod stopy nie rzucano — nie było oszczerstw, którychby na nich nie miotano. Gorzycie wspomnieć!

Dziś przecie już w tej smętnej Galicji wyrąbano parę okien „na Europę“, — wówczas była jako gmach koszarowy, jako ta izba zadymiona z okiennicami zamkniętymi szczelnie.

Marja Wysłouchowa była jednym z tych świetlanych promieni świetlnych, które przez szczelinę, zawiewem wichru ducha uczynioną, wpadły do ciemnej izby — i po wiem bez przenośni: była jakoby budzącym aniołem, który stanąwszy u drzwi półotwartych, wołał w głos zacządzonych mieszkańców ku światłu...

Osiadłszy z mężem we Lwowie, poczęła naprzód gorącą działalność wśród niewiast lwowskich. Chciała ona duszyczki, interesom małym poświęcone, zachęcić sposobami, jakie jej rozum i serce nasuwały, do pracy nad sobą i nakłonić je do pracy społecznej. A natrafiała co krok na mur przeszkód, zatęchłych pojęć i przesądów. Brała też udział w „Czytelnicy Naukowej“, ogniskującej podówczas najdzielniejsze umysły z pośród młodych.

Przytem współpracowała w redagowanym przez męża *Przeglądzie Społecznym*.

Rozumiejąc, iż duszom dzieci winno się przedewszystkiem uwagę poświęcić, aby zaś nie wyrastały zubożone, jakie ze smutkiem co krok spotykała, oddała się z całym właściwym jej zapałem nauczaniu. A nauczanie rozumiała w jedynem świętem znaczeniu: duszom ku rozwojowi pomagać. Zachowały też dla niej wdzięczność i cześć, które od niej, jako swej nauczycielki, skarby ducha i serca jej brały. Jedna z jej dawnych uczenic wspomina: „Nieraz dawała nam kwiatki. Dając, opowiadała zazwyczaj legendę, podanie ludowe o odnośnym kwiatku; czyniła go w ten sposób mówiącym niejako — czyniła z niego nowy łącznik między duszą dziewczęcia, a ludem tej ziemi!“

Nie na tem polu jednak miała nam dusza jej, nieznaną spoczynku, w całej swej pełni zakwitnąć, ale na niwie naskiej, na ugorach chłopskiego mozolu. Tem ohotniej skierowała zdolności swe na to nowe odłóże działania, iż spotykała tu serca wdzięczne, naprzeciw idące, podczas gdy działalności jej nauczycielskiej stawali przeszkody sami rodzice-społobywatele.

I tu jedyną dewizę miała: duszom ku rozwojowi pomagać... Najświętsze to działanie, z jakim dusza, miłością przejęta, może do ludzi przyjść. Za to pamięć jej czcimy, i przez to duch jej pozostał przy nas — i w nas po części — nieśmiertelnie, póki to życie iść będzie po schodach swoich — ku Bogu...

Dla narodu polskiego świętą pozostanie, bowiem pełniła przykazanie serca, miłującego Ojczyznę — miłość

ta gwiazdą jej była przewodnią — i setki, tysiące dusz, narodowo nieuświadomionych, nieznużoną pracą swą Ojczyźnie zdobyła.

Stronnictwo ludowe, albo właściwiej narodowe, miało w niej pracownicę dzielną. I jeśli duszą stronnictwa był (jako i jest) Bolesław Wysłouch, to ona była tego stronnictwa sercem. Korespondowała na szpaltach *Przyjaciela Ludu* i osobiście z wielu włościanami, a każdego duszę rozumiała, z każdym umiała pomówić o tem, co go najbardziej dotyczyło. Kochał ją też lud świadomy, jako swoją nauczycielkę jedyną, czego dowód widoczny dał, zgotowawszy jej owację serdeczną w czasie Wystawy Krajowej we Lwowie.

Więcej jeszcze zespoliła się z ludem, gdy poczęła wydawać *Zorzę*, pismo miesięczne dla niewiast. Miesięcznik ten ostanie na długo wzorem, jak winno być prowadzone pismo literacko-społeczne dla ludu. Niestety — i ona czuła to, mimo skromności swej — nikt jej w podobnej pracy nie zastąpi. Przy współpracownictwie paru ledwie piór zapełniała *Zorzę* prawie sama, opowiadając w sposób przystępny a mądry o wielkich naszych duchach, o ludziach czynu i nauki, o ważniejszych momentach historycznych, o wszystkim wreszcie, co serca w szarzyźnie życia mizernego krzepi i ducha do borykań o święte prawa sposobi. Dlatego *Zorzę* nie jeno niewiasty wiejskie mogły czytać z pożytkiem dla siebie — czytali ją też chętnie chłopci, uważając ją za pismo „swoje“. Zaś jako wydawczynię charakteryzują ją najlepiej jej własne słowa (z listu do Jana Wantuły na Śląsku): „Proszę nie szukać dalszych nowych czytelników, i tak aż

za wiele ich w Ustroniu. Wszak jedni od drugich mogą pożyczać do przeczytania. Szkoda krwawo zapracowanych groszy...”

To zdanie ostatnie mówi więcej o sercu jej niż cała spisana książka. Tak czysto kochała lud, jego ducha niewydobytego, tak serdecznie obchodziła ją jego nędza. Słusznie też *Przyjaciół Ludu* we wspomnieniu pośmiertnym, gdzie ją nazywa orędowniczką i pocieszycielką ludu, po wyrażeniach smutku z utraty jej, pisze: „Możemy powiedzieć, że umarła z żalu serdecznego i strapienia nad niedolą ludu polskiego”.

*

Oto w najkrótszym ujęciu obraz zbożnej pracy, jaką Marja Wysłouchowa życiem swem pełniła. Pominięte zostało wiele, bo całe piękno, na które się składały godziny wszystkie, tak pilnie i umiejętnie przez jej zapał twórczy zapełniane.

Oдноśnie do pracy jej społecznej, to trzeba zaznaczyć, iż nie chciała ona „przemieniać ziemskiej doli w żywot ducha na księżycu“, lecz tu na ziemię słońce chciała ściągnąć, aby wszystkie dusze ludzkie, zwłaszcza te w ciemni, jako nać ziemniaczana w piwnicy, rosnące, promieniami żywotnymi ogrzało, izby wszystkie zarówno mogły rósć — ku niebu...

Taki z miłości zrodzony zapał ludzie mali zwą egzaltacją, rozumiejąc, iż oni w swem przyziemnym pełzaniu wyżsi są od dusz, płonących dążeniem *ad astra*...

Aleć Marja Wysłouchowa umysł miała krytyczny, jeno nie suchy... przez co poezją stawał się każdy jej

wykład rozumowy. Nie było też dla jej umysłu dziedzin obcych. Tu mi się zbaczuje, jak z bratem przyrodnikiem zaszedłem do niej we Lwowie przed laty kilku. Wiedząc, czem serce przyrodnika najbardziej ucieszy, mówiła z nim o przyrodzie tej ziemi przez całą niemal godzinę z taką znajomością rzeczy, zwłaszcza roślinnego świata, iż on, w poznaniu tej dziedziny wiedzy nieostatni, wyszedł z rozradowanym umysłem, doznaku oczarowany.

Posiadała Marja Wysłouchowa ogromny dar i artyzm słowa. Styl jej szlachetny, prosty, nie szukany, a ozłacany płomieniami serca, był dokładnym wyrazem jej krystalnej duszy. I mówczynią była urodzoną. Mówiła tak, jak pisała. Dała się też poznać jako znakomita tłumaczka literatury pięknej z języków słowiańskich. Przekład jej powieści Jiráska *Chodowie* może stanąć w rzędzie przekładów Miriama z pism Juljusza Zeyera.

Pamięć posiadała nadzwyczajną. Rzecz raz przeczytaną, zwłaszcza rzecz drogą jej sercu, mogła powtórzyć po latach prawie że dosłownie. Pamięć ta — to wielkie dobro — stała się jej w latach ostatnich cierpieniem, bowiem wszystkie zawody przeżyte, wszystko, co mogło ranić przez chorobę ztkliwione włókna zbolatego serca, nie załaniało się w mgłę przeszłości, ale trwało wciąż żywe, raniące...

Tyle podaję słów o strunach harfianej jej duszy. Kto miał szczęście zbliżyć się ku niej i poznać ją w zaznaczonych powyżej działaniach, ten sobie obraz jej ducha dołączeniem oświetlających wspomnień uzupełni.

W żałobnem rozpamiętywaniu jej słonecznego ducha i promieniowania jego na dusze, przyjaźnią jej serdeczną

darzone, słyszę jej słowa ostatnie, które mię doszły w kraju obcym:

„...O cudnej, a nadewszystko ukochanej krainie niech mówią ci, którym głos dano — a słowa ich niech padają ogniste w dusze ludzkie, aby nie wyziębły nigdy — nawet w śmierci godzinie“.

Jaką dla mnie w chwilach słabości, znużenia — taką była ona dla wielu: budzącym Aniołem czynu.

*

Nie piszę żywota, świętej dla narodu polskiego, Marji Wysłouchowej. Na to jeszcze zawczasie. Żywot czyjś winien gromadzić w ognisko jedno wszystkie promienie czynów jego, aby światło, stąd powstałe, ukazało nam ducha w całej pełni, w jakiej się na ziemi ujawnił. A bardzo wiele z czynów Marji Wysłouchowej nieznanych nam jest, zamkniętych jeszcze dla oczu naszych — pamięć ich żywie w sercach wielu jednostek i rodzin. A wielu osobistych czynów pamięć duch jej zabrał ze sobą ze świata, bowiem nie ujawniała ich za życia nawet tym, którym czyniła dobrze, aby uniknąć podzięk i pewnego rodzaju zapłaty — wdzięczności.

Że znaleźmy ją jednak, jako odczuwającą każdy ból, każde cierpienie, każde strapienie nawet drobne dusz, które spotykała, i w dobroci swej anielskiej pragnącą ile mocy każde owo cierpienie usunąć — przeto możemy śmiało twierdzić, iż czynów jej tych cichych, ocierających łzy, niegłośne smutki, było w jej świętem życiu mnogo.

Z serdecznych smutków, łez nad grobem jej gęsto ro-

szonych, można też wnioskować, iż wielu oplakiwało ją jako swoją w chwilach nieszczęścia dobrodziejkę. Te czyny jej choć w części kiedyś się ujawnią, gdy serca, ochłonięte z bezpośredniości żalu, poczują potrzebę spowiedzi dla pamięci Świętej i dodadzą nowe klejnoty — łyzy otarte — do wieńca jej zasług.

*

Lata ostatnie były jej męką — nieustannem, powolnem konaniem. Cierpieniem serca od świata odcięta, interesowała się przecie do ostatka przejawami walk ducha ludzkiego. Duch jej przemagał ciało, w jeństwie okrutnej męki ostające, i pomagał niszczyć je pomału śmierci. Aże nas dnia 20. marca b. r. odeszła.

Odeszła w mrok... pozostawiając za sobą,
 Jako zagasłe słońce na jeziorze,
 Smugę świetlistą,
 Dusze smutne i serca przejęte żalobą,
 Patrzące w Jej zagasłe życie, jako w zorzę,
 W tarcz słońca czystą...

Odeszła w mrok... lecz duch Jej z oddalenia świeci,
 Słoneczniej i dąży, gdzie „wielkie osoby“,
 Gdzie nasi święci —
 A my, tej smutnej ziemi smutne dzieci,
 Mijamy te bogactwa nasze, święte groby,
 Bólem przejęci...

Uświęceń czar rzuciła na nas swoim zgonem,
 Iże w nas jest przy pracy, jako Bóg w świątyni,
 Duch Jej przytomnie —

I dusza pamięć świętą Jej wielbi pokłonem
I mocne w sercu swem przysięgi czyni:
Dążyć niezłomnie!...

O Duchu jasny! Bądź nam ku pomocy!
I gwiazdą nam bądź jutrzenną, przewodnią
Wśród tego młynu
Życia, mielącego mrok... Wśród ciemnych nocy
Bądź nam, jak byłaś w ciele swem, pochodnią,
Aniołem czynu!

Blonay — Poręba Wielka, 1905.

JAKÓB BOJKO¹

JAKO PISARZ

Ile razy czytałem jakiś artykuł Bojki, zawsze miałem wrażenie, że słyszę głos któregoś ze szlacheckich pisarzy polskich XVI w., nawołujący do poprawy Rzeczypospolitej. Przejrzawszy wszystkie prace jego, widzę, że te wrażenia moje nie były przypadkowe; podobieństwo jego jako pisarza do tamtoczesnych mężów jest ogromne. Ten sam sposób dowodzenia: przez przypowieści, przez przykłady, przez niespodziane proste porównania, wzięte z powszedniego życia, ten sam język obrazowy, prosty a nie prostacki, i wreszcie — co najważniejsze — ta sama gorliwość święta o dobro Ojczyzny, prowadząca pióro jego jako pisarza i płomieniująca słowa jego — mowcy.

Widać też ze wszystkich prawie pism i artykułów Bojki, że zrodziła je potrzeba duszy kochającej, nie literacka próżność, ani inne uczucia dusz małych. Jestto rzadki dzisiaj typ pisarza-obywatela, który wtedy jeno chwyta za pióro, jak i za pług lub kosę, kiedy istotna zachodzi potrzeba. Poczłby się gospodarz rozumny w ziemi np. kosą bawił? Taki obywatel-pisarz pisanie swoje

¹ Przedmowa do książki: J. Bojko, *Pisma i mowy*, Lwów 1904.



uważa jak każdą inną pracę i, podziwiając zdaleka chodzących ze swoją wielkością jak z monstrancją „kapłanów sztuki“, nie wie, iżę częstokroć tworzy rzeczy od ich daleko większe artyzmem; podziwia sztukę piękną, ale nie u siebie, — on to poprostu nazywa: pracą lub potrzebą.

Nasuwa mi się obraz... Oto na wąskim zagonie, a wśród pofalowanych pól i płatów wielobarwnych, chłop-słowianin-robotnik, w dziedzictwie od wiek wieków pracę tylko otrzymujący, — co widać w jego postaci, — wiąże porośnięte na pokosach żyto; pot mu orosił czoło, krew napłynęła do twarzy,... spieszy się, a w momentach pomiędzy dwoma snopami rzuca trwożliwem okiem ku stronie zachodniej nieba, gdzie się walcują groźne, kołtuniaste chmury.

I drugi obraz... Ten sam chłop w izbie przyczerniałej, zszedłszy codopiero z pola, — gdy deszcz poczyną kroplami o szyby dzwonić, — siedzi przy stole z głową opartą na dłoni; w oczach widnieje mu troska o niedowiązane żyto, ale wnet ustępuje dużo większej trosce o wieś, o powiat, i o cały naród, po ziemiach dalszych osiadły, któremu już wieki całe trwająca słota-niewola zatręła karmę serca, zblichowała duszę. Czuje on sercem, miłującym prawdę, że coś tam i wśród narodu nie tak się dzieje, jak powinno, — i, zabaczywszy doznaku o życie, chwyta za pióro, aby po raz setny napisać o tem braci-chłopom, a panów-szlachtę przestrzec: Niechaj baczą, aby się krzywda ojczyźnie nie działa...

Czyż to nie przypomina ziemianina-pisarza z minionych wieków, acz dekoracja inna, i w izbie — miasto

zbroi — proste sprzęty chłopskie, — miasto porzuconego miecza — porzucone grabie? A jest jeszcze Bojko i w tem podobny do tamtych pisarzy, iż jest rzecznikiem harmonji stanów, pragnie jedynie p o p r a w y Rzeczypospolitej. I wzrok jego najczęściej obraca się w przeszłość; monumentalność jej ludzająca, ludzie, przez oddalenie rosnący w olbrzymów, pomijając już kostjumową barwność, — wszystko to razem pociąga jego poetyczną duszę. Nie wiem, skąd przyszło komuś wiązać z imieniem Bojki rewolucjonizm, kiedy to konserwatysta z ducha, w najszlachetniejszym znaczeniu. Dusza to zgoła nie współczesna. I to jest naturalne.

Kultura chłopska samorodna, — tamowana, tłumiona przez wieki, — nie mogła się tak szybko rozwinąć, jakby była mogła w swobodnej drodze; dziś jeszcze nie doszła kultury XVI wieku. Z tej kultury samorodnej wyszedł Jakób Bojko, — jest najjaśniejszym jej wyrazem, — przeto, wyprzedzając stan swój, należy już (a więc jeszcze) do jej „złotego wieku“.

Gdyby mi przyszło najkrócej, przez porównanie, określić Jakóba Bojkę, — nazwałbym go **chłopskim Skargą**. A na dowód tego określenia przytoczyłbym: jego prawość obywatelską, wysoką zdolność pisarską i zapał kaznodziejski, wywoływany trwogą o losy biednej Ojczyzny.

Na tem przedmowę zakończyłbym. Zastrzec się jednak muszę, iż pisząc powyższe uwagi, miałem na myśli Bojkę jedynie jako pisarza. I muszę jeszcze dodać: Rysując jego postać, jak ona mi się dziś przedstawia, nie twierdzą przez to, jakoby takim miał pozostać —

nawet i w mojem wrażeniu. Dusza może dojść w rozwoju swoim do nieprzeczuwalnych granic. Jeżeli rozwój jej jest naturalny, to możemy jeno jej drogę przypuścić; w tym wypadku — przypuszczam — będzie to droga prawości. A trzeba też zawdy baczyć, iż na żywych wyroków wydawać nie można...

Wreszcie co do niniejszego zbioru pism i mów J. Bojki. Jestto niewielki wybór z prac tego pisarza. Pominęło się wiele rzeczy, nieraz wysoce wartościowych (choćby jako dokumenty), w których się tylko odbija t. zw. aktualność, więc: artykuły polemiczne, kazania w czasie wyborów i t. p., — a wybrało się rzeczy, w których uwydatnia się talent opisowy ich autora (Listy), lub w których wyraża się jaśniej uczucie patriotyczne i jego zapał kaznodziejski (pisma przygodne, mowy etc.).

Posyłamy między ludzi tę książkę z nadzieją, iż wielu duszom stanie się radością, wielu przykładem i pożytkiem, a wielu znowu zastanowi i ku ludowi oczy ich obróci, — co było celem autora, gdy te rzeczy pisał. Niechajże ma jaknajwiększy plon — ten siewca boży, czego mu życzę sercem całym.

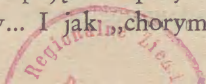
Poręba Wielka, dn. 12 grudnia 1903 r.

MŁODA POLSKA

Gdyby zebrać wszystkie napaści, jakie się sypią od półtora roku ze strony prasy różnych obozów na tak zwaną „Młodą Polskę“, wszystkie pseudo-poważne rozbiory i krytyki o „nowej szkole literackiej“ — to by do prawdy powstało poważne dzieło, pomnikowe dzieło głupoty galicyjskiej i naiwnego bezkrytycyzmu naszych ślepych obserwatorów.

„Młoda Polska“ jest dla byle reportera taka sobie „instytucja, jak magistrat“, po której można się od czasu do czasu przejechać, dla klerykała — „domem wszelakiej rozpusty“, dla zdrowo(!) myślących — „szpitalem nieuleczalnych warjatów“... Dziwne, jak wszyscy, mający o niej różne pojęcia, zgodnie i przyjacielsko na nią napa-
dają; wtóruje im zaś bezmyślnym hałasem kołtunerja mieszczańska, która zasłyszała coś o „modernizmie i tych przeklętych dekadentach“...

Wszyscy z „Młodą Polską“ rozprawiają się tak męż-
nie i zaciekle, że doprawdy, gdy się patrzy na to, przy-
pominają się komicznie śmiałe wyprawy ks. Załęskiego
przeciw masonom w kraju, których nie ma... Nazwa
sama zastępuje tu konkretne pojęcie i przybiera żywe,
czasami monstrialne kształty... I jak chorym dekadent-



tem“ był ks. Załęski, mający różne „wizje“ masońskich djabłów, tak chorymi dekadentami są ci, którzy widzą „Młodą Polskę“ raz czerwoną, drugi raz białą, a trzeci raz chorobliwą histeryczką. Czyż „Młoda Polska“ zmieniałaby się z każdorazową zmianą redakcji *Życia*? To śmieszne.

Cała ta niewytłómaczona zaciekłość prasy przypomina częste przypadki, kiedy to panna ze dworu idzie błoniem, zbierając kwiaty po drodze i nie spostrzega, że czerwona parasolka drażni dookoła pasące się krowy. Poczynają buczeć i wyrzucać racicami darnie ziemi... I w chwili, kiedy się rzucają bóść — panna składa parasolkę, a krowy stają z ogromnym wyrazem zdziwienia (jak często we *Fliegende Blätter*), widzą bowiem przed sobą młode, uśmiechnięte dziewczę, które im trawę z ręki nieraz dawało...

Takie naiwno-bydlęce zdziwienie ogarnęłoby prasę i całe społeczne otoczenie, gdyby nagle po za tą osławioną, drażniącą nazwą „Młoda Polska“ zobaczyli znaną, uśmiechniętą twarz młodego życia, całą młodą literaturę, pełną zdrowia, sił i zapału, idącą błoniem — ku pastierzom... gdyby ujrzeli całą, prawdziwą, szeroką, nie ujętą w ciasne jakieś łamy, młodą Polskę, która dookoła nich śpiewa, budzi i nawołuje i oczyszcza ich zepsutą przez stęchnielinę czasu krew... gdyby ze zdziwieniem spotkali twarz stugłowego boga-wychowawcy, który nie słomę, ale kwiaty podaje im z ręki... Wszędy, gdzie młody żyje duch, nietylko młoda kipi krew — tam utajona młoda Polska, nie pusty sztandar, nie nazwa, ale treść ducha narodowego!...

P. Ludwik S z c z e p a ń s k i winien, że dał panience czerwoną parasolkę, sprowadzoną z Wiednia od znanej firmy „Jungdeutschen“... P. Szczepański bowiem przywiózł ze sobą nazwę „Młoda Polska“.

Przyjechał on przed półtora rokiem do Krakowa z chęciami najlepszemi, z energją do pracy i z wiarą w dobrą sprawę. Zakładając tygodnik literacki *Życie*, trafił jak najlepiej, gdyż właśnie w tym czasie rozbudził się ruch literacki wśród młodzieży, która też zgrupowała się obok młodego pisma, uważając je słusznie za swój organ. Nie było żadnego programu, ani łączności myśli pomiędzy młodymi; nawet wyraźnie odcinały się różne kierunki, szczególnie w poezji, które polegały na tem, że jedni uważali Tetmajera za duchowego swego przewodniczącego, drudzy Miriama lub Kasprowicza i t. p. Wszyscy tylko godzili się na jedno hasło: „Precz z szablonem w sztuce i uświęconą błagą literacką!“ Bo się też rozpanoszyły tak, że aż duszno było w tem zatęchłym powietrzu... Poczęto się rachować ze sumieniem paru niezasłużonych „wielkości“, ośmielano się krytykować nietykane „bogi“, lecz, co najważniejsza, otwarło *Życie* małe okno na Europę, dając obraz nowych kierunków w sztuce i literaturze zagranicznej — tak, że za jego przykładem pisma stare (jak *Tygodnik Illustr.*) poczuły się wreszcie do obowiązku informowania społeczeństwa o każdym, choćby niesympatycznym dla siebie, ruchu.

Chaos był w tej grupie młodych literatów, ale była młodość, życie, ruch... Ożywionym dyskusjom nie było końca. Najczęściej schodzili się w cukierni; a że siedzieli godzinami przy jednej czarnej kawie lub przy czterech

szklankach wody, odnosząc się złośliwie do całego otoczenia — więc przezywano ich „dekadentami“ i Bóg wie czem jeszcze... Zapominano zaś do znaku o tych dwójkach i trójkach, zbierających się na poddaszu, którzy świat burzyli przyszłemi swemi dziełami i jak pi-skłeta młode — nieopierzone gienjuszki — zrywali się do orlich lotów...

Z numerami *Życia* rosła liczba talentów; ukazywały się coraz to nowe i świeże. Znani już przedtem: G ó r s k i Artur, Ż u ł a w s k i, S z u k i e w i c z rozwijali się szybko, pokazując jaśniej cechy swego talentu w nowych swoich utworach. Artykuły Górskiego wzbudzały nie-klämany zapał wśród młodego otoczenia, a piękne tłó-maczenia liryków czeskich przez Szukiewicza dawały poznać tę świeżą, wiośnianą literaturę niedawno rozbu-dzonych pobratymców. Poezja rozkwitła naprawdę w młodem piśmie; bo, pomijając już znanych, lecz nie zawdy uznanych: T e t m a j e r a, K a s p r o w i c z a i L a n g e g o, szedł cały zastęp młodych talentów, jak: P i e ń k o w s k i, P e r z y ń s k i, M i e r z e j e w s k i, A. Ł a d a, S t e r l i n g, K o m o r n i c k a, N a - w r o c k i, W o ł s k i i w. in. W ciętych artykułach i „Echach“ końcowych dał się poznać A. N o w a c z y ń - s k i („Przyjaciół”), jako bardzo zdolny dziennikarz i dowcipny feljetonista; w „przeeglądach“ zaś ujawnił niemały talent krytyczny T. K o n c z y ń s k i, młody, niedawno upieczony (na konkursie Wydziału Krajowe-go) dramaturg.

Za redakcji Sewera faktycznie redagował pismo dr Artur Górski. Współpracownicy pozostali ci sami; przez

to zaś, że odpadły końcowe polityczne i społeczne „Echa“, pismo przybrało wyraz łagodniejszy, stało się więcej jednolitem, spokojniejszym daleko i — starszem...

Tak było do czasu, gdy przyjechał Stanisław Przybyszewski i objął redakcję upadającego już pisma. Przybyszewski, (który dla rozwoju literatury powszechnej większe ma znaczenie, niż Sienkiewicz na przykład) twórca *Satanskinder* i wielu silnych utworów, precyzyjnym pisanych językiem, zwany u Niemców „der geniale Pole“ — znany był wśród młodych od niedawnego czasu. Czytano jego pisma z ogromnem zajęciem, ale wpływu żadnego nie wywierał. Inna rzecz, gdy przybył do kraju i stanął na czele pisma. Można było przypuszczać, że w zetknięciu z tą wielką indywidualnością tracącą młodzi swój charakter i ulegną jego wpływowi, tworząc jego szkołę — „szkołę Przybyszewskiego“...

Do tego jednak nie przyszło. Może temu, że tworzyć szkoły literackie jest tylko właściwością romańskich narodów, albo też na innym zupełnie podkładzie myśli wyrosła najmłodsza literatura polska... W każdym razie Przybyszewski stoi sam. Prócz żony i paru naśladowców, którzy z czasem znikną, nikt nie ulega jego wpływowi, mimo że Przybyszewski, jako fanatyczny wyznawca religji instynktów i bezwzględnych praw nagiej duszy, jest despotycznym i bezwzględnym w stosunku do swego otoczenia.

Aby pisać tak jak on — trzeba być tylko Przybyszewskim. Religję jego mogą wyznawać tylko „Satanskinder“... A zatem jego *Confiteor* w *Życiu* nie może być programem młodych, jak to przyjęła prawie cała prasa,

lecz tylko esencją jego myśli, wyznaniem wiary, które można wyczytać we wszystkich jego dziełach.

Według niego

„Sztuka nie ma żadnego celu, jest celem sama w sobie, jest absolutem, bo jest odbiciem absolutu-duszy. A ponieważ jest absolutem, więc nie może być ujętą w żadne karby, nie może być na usługach jakiegokolwiek partji, jest panią, praźródłem, z którego całe życie się wyłoniło. Sztuka stoi nad życiem, wnika w istotę wszechrzeczy, czyta zwykłemu człowiekowi ukryte runy, obejmuje wszechrzecz od jednej wieczności do drugiej, nie zna ni granic, ni praw, zna tylko jedną odwieczną ciągłość i potęgę bytu duszy, kojarzy duszę człowieka z duszą wszechnatury, a duszę jednostki uważa za przejaw tamtej... Sztuka tendencyjna, sztuka pouczająca, sztuka-rozrywka, sztuka-patrjotyczna, sztuka, mająca jakiś cel moralny lub społeczny, przestaje być sztuką, — a staje się *biblia pauperum* dla ludzi, którzy nie umieją myśleć.“

Według niego też

„kapłan sztuki, artysta nie jest sługą ani kierownikiem, nie należy ani do narodu, ani do świata, nie służy żadnej idei, ani żadnemu społeczeństwu...“

Oto jego religja i wiara, której kapłanem jest i jedynym u nas w tym kościele wyznawcą. Życie pod jego redakcją stało się zborem misteryj i nadziemskich wizyj i ekstaz; zbór ten odwiedzają jednak i ludzie „niepowołani“ i często popełniają świętokradztwa, stawiając na ołtarzu obok czczonych bóstw — swoje własne...¹

¹ W odczycie wygłoszonym w kilka lat później (w r. 1902 czy 1903; fragment jego dochował się w autografie) o „Młodej Polsce“ ujął Orkan swój pogląd na rolę Przybyszewskiego jeszcze wyraźniej: „Aż wreszcie, poprzedzony sławą, odgłosem sztucznych fanfar

Więc skoro niema szkoły Przybyszewskiego, a on sam nadaje ogólny charakter *Życiu* — gdzie się zapodziała tak zwana „Młoda Polska“?...

Odpowiem: Życie jej nie związane z *Życiem*... Młoda Polska żyje wszędy, gdzie tylko żyje młody duch. Słowacki spoza grobu jej przewodniczy, a tu na ziemi wskazują jej cele synowie Jego ducha, natchnieni śpiewacy...

Życie młodej literatury zapuściło już głęboko korze-

i bezkrytycznych zachwyków, przyjechał do Krakowa Przybyszewski. Zdawać się mogło ludziom z boku, że on zgrupował młódz dookoła siebie, oddziałął na nią mocą swej indywidualności i stworzył szkołę literacką „swoją“.

„Tak nie było. Przybyszewski nadawał swój charakter pismu, drukując w każdym prawie numerze rzeczy swoje, i to po kilka równocześnie, zamieszczając przytem prace swojej żony i niewiast srodze historycznych, naśladowujących z powodzeniem jego styl bogaty. Ale na grono talentów szczerych, jakie zastał, nie wywarł żadnego wpływu, — chyba ten jeden, że rozbił pożycie młodych między sobą. Z jakich powodów, — mniejsza. Rozprysnęli się, poodsuwali — i każdy szedł swoją drogą, nie uważając na hałasy.

„Natomiast koło Przybyszewskiego, a raczej koło stołu, przy którym zwykł był siadywać w kawiarni, zgromadzili się ludzie, nie mający nawet platonicznych stosunków z literaturą; wielbili jego dzieła, — nie znając ich, — i pili z nim: to była ich wspólność ze sztuką. Ich też patrzący z boku zwali „Młodą Polską“. A jakże! I takie pojęcie „Młodej Polski“ rozszerzyło się, opinią się stało nawet, krzywdzącą wielu młodych...

„Co najbardziej dodatnio na twórczość młodych oddziałało, — to sam ruch, jaki się uczynił, ścieranie się poglądów na sztukę. To dało pęd żywszy duchom, gorącąkę tworzenia, zwiąło szarość trującą, co nużyła dusze, wyrodziło ambicje większe i t. d.“...

nie w społeczną glebę; każde drzewko czerpie dla siebie soki żywotne z warstwy, na której wyrosło, i niezadługo — zaszumi las...

Kraków, luty 1899 r.

W SPRAWIE STANISŁAWA BRZozOWSKIEGO

Jak grom z jasnego nieba spadła na umysły polskie wieść, odebrana z komunikatu S. D. K. P. i L.: Stanisław Brzozowski szpiegiem warszawskiej „Ochrany“. Naturalnie pierwsze *Słowo Polskie* pospieszyło z afirmacją, która się streszcza w słowach: „Patrzcie, oto fakt! A mówiliśmy, ostrzegaliśmy... itd.“ Nie wszyscy jednak tak skwapliwie wzięli tę wiadomość za fakt. I mimo że blisko źródeł stojący *Naprzód* zamieścił ów komunikat z aprobatą, niektóre pisma wstrzymały się jeszcze z ogłoszeniem zabójczego oskarżenia, a umieściły je dopiero po artykule *Naprzodu*, mówiącym już z rozdarciem szat o „strasznym, bolesnym fakcie“.

Dla ludzi, widzących w poezjach i artykułach Brzozowskiego coś więcej niż talent, bo krzyczącą przez nie duszę smutną rewolucjonisty o wyczulonym sumieniu społecznym, wieść hańbiąca wydała się tak trudną do uwierzenia, iż wiary ich w c z ł o w i e k a nie zachwiały nawet podane „fakta“.

A oto nie uszło od ogłoszenia parę dni, gdy prawdziwość owego komunikatu została mocno zakwestjonowaną. P. Janina Borowska, stud. med. z Krakowa, której nazwisko wymieniono też w owej „liście szpiegów“, zaprotestowała przeciw oskarżeniu, twierdząc, że jest niewinna, i zażądała sądu.

I wreszcie — nieco później, ze względu iż oskarżony przebywa we Florencji¹ — ukazał się przez wielu czekany protest St. Brzozowskiego, w którym żąda między-partyjnego sądu i odwołuje się do „całej myślącej Polski“. — Myśląca Polska myślała dalej, oczekując, iż wreszcie z kół, z których wyszło zabójcze oskarżenie, wyjdzie wyjaśnienie sprawy. Napróżno. Zaczem Brzozowski ogłasza drugie oświadczenie, gdzie w słowach stanowczych domaga się sądu.

Dziwnem jest w tej całej sprawie zachowanie się pism, którym najbardziej powinno zależeć na jej wyświetleńiu, gdy najskwapliwiej pierwsze pomieściły hańbiące zarzuty. Milczą. *Naprzód* nie podał nawet wzmianki o dwóch protestach Brzozowskiego! Czytelnicy więc tego dziennika wprowadzeni są w błąd: jakoby się Brzozowski nie bronił. Wstępny artykuł p. t. *Szpieg* brzmi im dotąd w uszach. I jak zachowanie się *Naprzodu* wobec p. Janiny Borowskiej² musi oburzyć każdego, mającego choćby trochę poczucia ludzkości, tak znów stateczne przemilczanie głosu Brzozowskiego musi wzbudzić najwyższą nieufność nawet u przyjaciół pisma. A może *Naprzód* powie, jak powiedział jego redaktor odnośnie do sprawy Borowskiej, że i sprawa Brzozowskiego jest już „dla niego osądzoną“?

Na to przytoczę słowa *Kultury Polskiej*, miesięczni-

¹ Nieprawdziwą jest podana za *Naprzodem* w dziennikach wiadomość, jakoby St. Brzozowski był tam lub kiedykolwiek sekretarzem M. Gorkiego.

² Jak wiadomo, p. Borowska zmuszoną była skierować sprawę swoją na drogę sądu państwowego.

ka, wychodzącego w Warszawie pod redakcją Al. Świętochowskiego:

„Nie rozstrzygając samej sprawy, gdyż jej materiału dowodowego wcale nie znamy, musimy jednak p. Brzozowskiemu przyznać prawo do obrony, którego się domaga i którego żadna sprawiedliwość nie odmawia nigdy i nigdzie, nawet najcięższym przestępcom. Powinno zaś ono być w obecnym wypadku tem bardziej strzeżone, że źródła i warunki podobnych oskarżeń powiększają możliwość pomyłek i że takie pomyłki były w ostatnich czasach bardzo często popełniane.“

I od siebie dodam: Sprawa ta nie może być w gabinecie redakcyjnym, w łonie jednej partji załatwianą! Nie jest to sprawa partyjna. Sprawa ta obchodzi cały naród. Brzozowski wszak jest jednym z pierwszorzędných pisarzy — przez uczucie, ożywiające każdy jego najdrobniejszy artykuł. W kołach twórców zwano go sumieniem literackim w Polsce.

Gdy Iwan Franko zarzucił Mickiewiczowi apoteozowanie zdrady — społeczność polska wyrzuciła go, nie szcędząc kopnięć. Tu przeciwnie. Ma być sądzony „zdrajca“ — dotąd przez większą część narodu za chlubę uważany. Czyż ma sobie tej Golgoty odmówić społeczność polska, tak chętnie krzyżująca? Niechże już wszyscy krzyżują, i niechaj nikt nie umywa rąk!

Jest też i druga ważność, dla której sprawa ta powinna być na oczach wyświeconą. Oto pytanie ważne, bardzo ważne: Jak człowiek, którego twórczość cała jest samą szczerością, a szczerość zarem wolności (*Warszawa!*), jak człowiek ten może być szpiegiem? A ponoć tylko twórczość mówi nam coś bliższego o człowieku.

Odpowiedź na to pytanie jest albo potwierdzeniem albo utratą — wiary w człowieka.

Lecz gwarancja sądu, możliwie sprawę wyświetlającego, najważniejszą jest naturalnie dla oskarżonego. Ludzką rzeczą i obowiązkiem jest pomóc ku temu. Tragiczna to jest sprawa — i nic lekkomyślnego ni powierzchownego nie śmie tu mieć miejsca.

Łatwowierności zasię społeczeństwa, które oskarżony w swem oświadczeniu oskarża, iż go „z taką skwapliwością potępiło“, przytaczam, jako krzyżący przykład i zastanowienie, ustęp z listu Zygmunta Krasieńskiego do przyjaciela, z roku 1851, z Baden, 14 czerwca:

„Co dotyczy się Towiańskiego, powiem ci, że w kraju w nikogo nie zdołasz wmówić (choć to niepodobnem do uwierzenia, by Rosja takich środków używała), że on nie jest wysłańcem Moskwy, na to wyprawionym, by opętać Mickiewicza, a później go tak spętać, by on sam poszedł w ręce cara się oddać. I w istocie, Towiański namawiał do tego Mickiewicza, i o to się z nim poróżnił, że Mickiewicz nie uznał w sobie siły dostatecznej na spełnienie tego Mistrza rozkazu. Stąd poszło, że Mickiewicz przez lata szukał zastępcy, któryby poszedł do Mikołaja na jego miejsce, i dotąd go nie znalazł. Księżna Koczubej, moskiewka, co się była katoliczką zrobiła, twierdziła, że widziała imię Towiańskiego na czarnej księdze, wśród spisu używanych i płatnych agentów. Minister Strogonoff zapytany oń tak odrzekł: „Urząd mój i obowiązek nie pozwalają mi otwarcie o tym człowieku mówić; znam go, był w Petersburgu u mnie, paszport mu dałem, i tylko tyle powiadam: to nie jest poczciwy człowiek.“

Oto dosłowny cytat. Niechże będzie memento! tym, w których „nie można wmówić (przed sądem!), że Brzozowski nie jest wysłańcem Moskwy“ — bo wielcy mogą się mylić, jak i mali, jak i całe społeczeństwo wreszcie.

Brzozowskiemu zaś niech to będzie do czasu sądu pociechą, że z większą „skwapliwością“ Towiańskiego „potępiono“. „W nikogo nie zdołasz wmówić“ — pisze Krasiński do przyjaciela.

Tem bardziej musi się baczyć, by sąd dawał możliwie pewną gwarancję, iż sprawę ze wszech stron wyjaśni. Winien też mieć pełne zaufanie społeczeństwa, iżby „z taką samą skwapliwością“ mogło jego orzeczenie przyjąć. Takie pełne zaufanie mogą mieć tylko ludzie nie jeno z prawości swej znani, lecz przedewszystkiem rozumieniem dusz ludzkich rozumni. Imiona ich same w sercach nam się piszą.

Czekamy sądu!

Poręba Wielka, w czerwcu 1908 r.

J A N S T E N

Wspomnienie

Gdym przed kilku dniami przeczytał w gazecie o zgonie prof. dr Ludwika Brunera, przyjąłem w pierwszym momencie tę wieść popłochem niejako myśli jako oznajmę czegoś głębiej dla mnie bolesnego, co się poza tem kryje. Zrozumiałe to będzie, gdy powiem, że dr Ludwik Bruner był w myślach moich zawsze Janem Stenem. To też gdy następczo w świadomość moją weszło, że to Jan Sten umarł, poczułem dopiero cały ucisk żalu i osobistej straty.

Kiedy przechodzę myślą mój stosunek do J. Stena, najżywiej występują mi w pamięci lata ostatnie ubiegłego wieku (1897 i dalsze), które zawiązały nić uczucia między mną a Zmarłym. Poznałem Stena wówczas jako redaktora *Krytyki*. Był też asystentem przy katedrze chemji w Uniwersytecie. Więcej jednak niż chemja zdawała się go pociągać literatura piękna. Może sprawiła to atmosfera. Były to bowiem lata gorączki literackiej w Polsce, której Kraków był ogniskiem. Równocześnie prawie pojawiła się falanga młodych talentów; latały w powietrzu hasła bojowe, zapowiedzi, ścierały się kierunki i prądy. Sten nie należał do żadnego z obozów, miał swoje anty- i sympatje literackie tak wśród „sta-

rych“ jak „młodych“, lecz naturalnie ruch walczący o czystość i prawdę w sztuce miał jego świetne pióro po swej stronie. *Krytyka* była otwarta dla swobody i śmiałości słowa; nie była wprawdzie organem młodego ruchu w znaczeniu kaplicy (jak *Życie, Młodość*), lecz ówczesznie przewinęły się przez jej łamy wszystkie prawie nazwiska Młodej Polski, a wielu z wybitnych dziś talentów (Staff, Jedlicz i in.) drukowało tu pierwsze swe utwory. — Będąc blisko *Krytyki*, często spotykałem się ze Stenem. Nieraz zachodziłem doń z młodziutkim Jedliczem, którego wielce Sten polubił. W kawalerskim mieszkaniu jego na Biskupiej przeżyliśmy we trój niejedną godzinę miłą.

Wydał Sten wówczas tomik *Poezycji* i p. t. *Jeden miesiąc życia* utwory prozą. Rzeczy te głębszego wrażenia nie wywarły. Natomiast żywe zainteresowanie w kołach pisarzy i czytelników budziły jego artykuły krytyczne. Pomieszczane przez kilka lat kolejno w *Krytyce*, wyszły później w wydaniu książkowym w dwóch zbiorkach jako *Dusze współczesne* i *Szkice krytyczne*. W rzeczach tych ujawnił się świetny talent literacki Stena. Trudno znaleźć książkę, nietylko w polskiej krytycznej literaturze, gdzieby na niewielu stronicach, jak w jego *Duszach współczesnych*, tyle było rozsypanych pereł, głębokich uwag, nieochybnych odczuć, trafnych spostrzeżeń i określeń. A wszystko to, jak w prawa muzyczne, w jedność stylową ujęte. Zapewne, nieraz dla tej muzycznej przyczyny lub dla świetności paradoksu coś autor z prawdy czy sumiennosci krytycznej uroni, aleć nie w zamiarze jego były wyczerpujące studia. Pisząc o danym autorze, szedł za umysłu widzeniem i sympatją dla twórcy, jako

mnożyciela piękna; częstokroć ujmował go z niespodzianej strony. (Tak dziwną i wzruszającą jest np. jego impresja o mizantropie Z. Niedźwiedzkim, poczynająca się słowy: „Biedny artysta! Gdyby dziewczyną być...” itd.). W szkicach tych i impresjach, pisanych językiem mistrzowskim, wyraziła się wysoka kultura umysłowa Stena, niezwykła subtelność smaku i szczerzy, bezinteresowny entuzjazm dla piękna.

Wielu oczekiwało od Stena po tak świetnych zapoczątkach dalszych krytycznych manifestacyj. Lecz Sten zamilkł. Zostawszy (w r. 1907) profesorem, poświęcił się pilnej pracy nad chemją, której nie zaniedbywał i w latach uprzednich. Pojawiać się poczęły prace jego z tej dziedziny (Dr L. Bruner: *Pojęcia i teorje chemji, Chemja organiczna i nieorganiczna, Ewolucja materji* i t. d.), o których mówić nie jestem kompetentny; wiem tylko, że w kołach fachowych duże znajdują uznanie.

Dojeżdżając w tych latach rzadko do Krakowa, odwiedzałem go w laboratorium. Miałem wrażenie, że jestem w pracowni czarnoksiężskiej. Tu się coś w kociołku warzy, tam coś w tyglach wre, coś syczy, — a czarnoksiężnik-Sten z uśmiechem chodzi wśród tych dziwnych rzeczy, tu doleje jakiegoś płynu w retortę i sprawi cud przemiany, tam rzuci coś w kociołek, uczyni światło mistyczne, to się obłokiem otoczy jak Zeus, to się znów oczom ukaze, coś zanotuje przy stole, coś skreśli... Wśród tego syku, błyskania, w antraktach między jedną notatką a drugą rozmawialiśmy ze sobą. Żywo wciąż obchodziły go sprawy literackie. Mówił o książkach świeżo wyszłych z entuzjazmem lub sarkazmem, zależnie od wartości

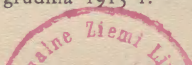
rzeczy, i powracał często pytaniami do ulubionych autorów. Umysł jego, człowieka w gruncie melancholijnie smutnego, przy zetknięciu się z danym przedmiotem rozmowy zabarwiał się, jak te złączenia chemiczne, poczynął mienić się, skrzyć, błyskać, aż splomieniony rozkwitał w świetne rakiety dowcipu.

Dużym czynem literackim Stena jest przekład jego na język polski dzieł Anatola France'a (tomów 9). Odwany pracom naukowym, przecie znalazł chwile wolne, by spłacić niejako dług wdzięczności umiłowanemu pisarzowi za rozkosz duchową, jaką miał w obcowaniu z jego umysłem wspaniałym. I nie przypadkowość to, że France'a Sten przekładał. Między autorem *Dusz współczesnych* a autorem *W cieniu więzów* dałoby się wyznaczyć bliskie umysłowe pokrewieństwo. Widzieć to można i w wymienionym przekładzie, gdzie umysłowość tłumacza nakrywa się niejako i zespala z umysłowością twórcy. Rzadko też o tak wierny a nie tracący nic z bogactwa przekład.

Ostatnio widziałem się ze Stenem tego lata podczas jego wykładów wakacyjnych w Zakopanem. Dowcipny i świetny jak zawsze w rozmowie, wyrażał chęć pisania krytycznych doznań i wrażeń, o ile mu naukowe zajęcia dozwolą. Zapraszał mię, gdy będę w Krakowie, by go odwiedzić w pracowni. Właśnie miałem ten zamiar — i oto już pracownia pusta. Zapewne na stole leżą w połowie przerwane obliczenia doświadczeń chemicznych. Podejmie je pracownik inny. Lecz Stena już nie będzie...

Pustka rośnie...

W Porębie W., dn. 10 grudnia 1913 r.



FRANCISZEK NOWICKI

Poeta ten, po wydaniu pierwszego tomiku wierszy (1891), zerwał struny lutni. Umarł dla działalności twórczej. Tym jednak tomikiem jednym zaważył — przy osądzie wartości istotnych — więcej niż inni dwudziestoma i osobną sobie, trwałą kartę zdobył w historii literatury. Tomik ten zawiera w sobie znane powszechniej *Sonety tatrzańskie* i młodzieńcze, sztandarowe wiersze p. t. *Pieśni czasu*. Rozważmyż ducha i formę tych rzeczy, które głośny oddźwięk w kołach młodych w swym czasie wzbudziły.

1. *Pieśni czasu*.

Trzeba sobie uświadomić nastrój, jaki panował w społeczeństwie polskiem, zwłaszcza w Krakowie, w latach po-ośmdziesiątych ubiegłego stulecia, aby na tem tle zrozumieć rewolucyjność niejako pierwszych wystąpień poetyckich Fr. Nowickiego. Był to czas t. zw. pozytywizmu, kiedy naród po klęsce powstania stracił wiarę w skutek dobry i moc zbawienną zapału, odwrócił się ku rzeczom realnym od romantycznych złud i wszystkie wysiłki skierowywał, pojmując realność aż nazbyt dosłownie, ku szarej pracy codziennej, zwanej dumnie „pracą organiczną“, a w działaniu pisarskiem umysłów

poważnych („Krakowska historyczna szkoła“) ku robieniu z całej przebytej drogi, zwłaszcza z doby upadku, rachunku sumienia, ku wykazywaniu braku państwowotwórczych zdolności, podkreślaniu szaleństw i pomyłek, — aby na przyszłość znaleźć wskazy pewne, z nauki błędów przeszłości wysnute. Czas analizy rozumowej nie uczuciowych wzlotów. Czas zaiste nie dla uprawy poetów. W szarej, ścieśnionej powszedniości nie było dla wystąpień dzwonnego resonansu, jedynie chyba dla pogrzebu.

W tej atmosferze — zrozumiałe — talenty poetyckie, nawet duże, stłumić musiały, jako nielogiczne, w próżnię bijące, orłowe zapędy i fruwać ponad ziemią dla krzepienia pospolitej rzeszy, czego utylitarne względy wymagały. Przykładem tego obniżania lotu — nawet Asnyk, Konopnicka, nie mówiąc o mniejszych. Przykaz wysługi powszednim, zwężonym sprawom zaciążył niejako kanon społeczny nad duszami.

Do tego w społeczności starszej, pamiętaną klęską popłoszonej, dołączył się niewolniczy strach przed każdym odruchem śmielszym, mogącym spowodować pogorszenie bytu. Każdy gorętszy objaw uczuć patriotycznych lub społecznych gaszony był ze skwapliwością nerwową i jako lekkomyślne szkodnictwo karcony. „Rozsądek“ stał się ewangelją powszednią, przy każdej okazji słowem, pismem, w umyśle wpajaną. To też podwórkowość wąska aspiracyj sciszanych, oraz duszność gniotąca ścieśnianych warunków życia zapanowały we wszystkich uwarstwieniach miejskich, a zwłaszcza wśród inteligencji. W tych warunkach wyrastało pokolenie szare, coraz wię-

cej z poziomością życia pogodzone. Posada nędzna stała się celem a kołnierz złoty marzeniem żywota.

Jednostki wrażliwsze dusiły się w tej wegetacyjnej atmosferze. Rzecz naturalna, że duszność tę najdotkliwiej odczuwała młodzież, reagująca też na jej przygniot z właściwą sobie żywością.

W tym to czasie Uniwersytet krakowski był świadkiem głośnych wystąpień studenckich. Protest młodych wyładowywał się zresztą w słownych gejzerach na wiecach i na burzliwych komersach. Młodzież postępowa, zorganizowana w stowarzyszenie „Ognisko“, staczała zacięte boje komersowe z umiarkowaną „Czytelnią“, jakoteż burzyła się przeciwko władzom senackim, biorącym często tę ostatnią pod swe chronne skrzydła.

Jedną z pierwszych ról czynnych grał w tych studenckich wystąpieniach młody Franciszek Nowicki. Wtedy też poczęły się ukazywać w czasopiśmie *Ognisko* jego pierwsze wiersze. Były one dostrojone do diapazonu rozognionej na wszechnicy „walki“. Grot ich ideowy kierował się przeciw znienawidzonym (w przemówieniach) „starcom“, śmiącym ruchowi młodzieńczemu stać w poprzek. Młody poeta, trybun „ogniskowy“, w nieskomplikowanym widzeniu rzeczy świata tego (dzielonego na dwa obozy przeciwstawne sobie: na starych i młodych) ogniem bojowym przejęty, ciska w buńczucznej chępliwości młodej ów głośny naonczas odzew:
My i wy:

Naszemi tory podąża świat,

Wolna myśl bieg swój zwraca — gdzie my,

Gdy, grzebiąc okiem w omentarzu lat,
W lesie przeszłości błądzicie — wy!

Nie dziw, że stał się odrazu sztandarowym poetą
gorętszej części młodzieży.

Jak widzimy, zapał tu podpierał formę. Trudno też
do tych początkowych, z pobudzeń walki powstałych
uniesień przystępować z zimną miarą formalnych osąd-
zań..

W latach jednak młodzieńczego kształtowania duszy
przemiany ważne w organizmie twórczym spełniają się
przedziwnie, jak w początkach wiosny, — bez okresów,
niemal błyskawicznie. Rok — dwa w burzliwej wiosnie
żywota więcej zaiscie narodeń wewnętrznych przynosi niż
niejeden lat dziesiątek w wieku dojrzałym.

W młodym, pełnym temperamentu wulkannego, wy-
buchowym poecie proces ten wewnętrzny odbywa się szyb-
ciej, niż w normalnym, mniej bujnym organizmie; nie-
jako w jarnym pąku drzewa, który się niespodzianie
przez jedną noc burzy w okiść liściastą rozwinie. Posze-
rza się pierś poety, puklerzem przesadnie spiżnym, tyr-
teuszową niejako pobudką w bojach studenckich dzwo-
niąca, wodzowa i sama w sobie mocna, — wyraża sła-
bość spowiedną i mękę całego duszącego się w zgniętem
powietrzu, młodego, pogrobowego pokolenia:

Cóż nam zostało?... ruiny, zwaliska,
Niewiara w wszystko, nawet w niewiarę,
I to szyderstwo, ęo lodem przyciska
Dwudziestoletnie nasze serca stare...

Dziś młodość ziewa u bramy żywota,
 Taka rozumna, zgrzybiała, znudzona...
 Zgaszono przed nią blask wszystkich gwiazd dawnych.
 I przyduszono wszystkie żary łona
 Popiołem naszych mogiłników sławnych...

— — — — —

Lecz cóż my winni, że z błota i kału
 Wciąż z feniksowym uporem powstajem,
 Gdy zimny rozum zbyt nam pierś ochłodzi,
 Płomiennym nurtom świata nieść się dajem.
 Cóżemy winni, że jesteśmy młodzi?
 I cóż my winni, że patrząc zbawienia,
 Jako Anteje zrywamy się z ziemi,
 A u nóg mając ciężkie hamowidła,
 Szukamy świtu na niebie marzenia,
 Wołając usta, z tęsknoty drżącemi:
 „Młodości! podaj nam skrzydła!“

Rośnie w powadze i świadomości wewnętrznej poeta, wychodzi rychło poza krąg akademickich kłopotów, jako i z bezradnych żalów dekadencji rówieśnej, w pierś swą, zmężniałą wcześniej, bierze zaciąg wichru, wiejącego od kuźni przyszłości. Stalne młoty podźwiają w strofach, gdy się jawi przed oczyma wiary jego — Lud.

Wiadomo: po upadku i klęsce ostatniego powstania, kiedy zobaczono tragiczny los straceńców wśród masy chłopstwa obojętnej lub wprost nawet wrogiej, — kiedy stwierdzono, że się to zawsze wtórzyć będzie, jeśli masa ta nie stanie się świadomie obywatelską, — kiedy zdano sobie sprawę, że tylko przez uświadomienie narodowe ludu niepodległość może być zdobyta, — tedy rozbrzmiało hasło: w lud! do ludu!

Odbiło się też to i w literaturze. W powieści, dotąd szlacheckiej, coraz częściej ukazuje się wieś chłopska, a rozkwita barwami wszystkimi w pryzmacie serca narodu: w poezji. Lud, wiara patriotów i nadzieja przyszłości, w wyobrażeniu mglistem, nie w rzeczy, widziany, osiąga w onczesnej poezji maximum idealizacji.

Jakże widmo tego ludu jawi się w pieśniach Nowickiego?

Jak wszystek wizyjny świat jego, — gigantycznie, w łunie przyszłej, wypatrywanej burzy. W przeciwieństwie do „kmiotków“ Lenartowicza, do poetyzowanych „Stachów“ Konopnickiej, — jest to „Syzyf-cham, dźwigający swą skałę, zdeptujący góry, dopóki z jego potem w równie nie rozciekają; olbrzym, który gdy ze snu wstanie, zmiażdży na piersi swej rój wampirów ssący, chwyci strop, niebo przyciągnie do ziemi“. Wzywa poeta:

...Zbudź się, Rzymie, z niemocy hańbiącej!

Zbudź lud — to jest olbrzym śpiący;

On cię odmłodzi, obroni, ocali

To, coś zmarnował...

Zbudź!... niech go zbudzi burza...

Nim ruszy z żagwią do bram Kapitolu!

Lud jego — to „oracz świata, koń królów łaskawy, budowniczy piramid, syn nieśmiertelnych bóstw: Głodu i Znoju“, to „z wiosłami skuci niewolnicy“. Lecz także „dzikie Spartaka szeregi, śniadzi rycerze, ofiary łańcuchów“, którzy, „głód, rozpacz wzięwszy za puklerze, — skryci w czeluści czekają — rozruchów“.

W wierszach poety mówiących o ludzie niema nic z owoczesnego sentymentalizmu, raczej realizm tragicz-

ny, podobny rzeczom widzianym zagnała w świetle burzy, — osłabiany tylko poetyckiem przerzuceniem obrazów tych na ekran alegoryj odległych, w czasy rzymskie.

Wraz z pogłębieniem treści — i forma wierszy klasyczniej, porównania nabierają logiki plastycznej, przychodzi do głosu umiar, podłożony — jak ziemia wulkaniczna — ogniem. Owa wulkaniczność, pozorny spokój i żar w głębi — są typowe dla Nowickiego-poety.

Mimo że w cyklu całym znajduje się kilka kapitalnych wierszy (jak *Apoteoza*, *Syzyf*, *Rzym słowiański*), przecie są to rzeczy, które wywołała chwila, i dziś, po latach, gdy waga ich, jaką miały w on czas, zelżała, — trudno je inaczej traktować, niż jako dokumentalność pewną zawierające w sobie... pieśni czasu.

Że jednak w Nowickim młodocianego okresu ożywa się ton nieprzemijający, o napięciu władczej poezji, — dowodem choćby ten ustęp z *Fragmentu* (natchniony przy dojeździe Wisłą do Krakowa), tak jeszcze dziś i długo współczesny, w którym poeta, patrząc na płonący przy zachodzie Wawel, pomniki miasta, rozważając minioną przeszłość i dzisiejszość, porwany „myślą gromową“, wybucha:

O! chciałbym wrócić jak wódz armji słońca
 W gród ludzi trupich i — żywych kamieni,
 Gdzie rasa karłów, ta rasa ginąca,
 Rządzi nad ludem wielkim — berłem cieni.
 O! chciałbym w ramię wlać siły tytanie
 I bój im wydać, o którymby dzieje
 Piały przez wieków odległe koleje. —
 I na przeszłości zmiażdżyć ich kurhanie,

I wśród okrzyków wolnych mas tysiąca —
Powlec ich trupy za rydwanem słońca!...

2. *Sonet* tatrzańskie.

Do doskonałości niespodzianie wczesnej wzniósł się Nowicki jako poeta w swoich sonetach tatrzańskich. One też utrwały szczytnie jego imię.

Jest sonetów tych dwadzieścia i jeden. Szesnaście z nich odnosi się do charakteru Tatr i osobistego w nich dramatu poety, pozostałe zaś pięć dotyczą śmiertelnych zapasów, jakie się rozgrywają w skalistym ich łonie.

Trzeba odrazu dla uzasadnienia osobliwej wagi rzeczy tych podkreślić, że nikt przed Nowickim ani po nim nie ujął w słowo tak potężne charakteru Tatr, nikt nie zobrazował tak plastycznie ich ogromu. A przecie niebylejacy poeci natchnieni różnemi czasy przy tych „ołtarzach swobody“ czerpali i pierwotnemu życiu Tatr, jako i ich mieszkańców-górali, wiele utworów swoich poświęcili.

Pierwszy Goszczyński pokusił się o stworzenie poematów większych na tle egzotycznej tatrzańskiej przyrody, lecz w rzeczach tych prawdę o Tatrach i góralach zastępują majaki jego wyobraźni. Szczęśliwszym już o wiele jako piewca tej skalnej ziemi był Pol. Jego wstępne określenie zdala ujrzanych (zapewne z przechyli Obidowej) Tatr:

Jak potopu świata fale,
Zamrożone w swoim biegu,
Stoją nagie Tatry w śniegu...

jest iście przewspaniałe. Lecz to jakby w olśnieniu nagłym zjawy śnieżnej — natchniony traf. Bo już następny wiersz („By graniczny słup zuchwale“) jest nielogiczny i słaby. A dalsze zwrotki tej o Tatrach opisowej pieśni przechodzą w znaną jego manieryczną gawędę.

Kilkanaście też wierszy w swych poezjach krynicznych poświęcił Tatrom Asnyk. Istotnie im „poświęcił“, z obowiązku niejako obserwatora-artysty, bowiem nie natchnęły go one swym dzikim ogromem. Jego np. koronkowo dziergany a zimny jak kryształ *Ranek w górach*:

...Wyzłoczone słońcem szczyty
Już różowo w górze płoną,
I pogodnie lśnią błękity
Pod pogiętych skał koroną —

wcale nie mówi o wzruszeniu z owej chwili w obliczu Tatr, a opisowo równie dobrze może się odnosić do Piecin czy innych skalistych gór. Wielkość też Asnyka jako poety nie w tych utworach spoczywa.

Kasprowicz w poezjach swych z Tatr mógł zobrazowaniu ich urody dzikiej niewiele dać miejsca; były mu one bowiem raczej odpowiednio tytanną świątynią dla metafizycznych zastanowień, tumem godnie ogromnym dla rozmowy z Bogiem. „Widmo bożych tajemnic“, zewsząd oczyma przepastnemi przeciw duszy poety wstające, przesłaniało mu nadto nagą realność osepiałych skał.

Jedynie Tetmajer pierwotnem odczuciem dzikiej, niezamąconej przyrody wszedł w głębię Tatr. W nieśmiertelnych swych lirykach, arcydziełach nastroju, oddał jak żaden z poetów duszę ich wnętrza: melancholję hal, orli

nawis krzesanic, urok dolin i stawów, sępiość zapadłych pustaci i t. d. Jednak potęgi ich skalnej objawy poezją swoją nie wyraził. Uczynił to w sonetach — jeden Nowicki.

Oto spójrzymy:

W dali!... jakby ciągnący ławą huf kresowy,
Z gwiazdami na szyszakach, z proporcem obłoków,
Zakamieniał, dotarłszy aż do nieba stoków...
Wielki, jak sny młodości, — mroźny kraj śniegowy...
(Sonet I: *Tatry.*)

Albo tam:

...roztopione szarych mas bałwany,
Zapędzone ku gwiazdom w burzliwym pochodzie,
Gdy Bóg: „stań się!“ powiedział przy świata porodzie,
Ścięte zimy oddechem stanęły te ściany!
(Sonet VI: *Rysy.*)

Takie potężnie plastyczne nasuwają się poecie porównania na widok zjawy granitowej Tatr. Zobaczmy dalej przez oczy poety obrazy z wnętrza tatrzańskiej pustyni:

Spady Sikławy:

...rzeka śniegu lecąca pionowo,
Ze źródłem wydźwigniętem do nieba krawędzi!
[Przed nami] pian lawina, puch szyi łabędziej,
Roziskrzony na skałach wstęgą brylantową...
Biały rumak (patrz!) ze skał rozhukany pędzi,
Wspina się, gdy kopytom braknie skalnej piędzi,
I łbem śnieżnym zlatuje w otchłań granitową!

Lub stańmy przy nim, jeśli mamy odwagę, — gdy

z szumem, hukiem i rykiem nadciąga oto burza nad burze — wiatr halny...

Gdzieś z łożysk podniósł mgławisk ocean nawalny
I Tatry w nim zanurzył — stąpił skał dziiryty,
Wodę w szklanny mur spiętrzył, w staw sypnął granity,
Lud świerków ścianą zwałił, jak wódz tryumfalny!

Wyrwał hali włos kwiecica, grzbiet nagi zostawił,
Wodospady zatrzymał, potok wstecz wyprawił,
Ścisnął gardło piorunu, dzień zgasił, noc sprawił.

Zaiste, trudno o plastyczniejsze ujęcie potężnych żywiołów Tatr. Możliwy tak nieowtórzoną szlakiem wszystkich sonetów jego przewędrować, — i przesunąłby się obraz za obrazem groźnej tatrzańskiej pustyni, — w takiej potędze i wyrazistości jedynie jemu odkrytych.

Zwartość sonetów tych, umiar, z wrzącym pod umiarem formy ogniem, dramatyczność ich spętana, patos ogromu nie znajdują we współczesnej sobie poezji godnego porównania. Jedynie co nasuwa się bez uchyby dla nich: mogą być porównane tylko z *Sonetami Krymskiemi*.

Weźmy np. pierwszy z brzegu obraz (*Mgły na szczytach*):

Szczyt pode mną jak statek płynie w chmurne morze!
Darmo po białych falach krąży moje oko;
Gwiazdę dnia tylko widzę w błękitach głęboko —
Sam jeden!... i gdzież płynę po białym przestworze?...

Lub refleksję końcową sonetu *Dunajec*:

Gdzie gonisz, młoda myśli, po drodze gwiazdzistej?...
 Bramą marzeń wylatasz za świat rzeczywisty —
 Wrócisz... ach!... bez piór... cicha... i bramą zawodu!

Albo ów finał tragiczny, dotyczący osobistego dramatu
 (*Echa górskie*):

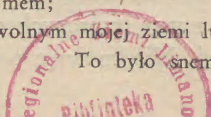
Jęk mój skały wtórzyły! płakały pogłosy,
 Na noc duszy, dla której świt się nie uśmiecha,
 Na mą młodość zwiedzioną, na dolę, na losy!...
 Wśród ludzi czemuż taka nieznana pociecha?
 Za nią... za tą kobietą, głuchą jak niebiosy,
 Nie jęczałem, lecz wyłem,... a nie było echa!

Zresztą cała twórczość Nowickiego, przez zwięzłość słowa, plastykę, nieomal rzeźbę obrazów, logiczność wewnętrzną i umiar zewnętrzny, — opiera się na klasycznym gruncie Mickiewicza, co bynajmniej jej swoistej barwie i oryginalności rzeczy nie uchybia. Jest dziwną sprawą, że gdy cała współczesna mu i późniejsza, „młodopolska“ poezja wyszła ze Słowackiego, Nowicki jeden przez formy swojej twórczości jest potomkiem z ducha Mickiewicza. Stoi też wśród przechodzącego pokolenia sam, osobno, jak Murań tatrzański.

3. *Wiersz-zamknięcie.*

Zamknął Nowicki tomik poezyj swoich trawestacją
 z Heinego:

Porwałem z sobą niegdyś naród mój
 Śpiewaniem mem;
 Widziałem wolnym mojej ziemi lud. —
 To było śnem.



Wzruszyłem niegdyś dumne serce jej
 Śpiewaniem mem;
 Mówiła drżąca: „Tyś na wieki mój!...“
 To było snem.

Pamiętam, kiedym jako uczeń gimnazjum przeczytał po raz pierwszy poezje Nowickiego, — jakie we mnie ów wiersz-zamknięcie trwożne wywołał wrażenie.

Czas uzasadnił tę trwogę. Istotnie, wiersz ten tragicznej dziś nabiera wagi; umieszczony w zbiorcu na końcu, jest jakby świadomem zamknięciem „złudy“ — twórczości.

Wielu wielbicieli arcydzielnych wystąpień Nowickiego stawiało sobie i stawia pytanie: czemu poeta, po wydaniu tomiku pierwszego zamilkł na zawsze? Jaka mogła być przyczyna tego raptownego, w tak wczesnej młodości, „zerwania strun“?... Przypuszczano (co najłatwiej domysłem ludzkim podpada) jakiś osobisty zawód tragiczny. Penetracjom badawczym w tym kierunku nasuwać się mogło pozorne uzasadnienie przypuszczenia w dramatycznym wysoce podłożu sonetów niektórych, nawet wyraźnie osobistą klęskę zdradzających, jak przytoczone wyżej *Echa górskie*, lub np. sonety III, XVI):

Wzdłuż, wszecz Tatry przebiegłem, — on wszędzie u boku!
 W ciszy pustyń, w burz ryku, w jasny dzień, w noc ciemną;
 Wszędzie, zawsze biegł za mną...
 Dziś powracam do ludzi, on — mój ból — znów ze mną!

Cóż jednak dowód ten mówi?... Że powstał głęboki sonet. Mocarne hymny Kasprowicza z osobistego bólu wytrysnęły. Dla natur twórczych cierpienie — to źródło nowych odrodzeń. Nie tu więc przyczyny szukać.

Zagadnienie to jednak, teoretycznie rzecz biorąc, problemowe, a w wypadku niniejszym nadto — przez wagę straty — poważne, by przejść nad niem lekko do porządku, aby choć paru zastanowień, nie mówiąc w pyśle o wytłumaczeniu, nie silić się mu poświęcić.

Pierwsze, co się u Nowickiego jako powód zmilknięcia nasuwa, — to klęska wiary. Wierzy on wraz ze współczesnymi, — głębiej: jako śpiewak boży, władność w sobie nakażną czujący, — że słowem wieszczem, płomieniem, lud zmartwiały poruszy. Mimo iż trzeźwiej niż inni współcześni poeci lud ten oceniał, to jednak wierzył w słowo-czyn, wierzył, że „pieśnią rozproszy pomrok z nad czoła ludzkości“, że „naród porwie śpiewaniem swem“, „widział już wolnym swojej ziemi lud...“ Realność rzeczy wiarę tę podcięła. „To było snem!“ Słowo nic nie sprawiło, więc z gestem zawiedzionego barda-Tyreusza, gdy ujrzał, iż śpiewa skałom, — roztrzaskał swoją lutnię. („Dziś lampa w kącie, zgasła, rozbita, — gdzież piękne dumy młodości?“).

Jednak przeciw temu wyjaśnieniu wstaje pytanie: a Tatry?... Te nie mogły wszak zawieść poety. I twórczość, odchylona od świata ludzi, — mogła przecież pójść w świat wielki przyrody, ojczyznę sobie nową, nowe lądy zdobyć. Tu więc wątpliwość wywodu.

Drugie, co charakter poezji jego nam nawodzi, — to geologiczny jakby objaw, zastosowany tu do procesu ducha. Oto wulkaniczna, nagła, młodzieńcza wybuchowość twórczości — i równie nagłe, katastrofalne opadnięcie. Tu jednak podświadomym przyrodniczym siłom i niejako fatalnym pobudkom musielibyśmy dać górę nad wolą

świadomą, która w twórczości jest przecie sternikiem. Mimo niej nic się dziać nie może, chyba nieskoordynowane jakieś poruszenia. A zatem na mylną weszlibyśmy drogę.

Co najbardziej zda mi się godne podumania, gdy rozważam organizację twórczą Nowickiego, — to jej wyraźna jakoby dwuosobowość. Z jednej strony wewnętrzna wulkanność ognista, z drugiej formalny spokój ściętej w skałę lawy. By popularnie, znanymi wszystkim symbolami charakter tej dwoistości twórczej u Nowickiego określić, powiedziałbym: to przy umiarze i klasycznej formie Mickiewicza — żywiołowość halna Słowackiego. Są to jakby dwa przeciwieństwa, dwa wykluczające się wzajem duchy — w jednej osobie.

Gdy młodość wiar czy zachwyty w początkowych, zewnętrznych bardziej, manifestacjach jakoś je z trudem godziła, — to przy uświadomieniu artystycznym głębszym musiało przyjść między nimi do kłótni. Stąd trud pogodzenia wewnętrzny wyrastał do problemu prawie nierozwiązalnego. Kto zna techniczny proces twórczości podobnie rozdwojonych organizacyj, ten snadnie zrozumieć może, że przyszedł czas, iż Nowicki stanął przed trudem niepołomnym w sobie: Tatry przed nim nie do przebycia wyrosły. Tedy w posępie duszy — zamilkł.

4. *Nowicki i Tatry.*

Zerwawszy z poezją, nie zerwał Nowicki z drugą miłością: z Tatrami. Nawet bardziej z nimi się zespolił, jakby one jedne sekret głęboki wiedziały: — świadki milczące tragicznych spraw wobec przechodzącej nad

ich łomnicami i bliskiej ich zwieńczonemu gwiazdami
czołu — wieczności.

Dawna była Fr. Nowickiego znajomość z niemi:
z Tatrami. Już z wczesna, z młodu ku nim się wyrzy-
wał, uczył się radosnym trudem ich skrytych zwyczaj-
nemu oku, a wybrańcom bogów gór zwierzanych — ta-
jemnic. Tam przy watrach, przy ciemnych smreczynach,
w szałasach opuszczonych, na przełęczach we mgle, to na
gzymsach szczytowych, nad ścianami śmierci uczył się:

Skalny kocioł!... dno jego lód ze śniegiem ścieli —
To piekło zamrożone!... pierzchły zeń szatany
I zamarzy skał rzędem dokoła gardzieli...

Mało jest trudnych przejść w Tatrach, przez któreby
go jego nogi stalne nie przeniosły. Orłowa jego natura
w orłowe nosła go włości. Nosił się też po zboczach,
upłazach, z wierchu na wierch, we dwój z przewodni-
kiem lub sam, — obłąkaniec swobody, niby wódz jakiś
fantastyczny straconej gdzieś w przepaściach drużyny.
Opisać jego wędrówki po Tatrach — to całe epos dziw-
nego, w ten nie swój czas zabłąkanego rycerza, zalud-
niona gigantycznymi postaciami, fantazją swoistą wywo-
łaniami z przyrody, przez nikogo inszego niepowtórzona
baśń życia.

A i kalendarz zwykły tych sławnych wędrówek jest
jakby bajką. Sam Klimek Bachleđa, ś. p. przewodnik,
chodził z nim przez lat 23 po Tatrach. Przez Zawrat
przeszedł Nowicki więcej niż 50 razy. Tak pątnikował
ku tym „ołtarzom swobody“. Tam, w pustyni tatrzań-
skiej, przeżył „wiek górny i chmurny“, tam też zastał go
„wiek męski — więk kleski“.

Z Tatrami są związane jego „hyrne“ chwile, jako tych, co w zbytku sił „za bucuki wyskakowali“. Żeby nawieść pamięci choćby ów bal u Obrochty, gdzie to czterech poetów (Tetmajer, Nowicki, Cięglewicz i Rydel) zabawiało się sławnie z góralami i gdzie to przy tańcu (gdy Tetmajer odznaczył się w „cyfrowanym“) Franek Nowicki przebrał w „koło-ziemnym“, t. zn. zbójnickim, najpierwszego tancerza z górali, Wawrytkę.

Lecz minął z wodą wiek junactwa, nadszedł „wiek klęski“. Nowicki broni się mu całą naturą rycerną, ba, jakoby naprzekór wyzywa go do walki. Projektuje zwycięski szlak szczytami, siebie zaiste godną „Perć Orlą“. Od Roztoki — przez Wołoszyn — Krzyżne — Ptak — Buczynowy — Przelęcz Nowickiego — Orłą Basztę — Granaty — Kozie Wierchy — Zmarzłą Turnię — Zawrat. (Potąd też, dzięki pomocy w środkach miłośnika Tatr, ks. Sadowskiego, plan został zrealizowany). Dalej plan wiódł: przez Niebieską Turnię — do Świnnicy — stąd na Walantkową, na Gładkie i Miedziane.

Niestety, był to już ostatni czyn Nowickiego w Tatrach. Serce i oczy wyłamały się z pod władzy woli. Nie dziwota: nadto długo brawurowały wśród gromów. Rówieśni jego hyru już ku cmentarzom się znieśli. Jak oto:

Był pogrzeb Bachledy Klimka, bohaterską śmiercią zmarłego w Tatrach przewodnika. Nowicki jawił się na pogrzebie przyjaciela. U wrót cmentarza spotyka dziada ślepego, który ze znajomym jego rozmawia. Gdy Nowicki przystanął, witając się ze znajomym, dziad zapytuje onego:

— Je wtoz to?

— Nowicki — ów odpowiada.

Dziad ślepe oczy przeciera.

— Je wtory Nowicki? Syn profesora? Franciszek?

— Ten sam.

— Mój Boże!... — jęknął dziad i krwawiąc oczami, obie dłonie do Nowickiego wyciąga.

— A wyście kto? — pyta wzruszony Nowicki.

— Waw — ryt — ko...

— Wawrytko?... Wawrzek?!...

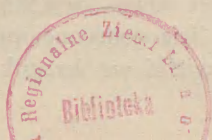
— Ja — ja sam, panie.

— Baczycie, jak my tańcowali?

— Ba! nie raz spomnę, jakoście to mie „hajduckim“ przebrali... Ale bez watrę — na łeb — to znowu ja was przebrał!

— Wawrytko... — zadumał się boleśnie Nowicki. — Ten sławny tancerz... Tak niedawno... Dziś stary, oślepy dziad. Hej! życie!...

Przyszło ono i jemu samemu, choć pozornie dąbnemu jeszcze, na bezradę. Ostał sam, daleko od szlaków Sławy, z myślami górnych spomnień. Jest jako orzeł tkwiący w posępie na skale, oślepy w burzy.



O STANISŁAWIE WITKIEWICZU

I.

O Stanisławie Witkiewiczu, z pochyleniem głowy we czci jak przed niewielu polskimi świętymi, powiedzieć trzeba: Oto człowiek wielki. Już nie w rozumieniu jednostronnie wysokiem — jako wielki artysta, pisarz czy architekt — lecz poprostu: wielki człowiek. Wielki budowniczy życia.

Jak w krynicznej wodzie wysokiego tatrzańskiego stawu odbijają się do szczegółów z wszystkimi załamami i niezmnieszoną żywością barw plastyczne kolosy gór, wraz z niebem upadłem na dno, — tak w przezrystym pryzmacie duszy Witkiewicza odbijało się życie narodu w całej pełni swej, z bogactwem światła i cieni, załamując się pod kątem, nigdy niemylnym, jego własnego, przejasnego na rzeczy patrzenia. I jak ów staw wysoki bierze w kąpiel góry, tak on brał życie polskie w siebie — wyczyszczał je duszą własną — i łączył z niebem.

W nim, jak w niewielu najwyższych duchach polskich, świątynił duch narodu. Nie przez zakłęcie natchnienia, lecz przez równie wysoką moc prawości myśli i serca, i czar iście gontynnej prostoty. Bo prostym był ten człowiek wielki we wszystkich postępkach, jak

pasterz słonecznych łąk albo któryś z braci pierwszych świętego Franciszka.

Był też Witkiewicz z zakonu wielkich harmonistów, którzy godzą człowieka z przyrodą. Podobnie jak Ruskin w Anglii. Był ewangelistą jak Tołstoj, tylko szerszym.

Lecz jeśli jakie przyrównanie do znanych nam postaci podpada, któreby najwierniej tłumaczyło właściwość jego duchową, a nawet z formą uzewnętrzniania się onej, to najbliższej prawdy stoi określenie: Sokrates polski.

Tu mimowolnie nasuwa się przeciwstawne porównanie twórczości jego z twórczością Jacka Malczewskiego. Gdy u Malczewskiego, prawie nie widzącego realnego życia dookoła, całe jego wewnętrzne życie wizyjne odbiło się na płótnach — (zebrać wszystkie jego prace: jakie bogactwo!) — to Witkiewicz najchętniej rozpromieniowałby cały na otoczenie. Malczewski życie na sztukę przekłada — Witkiewicz z życia pragnął dzieło sztuki tworzyć. Jeżeli miał się pióra, pendzla lub ołówka, to poto (z niewielkimi odskokami w bezinteresowność artystyczną), by coś w życiu duchowym narodu poprawić lub jako przykład stawić. Te pobudki łączą go z pisarzami-obywatelami Rzeczypospolitej XVI wieku. A talentu wielkiego już sprawa, że te zamiary życiotwórcze przemieniały się w wypowiedzeniu lub wykonaniu głębmem w dzieła sztuki, nierzadko w arcydzieła.

Tak też powstała książka *Sztuka i krytyka*. Trzeba było te płoty zaściankowego estetyzmu, jakimi swojscy ideolodzy odgradzali nieświadomość artystyczną społec-

czeństwa od Europy, obalić — stąd szereg miazdzących polemicznych artykułów, w myśl sokratycznej zasady: „Rozumuj spokojnie, a dowódź z pasją“. Książka ta, elementarz estetyczny, narobiwszy zrazu sporo gniewów, przesiąkła w czasie dość krótkim w krew ogółu i więcej sprawiła w dziedzinie uświadczenia artystycznego społeczeństwa, niż niejedna akademja.

Jako zaś przykłady wysokie — monumenty sądu i uczucia — ukazują się monografie: o Matejce, o braciach Gierymskich, o Juljuszu Kossaku i innych.

Obrazów doskonałych dał kilka. Z tych najszerszej znany „Obłok“, inaczej „Wiatr halny“.

Na życie tak duchowo bogate — prac, manifestacyj artystycznych, włączając nawet dzieła tatrzańskie, za mało. Charakterystycznym jest, że Witkiewicz, który tyle projektów budowlanych zrobił w życiu, żadnego prawie podług fachowych wymagań nie wykończył, a budarzom tatrzańskim, ufając zresztą słusznie ich domyślności, żadnego prawie planu w całości nie narysował, dając co najwyżej zasadnicze szczegóły. Nie miał na to cierpliwości. Bowiern, jak się już rzekło, Witkiewicz najchętniej nicby nie „czynił“, lecz chodził między ludźmi, patrzył temi błękitnymi oczami i gwarzył, nauczał i rozpowiadał. Jak Sokrates.

To też, gdy ktoś (czy nie Artur Górski) Akademię platońską w Zakopanem projektował, Witkiewicza jako prowadziciela widziano. A nawet kto wie, czy nie z powodu właśnie Witkiewicza, jego sokratyzmu, myśl ta powstała.

Lecz Witkiewicz do akademji, ni do żadnych współ-

nych obrad się nie nadawał. Strzegł się wszelkich komitetów. Lubił chodzić luzem. Był indywidualistą bezkompromisowym, mimo tak wysoce rozwiniętego i uszlachetnionego w sobie społecznego instynktu. Łączył to razem cudownie.

Obserwatorem był nadzwyczajnym. Patrzał na rzeczy wybystrzonymi oczyma malarza i psychologa-odkrywcy. Człowiek był dlań nie tylko przedmiotem artystycznym, lecz i wartością wyznaczalną. Niesłychane też wyniki zdobył jako sprawdzacz. Miał np. przyjaciela Kościelnego. Prowadzi doń Malczewskiego Jacka, ciekaw, co o nim Kościelny powie. Albo: zaprosił do siebie na jedną godzinę hr. Pinińskiego, namiestnika Galicji, i ś. p. Kazimierza Mokłowskiego, socjalistę. Jako też będą ze sobą gwarzyli. Wiedział, że odnajdą łatwo wspólną platformę — sztukę.

Tak siedząc w Zakopanem, w Ślimakowej izbie na Krupówkach, jak pajak z bajki pod strzechą — gdy przesuwala się przed nim cała niemal Polska, szli doń jak do proroka ludzie — sprawdzał, obserwował, przezierał z pod swej strzechy całą gamę dusz i charakterów. Uczył siebie i drugich — z książki, dla niewielu jeno dusz prostych otwartej.

Witkiewicz jako wychowawca nie jest dość — a może wcale nawet nie — oceniony. Zwrócę tu uwagę choćby na te przemądre ustępy o hodowli ras i ludzi (w drugim wydaniu *Na przełęczu*) i na studjum o wychowaniu religijnem (w czasopiśmie *Reforma Szkolna*).

Opowiadał cudownie. Inaczej trudno określić. Kto go raz słyszał, nie zapomni. Opowiadania jego, słuchane

przed laty — gdy w pracowni rzeźbiarza Nalborczyka, na niskim stołku siedząc, gwarzył: jako to chłopcem będąc, wywieziony z rodzicami na Syberję, z rówieśnikiem swym, ś. p. Konradem Prószyńskim (Promykiem), oszczędzali cukier i składali, by się zbożać, wrócić do Polski i zrobić powstanie; jako to w czasach monachijskich wespół z Chełmońskim głodowali; to o Kurzawie, Gierymskich i innych — są mi jak wczora słyszane.

Mówił, jak pisał. A styl jego — to całe studja: o jasności, plastyce, prostocie, głębokości myśli i wysokości uczuć — cały, doskonały człowiek. Człowiek renesansu, pełny, bez uchybień.

Pozostaje mi jeszcze powiedzieć o stosunku Witkiewicza do Podhala; co Tatry mu dały, i co on dał tej ziemi wysokiej. Cały świat przedziwnych odkryć, a dominujący ton w harmonji jego ducha.

2.

Kiedy Witkiewicz przybył przed laty z Warszawy do uzdrowiska pod Tatry, zastał Zakopane jeszcze mało zepsute „kulturą“, o charakterze wsi, zabudowanej, jak obecnie Chochółów lub Witów. Zastał Tatry o wiele, niż dziś, groźniejsze w swej skalnej niedostępności, jedynie swym orlim synom lub „jego wielgomożności“ panu Chałubińskiemu, gdy w ich pustacie pod jesień wkraczał z wyprawą królewską, swe zazdrośnie ukrywane skarby otwierające. Zastał ów zmierzchający świat tetmajerowskiego *Skalnego Podhala*, ludzi na miarę eposu — owych Zychów, Toporów, Bachledów — i Homera tego zamierającego świata, Sabałę. Zastał wśród tych starych sę-

pów kulturę starą, rodzimą, wytworność obyczaju i form towarzyskich, niespotykaną wśród chłopów nizinnych, żywość umysłu, fantazję. Jako malarza zachwycić go też musiał fizyczny typ rasy, piękny, w stroju obcisłym, malowniczym. W chałupach zastał sprzęty bryzowane, wszystkie przedmioty użytku celowo i artystycznie wykonane, od stołu do maselniczki. Uderzyła jego oczy architekta chata góralska swoją konstrukcją logiczną, jej rozkład, proporcje, dające możliwości rozwinięcia.

Słowem — zastał świat nowy, odrębny, świat o pełnym i własnym wyrazie. Rozkochała się dusza jego w tym helleńskim, podtatrzańskim świecie — czem dla płuc jego powietrze żywiczne, tem dla umysłu było obcowanie z pierwotną mądrością gazdów — i już odtąd przez ten świat będzie patrzył na rzeczy nawet oddalone, stąd będzie używał porównań i określeń, przeciwstawiając mimowoli siebie i świat ten razem wszystkiemu poza tem. Tu duch jego wrósł, jak ów smrek w szczelinę skalną, i poczuł siebie w gruncie.

Z drugiego krańca Polski, ze Żmudzi przybyły, stał się, jak się sam wyrażał, patriotą Podhala; gorliwszym, a już pewnie głębszym, niż wielu urodzonych Podhalan. Niema w tem samookreśleniu, co snobizm mógł zarzucić, nic z separatyzmu lub z parafjańskiej jakiejś wyłączności. Jest oto zobaczenie bogatej w przymioty ciała i umysłu, wyjątkowej rasy, na tle równie wyjątkowo bogatem. — Nie było też u Witkiewicza nic z zarzucanego mu kiedyś sentymentu, odnośnie do górali. Przeciwnie, widział on lepiej od innych wszystkie ciemne i złe strony ich charakteru, zwłaszcza wśród cywilizacją zepsutego

młodsze pokolenia; chłostał je i wykazywał, że trudno o dosadniejsze piętnowanie; wierzył jednak, że rasa ta tyle ma bogactwa w sobie i rozwojowych możliwości, iż „zdolną jest wydać z siebie najwyższy typ człowieczeństwa“.

Pierwszą manifestacją zetknięcia się Witkiewicza z przyrodą i ludźmi Tatr, manifestacją zachwyty, która tak głośną stała się w Polsce — gdyż pokazała plastycznie w słowie i ilustracji świat nowy, odrębny — było pierwsze wydanie *Na przełęczy*.

A jeśli chodzi o opis natury — to nie wiem, czy jest gdzie piękniejszy, prawdziwszy i sumienniejszy, niż jego *Zima w Tatrach* (w drugim wydaniu tej książki). Jest tam cały proces, wszystkie niesłychane wydziwy i cuda, jakie wiatr i słońce wyprawiają z podatnym śniegiem; jak rzeźbią, modelują, w jakie stroją go blaski. Witkiewicz-Sokrates miał czas tej zmiennej naturze górskiej przez lata się napatrzeć i przeznał ją do gruntu.

Z przyrodzonych bogactw górala niemało zajęła też twórcę *Na przełęczy* gwara. Nie władał nią swobodnie i nie mógł w niej tworzyć jak Tetmajer, lecz mając taki wzór, jak słuchany tylekroć Sabała, znał i oceniał jej obrazowość zwięzłą, jej logikę i harmonję klasyczną. Często w swobodnej pogwarce wtrącał góralskie wyrazy i określenia. Dał też w gwarze podhalańskiej przepiękne przekłady niektórych z *Kwiatków św. Franciszka*.

Rozpatrzywszy się w stylu spotkanej chałupy i wnętrza, podjął śmiały plan rozwinięcia tego stylu i doprowadzenia go do wysokiego artyzmu — połączenia nizin z górą — chałupy z pałacem. Co też w mierze niemałej

osiągnął, zatknąwszy zwycięsko pazdur na bogatej, wyrosłej z góralskiej chałupy — willi. Jest to czyn prawdziwy, trwały, i nic go w postępie czasu nie umniejszy. Jakąkolwiek drogą potoczy się budownictwo na Podhalu, chałupa-willa Witkiewicza, jako pierwsze i szczęśliwe rozwiązanie problemu tak trudnego, pozostanie. Nie zabudował Podhala, jak pragnął — przyjdą przyszli pionierzy i czyn jego podejmą.

Doświadczenia psychologiczno-artystyczne są treścią jego książki *Z Tatr*. Tylko Witkiewicz mógł tak zespolić, stopić — i nowele, i bajki, i uwagi — w jeden artystyczny kruszec. Książka ta jest odbiciem jego pełności, nieoddzielania człowieka czującego od artysty.

Najważniejszy jednak dokument, mówiący o nim, to: *Po 20 latach*, wstęp do drugiego wydania *Na przełęcz*. Jakże ten wstęp pogłębił książkę, takim aplauzem przed laty witaną!

Jest to manifest, który skupił w sobie wszystkie promienie jego myśli i umiłowań. Jest to zrewidowanie po latach dwudziestu stosunku swego do zjawisk tatrzańskiego świata, a zarazem syntetyczne objęcie tego okresu życia ludu góralskiego, na który wybystrzonemi oczyma artysty, sercem wielkiem i umysłem wyostrzonym patrzył. Książka-sąd, książka-zamknięcie. Testament rozumu i serca. Każde zdanie jest ciężkie od stwierdzonej doświadczeniem prawdy. Naprzykład: „Rozwój pojęć nie wyższy człowieka, jeśli nie idzie w parze z rozwojem uczuć, które gruntują charakter“. Lub: kto chce poznać lud naprawdę, „musi potracić wprzód wiele z arystokratycznych i demokratycznych uprzedzeń“ i t. d. i t. d. Na

140 stronach rozwiniętych jest tyle obrazów i opisów świetnych, tyle mądrych spostrzeżeń i uwag, tyle głębokich zestawień i uogólnień, taka nabrzmiałość i spoistość tętniącej żywą krwią treści — iż na wiele bogatych starczyłaby książek. — Uwagi te powinny być jak tablice nade drzwiami ryte. A zwłaszcza wychowawcy i ci, co idą między lud, powinni, jak katechizm podręczny, uwagi te przy sobie nosić i jak najczęściej w nie zaglądać, aż do wpojenia ich sobie, jak przykazań.

*

Gdym w roku 1913 wiosną odwiedził go w Lovranie, gdzie, przez chorobę fatalną jak na banioję z ukochanego Podhala skazany, od kilku lat przebywał, zastałem go zmienionego bardzo. Gorączka go podgryzła. Oczy — te jasne, błękitne oczy — przygasły. Żywo jednak rozpytywał o sprawy Podhala i cieszył się naszymi, idącymi w przyszłość zamiarami. Wyrażał zadowolenie, że odniesiono się doń o projekt gmachu Muzeum im. Chałubińskiego w Zakopanem. „Nie zabacyli o starym dzia-dzie“ — ironizował. Rysował w przerwach gorączki. Przed oknami — mówił — ma smreczka, który przypomina mu Podhale.

Nie widziałem go już czasu wojny. Lecz wiem, jak żywo reagował uczuciem, myślą, na idące, ogromne zdarzenia. Dowodem drukowane wyjątki z *Listów do siostry*.

Widzę te mądre, kochane błękitne oczy — światło przeczystej duszy — i dotąd nie mogę uwierzyć, że go już mówiącego słyszał nie będę.

WSPOMNIENIA WITKIEWICZA

Było to przed laty dwudziestu kilku. Odwiedziłem był z Witkiewiczem pracownię prof. Nalborczyka w Zakopanem, który rzeźbił popiersie ś. p. Adama hr. Krasieńskiego. Wnętrze pracowni nasunęło Witkiewiczowi wspomnienia z czasów jego studjowania w Monachjum. Siedząc na niskim stołku na środku pracowni, gdy Nalborczyk modelował w glinie klasyczną głowę ordynata, ilustrował on Sokrates rękoma w powietrzu słowa, opowiadał:

— Były to czasy wyjątkowej biedy, głodowania. Miłe we wspomnieniu, gdy minęły. Mieszkaliśmy wetrój — z Chełmońskim i z mało później znanym a zapowiadającym się świetnie Jarzmowskim, rzeźbiarzem. Zjedliśmy, co było jadalnego — wyszukaliśmy skrzętnie wszystkie skórki chleba, ba, ośrodki, których się do wycierania węgla używało — sprzedaliśmy z odzieży, co się sprzedać dało — i już nie było się wbrew czego jać. Głód nas dosłownie obalał. Mieliśmy wprawdzie w zapasie ponoć jeszcze talent — możnaby było obraz namalować i za byle grosz spuścić, lecz na to trzeba płótna, a na płótno pieniędzy. Błędne koło. Gdy tak z dnia na dzień stawało się ciężiej, gdy widziałem coraz żałośniejsze i bardziej beznadziejne miny mych przyjaciół, tedy to —

prawi Witkiewicz — ku literaturze widać już wonczas przykłonny, aby im czemś czas gniotący zająć i myśli ich ku inszej, cięższej sprawie zwrócić, począłem im opowiadać historję pewnego, obarczonego liczną rodziną urzędnika, który pije dlatego, że dzieci są głodne, a dzieci głodne dlatego, że ojciec pije — i jest sytuacja bez wyjścia. Codziennie opowiadałem im dalszy ciąg tej historji — i moi współtowarzysze, przez jakąś podświadomą analogję litosną, wżyli się tak w położenie, z dnia na dzień beznadziejniejsze, onego urzędnika, że wprost zapłakiwali się nad losem jego, jak bobry.

— Nadszedł wreszcie czas — ciągnął opowieść Witkiewicz — że trzeba było coś stanowczego przedsięwziąć, inaczej — czuliśmy to — los nas, jako onego nieszczęśnika, zmoże. Płócien, jak się już rzekło, nie mieliśmy, ani też nie było ich zgoła za co kupić. Lecz był w pracowni, z dawniejszego lokatorstwa pozostały, niewykończony kicz Siemiradzkiego. Postanowiliśmy po wahaniu namalować na nim rzecz, która nas wybawi. Jakimś cudem zdobyliśmy farby i przystąpiliśmy niezwłocznie do pracy. Miał to być obraz: „Czaban na stepie“. Step malował Chełmoński; mnie przypadły do zrobienia postaci czabanów, a już razem mieliśmy zrobić ich wieczerzę. Rozumie się, że najlepiej wypadło mięso (malowane *con amore*), które na ogniu pieką. Wprost skwierczało z obrazu. Skoro obraz był gotów, uczyniliśmy wysiłek ostatni, by zdobyć ramy. Podpisaliśmy owe dzieło pseudonimem nieznanym „Polono Greco“ — i, jako posłańcy rzekomi schowanego za kryptonimem tajemniczego malarza, zanieśliśmy w tryumfie obraz na wystawę. Obraz został

przyjęty. Pisano o nim pochwalnie, nawet wprowadził zaciekawienie duże w artystyczny światek monachijski, zgadywania, zakłady, kto to może być ów „Polono Greco“, lecz — niestety — nie został sprzedany. Musieliśmy go zpowrotem, jako posłańcy niby, do pracowni tasczyć. Na tem płótnie dopiero, za inwencją przyjaznego młodemu, bardzo wówczas pokupnego Brandta, namalowany i firmą jego podpisany obraz został przezeń „Kunsthändlerowi“ do Ameryki sprzedany. Ciekawą byłoby rzeczą zbadanie w Ameryce zakupionych w tym czasie w Monachjum obrazów. Na wierzchu byłby np. (jak w tym wypadku) Brandt, pod tym Chełmoński i ja, na spodzie Siemiradzki — lub inaczej.

— Nie przeżywaliśmy już później — prawili nam dalej Witkiewicz — tak nielitośnie długiego i o ziemię rzucającego wprost stanu dosłownej nędzy, choć okresy głodu naturalnie w cygańsko-artystycznym naszym ówczesnym monachijskim życiu w dłuższych czy krótszych odstępach powtarzać się musiały. Pamiętam moment...

— Był dzień wczesnej wiosny, słoneczny, ciepły. Pustka i nędza pracowni wyгнаła nas w przestrzeń, na świat boży. Wyszliśmy wetrój, jako zwyczajnie nierozłączeni, za miasto, by młodo-wieśnym pejzażem zająć oczy i stłumić choć na jakąś chwilę czyhające w nas i osłabiające podle uczucie pustego żołądka. Gdyśmy przechodzili koło jakiegoś restauracyjnego za miastem ogródka, widzimy poprzez zaplecie ogrodzenia: Maks Gieryski siedzi przy stoliku i je obiad. Jak zawsze, dystygowany, elegancki; ubranie i bielizna nieposzlakowanej czystości; na stole cylinder lśniący, obok nieod-

łączna laseczka i glansowane rękawiczki. — Zaleciał nas z ogródka słabiący zapach potraw. Wypychamy Jarzmowskiego:

— Idźże, pożycz od niego marek kilka. Napewno ci pożyczą.

Z ociąganiem, dał się przecie przyklonić — poszedł. My dwaj stanęliśmy, obserwując poprzez ażur płotu przebieg wyprawy i oczekując w trwożnym niepokoju nadziei jej skutku. — Gdy Jarzmowski przybliżył się do stolika, gdzie siedział Gierymski, ten, zawsze uprzedzając grzeczny, wyciąga doń zdaleka rękę:

— Witam kolegę! Proszę, niech kolega siada.

A gdy Jarzmowski usiadł obok, Maks, wskazując otwarty pejzaż zachodu, z żywością powiada:

— Widzi kolega, jaki wyjątkowo cudowny zespół barw!... Jakie niesłychane niebo!...

A Jarzmowski, wpatrzony zezem, jakby urzeczony, w befszytk, leżący przed Gierymskim na talerzu, przytakuje z przekonaniem:

— Nadzwyczajne... rzeczywiście... nadzwyczajne...

Posiedział przy stole chwilę, wysłuchał pięknego wywodu Maksa o sztuce wogóle, myśląc o czym innym, nie miał jednak odwagi wykrztusić słowa o pożyczce i, pożegnawszy się wnet, wrócił do nas z niczem. Cóż było robić — gwizdząc, poszliśmy dalej w pole.

— Był ten Jarzmowski — przedstawiał go nam Witkiewicz — dziwnym zaiste człkiem. Był on synem konsula, gdzieś pod słońcem Sahary urodzonym. Był smagły i ciemnej, spalonej cery, jak Beduin. Milczący był zazwyczaj w sobie i ponury. Ponurość ta wrodzona oblicza,

która jak chmura zakrzepla, kryła wcale nieposepne i złote serce, uderzała ludzi, gdzie się jawił, i nieraz powodem była nieporozumienia. Oto np. siedzi Jarzmowski w jakieś święto (gdy flota skądś zniecka spada) przy stole w sali „Bräuhausu“ — siedzi nad kuflem ciemnym piwa, ponury jak samobójca. Siedzący pobok Niemcy poczynają się trącać łokciami, wskazując nań oczyma, wreszcie jeden z sąsiadów bierze na odwagę i w poczciwości serca swego zwraca się doń z perswazją: „No, czemu pan się martwi? Das Bier is aber so gut“.

— Ów Jarzmowski — ciągnął Witkiewicz — po latach paru czy więcej, bawiący już w kraju, postanowił wprowadzić w czyn dawno tkwiący w nim tajemny zamiar: dostać się do ojczyzny urodzenia swego, do Afryki. Nie mając innego sposobu, puścił się poprostu w kierunku południowym, pieszo. Po drodze, gdzieś już na gościńcu Moraw, spotkał się z biedą-klerykiem, który znów szedł do Rzymu zostać kardynałem. Juścić dwaj tacy racjonałści łatwo się z sobą zgwarzyli. Postanowili iść razem. Że zaś nie mieli obaj środków, zarabiali po drodze w ten sposób, iż Jarzmowski grał na harmonijce, a kleryk śpiewał. Tak przeszli Austryję, Tyrol, zarabiając grosze po dziedzińcach. I dobrze im się działo. Choć niebardzo. Bo Jarzmowski, co dziś zarobili, chciał zaraz puścić, kleryk zaś chciał oszczędzać. Nie mogli dojść z sobą do ładu. Wkońcu się też rozstali. — Czy kleryk został kardynałem, nie wiem — Jarzmowski jednak dobił do Afryki. Juścić nie pieszo. Pono go w Szwajcarii francuskiej jako włóczęgę aresztowano i, z łamanej jego francuszczyzny poznawszy, o co mu chodzi, skierowano

go do Francji, a stamtąd wysłano go już na koszt rządu do legji cudzoziemskiej do Algieru. Z wielkim trudem, po dużych staraniach i wykupie przyjaciół swych z kraju udało mu się z tej katongi po latach wydostać. Co potem działał? Miał, słyszałem, mleczarnię pod Lwowem. Z prac jego rzeźbiarskich pozostał tylko, o ile wiem, jeden utwór kapitalny, grupa: „Chałubiński w otoczeniu górali“, w posiadaniu Aleksandra Świętochowskiego.

I wiele prawił nam jeszcze Witkiewicz, wspominając dawne lata, artystów zmagających się z biedą, ze życiem, z ignorancją społeczeństwa, z wąskością estetyzujących powag. O tragicznych załamaniach Kurzawy, Podkowińskiego — słuchało się jak jakichś klęskowych k a t h a r s i s niewtórzonego dramatu. — Szkoda, że te jego dokumentalne wspomnienia nie zostały odrazu spisane. Mówił bowiem tak, jak pisał, jędrnie, obrazowo, bez rozgałęzień, treściwie. Każde słowo, ilustrowane plastycznie rękoma, miało wagę życia, dokumentu. Szkoda wielka, że ich sam nie zanotował. Już w powtórzeniu — po latach — koloryt ich swoisty, ich barwa, ścierają się i tracą.

„C I C H Y P A N“

Bawiąc w zimie r. 1916 w Lublinie, miałem zaszczyt poznać tamże mieszkającego naonczas artystę malarza, którego imię daleko wprawdzie wybiegło za bramy lubelskie, lecz nie oddzwania w Polsce takim rezonansem, jakby powinno przez prawosć sumiennej twórczości jego, jak i wagę dotychczas dokonanych prac.

Ale bo też temu cicho mówiącemu i zaiste cichemu artyście, — jak łatwo zmiarkować było można, — najmniej chodziło o to, co nawet tęgich artystów zawodzi:— o rozgłos. A o sławie ma zapewne też w mądrości swej sokratowskie zdanie, a być może z tragedją w sanctuarium duszy ostałą związane. Rosło w nim zasię twórczością, co podkładu wielkiego serca przy wzroku artysty wymaga: — umiłowanie. Umiłowanie tej właśnie ziemi polskiej, tego nieba i może jeszcze bardziej człowieka, rasą w tę ziemię wrosłego, jak i niemylnego wyjawu jego wartości: sztuki, którą zowiemy ludową.

Zwiedzając w onczas pracownię tego dziwnego artysty, zdumiałem się bogactwu prac, które mię otoczyło. Ujrzałem się jakby w jakiejś galerji, lub zgoła w muzeum. Oglądałem obrazy o różnych tematach, różnej technice, niektóre nawet o tematach literackich (np. jeden, który mam we wzroku: Bunt, czy Rewolucja. Uskrzydłona po-

stać o buntowniczym czole, — anioł zbuntowany, Lucifer, ciskający zgóry bombę na tonącą w mgłę kosmostu ziemię). Dumalem zrazu: „Artysta ten chyba błąka się po Europie, jak wielu; szuka jeszcze, nie ma zdecydowanej swej drogi.“ Aliści gospodarz cichy poczyną wyciągać kartony — akwarele, pejzaże swoje z nad Wisły. Cały niezmierny pochód nadwiślańskiego uroczyska. Potem typy lubelskie: osobna galerja. Potem rysunki piórkiem, akwaforty bram, kościołów, zaułków Starego Lublina. I oto odkrył mi się skarb, — jego droga: umiłowanie serdeczne artysty.

Po kilku latach dowiedziałem się z artykułów jego w *Gazecie Podhalańskiej*, że bawi w Szczawnicy. Tylko też on jedyny, rozumem serca się orjentujący, mógł w tak krótkim czasie, i to absorbowany leczeniem, wejść w sam środek kłopotów szczawnickich górali, poznać ich samych, ich twórczość i zdatność, i zająć się ze zrozumieniem ich sprawami.

Spotkaliśmy się wreszcie w Zakopanem. Tak to musiało być; — ten artysta z Lublina, jak Witkiewicz ze Żmudzi, musiał przyjść pod Tatry. Szedł przez Pieniny. To też w ciemnej jego izdebce (przez ukarany sentyment lubelski mieszczącej się wtedy w „Lubliniance“) oglądałem znowu wielką ilość przepięknych akwarel: studjów nieba, gór i lasów pienińskich, o różnej oświetli dni, mglistych i słonecznych, jak je wzruszenie i zachwyt artysty bezpośrednio zanotowały. Jedyny w malarstwie naszym poemat Pienin.

Gdzieżby zaś pominął człowieka z temi górami zrosłego, jego twórczość! Oto z przywiezionych tek jęły się

wysuwać, — zrazu dla ciekawości, później już zachwytu oka —: typy górali, kapliczki przydrożne, ozdoby guń, serdaczków, wysycia żupanów, hafty przedziwne, cyfrowania, — cała szczawnickich górali sztuka, dawna i dziejowa. W Szczawnickiem bo spotkały się trzy odrębne twórczości: lacka, od północy, — podhalańska od zachodu, i rusińska, od wschodu, — i wydały swoistą syntezę przedziwną, którą dla bogactwa śmiało nazwać można sztuką szczawnicką. Wzory szczawnickie (np. wyszywań i haftów) mogą rywalizować z najsubtelniejszymi wzorami Zachodu. Jak dla sztuki polskiej przed laty odkrył Witkiewicz Zakopane, tak dla nas odkrył znowu ten cichy, opatrnościowy artysta Szczawnicę. Ma też tam szczerych przyjaciół (np. samouka-artystę górala Czaję, twórcę przepięknych ram), którzy piszą doń, tęsknią za nim, wspominając serdecznie „cichego Pana“.

A „cichy Pan“ utknął tymczasem w Zakopanem. I dobrze się stało, że tu przybył. Od czasu jak zabrakło nieodżałowanego, świętej na zawsze pamięci Stanisława Witkiewicza, barbarja jarmarczna rozpanoszyła się pod groźnym Giewontem. Narosło wiele bud drewnianych, niby „podług Witkiewicza“, powstały gmachy odważne w t. zw. wesoło-zakopiańskim stylu, a w dziedzinie przemysłu artystycznego, zwłaszcza drzewnego, który tu mógłby, jak nigdzie w Polsce, rozkwitnąć, — nieliczne rzeczy rodzimego stylu giną w zalewie tandetnych, swojsko-płaskich, albo ohydnych tyrolskich wyrobów.

Artyści, których tu dość i stale przebywa, tak iż niektórzy już się i zzakopiańczyli, jedni od spraw tych od-

wróceni, którzy też zwykli „siadywać tyłem do Tatr“, — drudzy zarobkami albo też biedą swoją przyciśnięci, insi zaś, to widzący, wygadają się w kawiarni, wynarzekają — i na tem koniec. Niema człeka Chrystusowego, któryby ujął bicz-słowo na handlarzy.

Mam wrażenie, że spełniłby to mógł jeden, ów właśnie „cichy Pan“. Ma bowiem pełną wiedzę, wprawę i umiłowanie. Nie ma wprawdzie, jak Witkiewicz, nieochybnych cięć, ale ma wystarczający snop — mówiąc rymem — ironicznych pchnięć.

Cicho mówi... zaiste. Głośni — są często: jako cymbały brzmiące. A on mówi cicho... r z e c z y w a ż n e.

I to jeszcze: Jest on z sokratesowskich ludzi, jakim był Witkiewicz. Promieniować pragnąłby duszą, czynem, by życie w piękno przemienić.

Ten „cichy Pan“, o twarzy jakiegoś lorda szkockiego lub góralskiego Topora, o uśmiechu współcześnie smutno-ironicznym, to wielki w swej dziedzinie pan. A zowie się, — jeśli ktoś, kto go nie zna, ciekaw: — Konstanty Kietlicz-Rayski.

PODHAŁE W ŻYCIU KASPROWICZA

Jakąż to stało się przyczyną, iż syn ziemi pszennej, nadgoplańskiej, niejako oka niżu, najwcześniej rasowo lackiej, przylgnął umiłowanemu rosnącemu do tej ubogiej, skalnej, wysokiej krainy i tak się z nią nakoniec zespolił uczuciem, iż na zawsze zapragnął w niej ostać? Otoć ze swej ojczyzny kujawskiej przez strach najeźdźcy (słusznie obawiać się mógł gwałt groźnego ducha) bez możliwości powrotu wyważon, — a jako z gleby piastowej wyrosły, z naturą ziemną skrewniony, chłop gwałtownie czujący — poeta, nie mogący trwać stale w katorżnym dlań świecie miejskim, — należeć musiał w promieniu uczuć patriotycznych tę ziemię, któraby mu przez oddal jeszcze wypiękniałe ojcowskie Kujawy zastąpiła. A Podhale, mimo swej ubogości glebnej, ma zastępczo niejako tę w sobie przywieźną wagę, iż kto raz na jego skalne progi stąpi (juścić nie gwara tu o owcach szarych), musi już, jak pątnik ku zbawieniu, ku jego urokom wracać, ażci go wkońcu urzeczą na zawsze.

Naprzód orłość Kasprowicza musiały pociągnąć Tatry: mieszczące w swej ku obłokom wyniesionej głębi jedyne jeszcze na rozdłuzi ziem niewolnych „swobody ołtarze“, gdzie duch, katorgą życia utrudzony, rozprostować mógł skrzydła. Tatry, ze swoją niedostępnością,

z iglicowemi szczytami, z zawratami, ze zdraadnym upadem źleńbów, w których śnieg wieczysty leży, z turniami grozy, z przepaściami śmierci, — były właśnie dla zaciętej, bojującej natury Kasprowicza jakby stworzonym krajem. Wyszarpywały zeń swym podniebnym, Bogu grożącym ogromem wolę potęgi, a zarazem oporem swym, natrzęsającą się z człeka wyniesią ściosanych granitów wyzywały do jedynej życia radości, do walki. Walczy też z ich srogością. „Ponad turnic załomy, tam, gdzie orły jedynie tulą skrzydła znużone“, wspina się w hardej, nieustępliwej brawurze, — zmaga się z burzą, pierś w pierś staje przeciw halnemu wichrowi („radby siły swemi zmierzyć się“ z jego stuwiatrową mocą), — a olbrzymom szczytom, jak Hrubemu, Lodowemu, Rysom, poszarpanym zębcom skał i turni, ciska z dołu junackie wyzwanie: „Hej, wy zęby, wy turniczki marne, jeszcze ja was łokciami ogarnę!“ W zachwycie walki, w radosnem poczuciu, jak dąb młody, wezbranych soków-sił, zdaje się być Janickiem i harnasiem, Waligórą razem, co „śpiewający orłując ku hali“, „głaźne złomy do przepaści wali“. W tryumfalnych tych z ogromem skalnym zapasach, gdy słońca krąg zdawał się być łatwo dłonią ze szczytu osiągalny, — mógł każdy czyn gromkim potwierdzać okrzykiem, wieszcząc, iż „złudą li jest śmierć, a zasię prawdą życie!“

— — — — —

Załamiał się młodości okres bohaterski. Nadszedł „wiek męski, wiek klęski“. Tatry będą również sceną i kulisami wieczności tej tragedji. Naokół oto „ogrom skał“, —

gdy „duch, zrzućwszy brzemień ciał, zawisł nad przepaściami“... Przesłaniane bojowaniem-czynem, manifestacją życia, oczy śmierci poczynają studnią bez dna wyzierać z czarnej otchłani. Staje pytanie: „Wieczny sen, czy też wieczyste życie?“ — Tytaniczne również, groźniejsze wiele niż z Tatrami, będzie to zmaganie się Kasprowicza z „widmem tajemnic Bożych“. Raz duch poety w imię nędz człowieczych podniesie protest-bunt, stanie się sędzią Sędziego, — to w wątplenie się osunie, w trwogę, „do smreków tuli się bezwładnie“, — by podźwignąć się znowu do walki. Zciemnieje, zjesieni się w tych zapasach myśli, wszystko naokół inne przyjmie barwy, kir czarny na duszę padnie, — wyrwą się słowa Hiobowe: „niema szczęścia tam, gdzie życie rośnie“. To znów — po walce na powietrzu krwawej, od której „płonie skalna Tatr korona“, — ukój napływa w duszę, człowiek się pokorzy, — gdy „cisza idzie od wieczornej zorzy zamykać Tatry w swe ramiona“.

Jeśli Nowicki w sonetach swych dał plastyczne zarysy Tatr, Tetmajer zaś w swych lirykach sępiość ich dolin-pustaci, to Kasprowicz uczynił je chramem, jak Mojżesz Synaj, dla rozmowy z Bogiem. I już odtąd, gdy z Nim będzie miał przed słońcem sprawę, tam, wśród otoczy tych świadków-Tytanów scenę realną monologu (z wizyjnym wprowadzeniem kujawskich pól) umieści:

Dzień mój przygasa —

Za wielkim, niebotycznym przygasa mi szczytem,

Krwawą za sobą zostawiając zorzę,

Która się czepia ogniami

Tych oto smreczyn i ścian poszarpanych.

Nie mogąc już, jak z młodu, w bujnym sił rozkwicie, brać się za bary z olbrzymami Tatr, ani ku ich podniebnym schodom się wynosić, chciał Kasprowicz przynajmniej co roku być w ich bliskości i w miejscu, skąd mógłby oczyma największy możliwie obszar ich objąć. Poronin nadawał się najbardziej ku temu. Tam też rozbijał latem swe namioty.

Czyhała tu na jego serce druga wierchność urocza Podhala: rasa ludzka. Nie spotkał tu już wprawdzie tych legendarnych herosów, ni owych mitycznych lordów, jakich zastali jeszcze — lub świeżą tradycję o nich żywą, — Chałubiński, Stolarczyk, Witkiewicz, nawet Tetmajer w chłopiectwie, — lecz poznał przecie dość hyrnych junaków, sporo szanownych poronińskich gazdów (Mardułów, Gutów, Orawców i innych), którzy w porównaniu z ludźmi z nizin iście jeszcze świecznili się eposową łuną.

Przez rozważanie sumieniem *Buntu Napierskiego* wszedł Kasprowicz w tradycję tej honornej rasy, niejako zbracił się w jej występach buntowniczych z nią, stał się niejako wespół odpowiedzialnym za przeszłość, prawym sołtysem Podhala, w ziemię tę sercem wybraną, jak dąb z Kujaw przesadzony, korzeniami wrosłym.

Osiadł na dłużej w Poroninie. Wynajął dom u Marduły, sprowadził książki, obrazy i godnie wewnątrz urządził. Z okien miał widok na grzebień Tatr wschodnich i na groźny stąd, osobniczy Murań. Tu żył sam z sobą, z widmem Tatr i z tragicznymi zagadkami bytu, z przemieniami porami roku i — z przyjaciółmi. W ponurości swej bowiem wielkze towarzyski, często miał w swej pu-

stelni odwiedziny i przyjaźnił się też, niejako sołtys ów góralski, z gazdami-sąsiadami. Bawił się na chrzcinach u nich jak Król i Marchońt razem. Oni też kochali go i dumna wieś cała była ze „swojego pana Kasprowicza“.

Znane były samotne wędrówki tego Pana w pole, jako i piesze pąty do Zakopanego. Powiedziałyby ta rampa na usypie, powiedziałyby kapliczka koło osiedla Bachledów, ile razy po zimie, w deszczu albo zadymce okrutnej stapał tu tędy mocny pan w kozuchu. Łamiąc się tragicznie z powracającym, z nieodstępem, groźniącym „widmem“, rad odpoczywał we walce fizycznej z śnieżycą, z plutą, z wichurą. Rósł w sobie przezwyciężaniem.

Przychodziły i jesienie ciężkie. Ogródek przed oknem pustoszał. „Stary, oślepy słonecznik sam jeden mi jeszcze pozostał z wszystkich mych kwiatów-przyjaciół“... Zato zima, zima podtatrzańska, biała, z fioletami cieni, z baśniową okiścią drzew, ze smętnymi pogłosami sanek, wywołująca z domu w nieskończoność... Pola — załomy — miedze do cna wyrównane jedną puszystą zaścielą, zróżwioną obrzaskiem zachodu, — a tam w bezludzie, w pustac otwartego działu ślad po śniegu głęboki... Postać w kozuchu znana, brnąca po pas w zaspach, zawzięcie borykająca się z topielą śniegową, — z celem upartym, by „z tej drogi końca zobaczyć lepiej zachód swego słońca“.

Powołany na katedrę, zwinąć musiał Kasprowicz mieszkanie u Marduły i przenieść się z powrotem do

Lwowa. Tęsknił jednak za zrodzinniałem już dlań niejako, swoim Podhalem, i wszystek wolny od zajęć profesorskich czas tu w otoczy miłowanej spędzał. Marzył też o tem coraz to wyraźniej, by tu dom swój (koło Ustupu) zbudować i już na stałe w nim osiąść. Nim do tego mógł przyjść, wojna zaszła. Kasprowicz zamieszkał znów w dawnym osiedlu Mardułów. Widząc krwawą zmożę-zbrodnię, która zajęła świat, odrzucił w sobie wolę bojo-wania. Zbliżył się sercem ku piewcy Miłości, pokornemu Bratu wszystkiego stworzenia, który znał mowę kwiat-ków. Chodząc po łąkach olczańskich, dumał swą *Księgę ubogich*.

Ziściło się nakoniec marzenie gazdy-poety. Nabył dom naprzeciw Ustupu, na Harendzie. Rozszerzył go i tak wszystko w nim i wokół domu urządził, jak się mu jeno najlepiej widziało. Sołtysie istnie, o dogodach kul-tury wysokiej, ufundował gazdostwo.

Lecz, niestety, niedługo mógł się niem nacieszyć. Chorość niezmożonego powaliła. Kiedy się otawił po niej, był już jak dąb piorunem podcięty i śmiertelnemi strzały stygmatyzowany. Nie mogąc pióra udziżyć, dyktował jeszcze żonie-opiekunce tę ostatnią i prze-smutną księgę, w której zamknął „sвій świat“. Jest nim to proste, ubogie, z okna niejako widziane, — z oknem jednak na wieczność — Podhale. Z niem pragnął koniec żywota zespolić.

Przycisnęło Go też, jak najdroższego syna do swej piersi. Duch Jego pozostał z nami i gazduje dalej w Harendzie.

WIEŚ TETMAJERÓW

Kilkunastomilową dolinę Nowotarską lub właściwiej dolinę Dunajca, po jego wrąb w Pieniny, zamykają: od wschodu te właśnie bramy Pienin, od północy wał Gorców i Beskidu, od zachodu orawskie hory, a od południa Tatry. — Dolina ta, tak w sobie zamknięta, tak charakterem swym od reszty kraju inna, tak — można rzec — odrębnie żyjąca, nasuwać może jedyne porównanie z państewkami dawnymi greckimi, równie przez swe zamknięcie w kotlinach od siebie wzajem wyodrębnionymi. A ta pewna jej helleńskość (że użyję wyrazu nadużywanego) tkwi nietylko w geograficznym jej położeniu; przebija się w temperamencie ludności, w obrazowości i rytmice gwary, jako też w tej słoneczności, którą, mimo chłodu, zawiewającego od sinych Tatr, po brzegi niemal zalewa. — Komu w dzień pogodny, jadącemu z Chabówki do Zakopanego, na przechyleniu z Obidowej odłonił się z nagłą widok na rzeczoną dolinę ku Tatrom, ten z pewnością nigdy tego olśnienia nie zapomni: — wizji jakiejś krainy szczęsnej, południowej, pełnej rozpylonego słońca, z cudem nie-do-uwierzenia mglących się woddali Tatr...

Prawie pośrodku tej doliny, na otwartej równinie, milę na zachód od Miasta (Nowego Targu), na lewym

brzegu Dunajca Czarnego, nad ujściem rzeczki Lepietnicy, która z Gorców z pod Turbacza spada, leży stara osada *Lu d ź m i e r z*, rodzinna wieś Tetmajerów.

Uplastycznijmy sobie lepiej tę sławną już dziś dziedzinę podhalańską, której losem szczęśliwym przyznany jest zaszczyt być kolebką dwóch wielkich braci-artystów.

Od północy więc olbrzymi, lesisty wał Gorców... Na południu, widne w całym majestacie, z ponad spiętrzonych wzgórz Podhala skalnego ku obłokom wyniesione, Tatry... Na zachód i wschód przestrzeń równienna, daleka — niby dwie bramy, naoścież dla duszy wrażliwej rozwarte: świtu i zmierzchu, radości i tęsknoty... Tuż pobok szemroty rzeczne... Długie zagony pól, łąki torfiaste... Dalej, przeświecające śród wiklin, ujęte tu niskimi brzegami, Dunajca fale... Za Dunajcem bór smrekowo-sośniany — aż ku Miastu, z którego widna jeno ponad ciemną ścianą lasu wieża kościoła św. Katarzyny, pamiętająca zmierzchłe czasy Kaźmierza Wielkiego, i stojący na wzgórzu nad miastem, ponoć jeszcze starszy, drewniany kościółek św. Anny, według podania przez zbójników ufundowany. — Drzew liściastych ubogo... Parę lip koło kościoła — tu i owdzie nad ciemne dachy chałup wyniesione zielone czapy jesionów — jawór gdzieś w kępie samotny — wierzba skądś trafem w ten nieswój kraj zaplątana — i tyle. Zato słońce, długimi szlaki chodzące — z bramy Pienin, ponad dłuż Tatr, aż ku zapadłej Orawie — jest tu o każdej porze dnia, gdy go chmury nie kryją, obecne.

Tu więc twórca *Skalnego Podhala* wśród tej otoczy smętnej i wspaniałej przeżył dziecięcą wiosnę i lata

pierwszej młodości; lata, które kształtują rdzeń duszy, którego są niejako śpichrzem wrażeń, odbieranych z zewnątrz barw, uczuć — na całe życie.

Uprzytomnijmy sobie treść tych chwil wstępnego życia poety, a zrozumiemy wagę ich tworzącą, i wiele z utworów jego tem bardziej się nam, bo na ziemi określonej wiedzą, uplastyczni.

Dworek Tetmajerów w Ludźmierzu nie odcinał się od życia otaczającego. Ojciec poety żył z chłopami w przyjaznem sąsiedztwie i miał duży mir na okolicę, jak świadczą wspominki starych. To też poeta od dziecka stykał się z ludźmierzanami, a i z dalszymi ludźmi z Podhala (bo do ojca, jako posła, szli chłopie zewsząd na uradę) i wcześniej już nauczył się polskiej ludu gwary, którą mówił wnet jak swoją. Później, przyjeżdżając ze szkół na wakacje, „towarzyszył się“ z rówieśnikami, a miał zapewne od czasu dzieciństwa i starych gazdów-przyjaciół, do których chadzał na „gadki“: o czasach drzewnych, o zbójnikach, o dawnym świecie Podhala. — Przeogromne zwaliska Tatr padały grozą na wrażliwą duszę, to wyszarpywały z niej swym ku niebu krzykiem wolę potęgi... A gdy zamgliło je słońce — iż stawały się snem, mityczną jawą — to znów wiodły duszę w baśń niezamkniętą, w marzenie. — Legendy słychiwane o bajecznem wnętrzu Tatr, opowieści o ludziach mocarnych, o górnem, skalnem Podhalu, rozpały wyobraźnię młodzieńca. Widywał ich zapewne, tych „skrzydlatych“, corocznie podczas odpustu. Na Matkę Boską Zielną w sierpniu ściąga całe Podhale do Ludźmie-

rza. Mógł się im wszystkim i ich strojom dowoli napa-
trzeć.

Chybko minęły te lata. Poeta poszedł „w świat“. I w tem nie uszedł losu swych krajan-Podhalan. Jednak Ludźmierz w twórczości jego pozostał. Chwile, tam przeżyte, wróciły po latach, nienaruszone, lecz ileż głębsze! Przeszły z pamięci przez rezonans duszy, przez jej pustkę. Dołączyły się do ich tych samych barw: wiedza o nich, że były, żal, że umarli, i wreszcie smutek, który narasta ze życia i wszystko swym cieniem tonuje. „Na Anioł Pański biją dzwony“...

Wszystkie zmierzchy, zachody, południa, tylekroć widziane z łąk ludzimierskich, wróca, odbiją się w poezji przypomnieniem. Twórczość jest przypominaniem — można w skrócie powiedzieć.

Jest w *Janosiku Nędzy Litmanowskim* opis powodzi. Jakich rzek? Juścić Dunajca i Lepietnicy. Prawie widzę, gdzie stał chłopiędem, w którym miejscu, i patrzył trwożnie na toczące się męty wód, na głuszone szumem krzyki pasterzy za wodą, którym wezbrany zagnała potok odciął powrót do dziedzin.

Nawet mówiąc o zamierzchłych czasach, z tej strony spojrzy na nie nieraz, od Ludźmierza, czego dowodem w cyklu *Na skalnem Podhalu* rzecz p. t. *Rosiczka*. — Ludźmierz za dawnych czasów z paru sąsiednimi osadami należał do t. zw. opatowszczyzny, własności o. o. cystersów, którzy mieli klasztor obok w sąsiednim Rogóżniku, lecz po dziesięciokrotnym napadzie zbójników zmuszeni byli przenieść się w kąć spokojniejszy. —

POECI PODHALAŃSCY

I.

*Józef Jedlicz.*¹

Z trudnością przychodzi mi pisać o tej pierwszej książce Jedlicza.¹ Gdyby była przyszła do mnie przed laty paru, pewnie pisałbym o niej łatwo, entuzjastycznie. Książka bowiem (zwłaszcza zawierająca poezje) jest to list do przyjaciół, znaczy: ludzi, na tymsamym stopniu duchowego rozwoju będących. Z treści zaś widzę, że to list nie do mnie, i przeto w sprawach zasadniczych niema narazie, sądzę, porozumień między mną a autorem. Narazie — mówię, bo w drodze rozwoju może się znowu spotkamy.

To powyższe zaznaczenie usuwałoby dalszą ocenę. Ale że książka, jak zwyczajnie, jest listem otwartym, więc mogę — przeczytawszy — powiedzieć swoje wrażenie.

Wrażenie z tej *Słonecznej pieśni* odniosłem przygnębiające. Oto jakbym widział ptaka (orła — powiedzmy poetycznie, choć właśnie różni poeci zrobili go sową nadętą), więc orła, zamkniętego w klatce, który przymknąwszy znużone powieki, marzy o nadchmurnym

¹ Józef Jedlicz, *Słoneczna pieśń*. Kraków, nakładem D. E. Friedleina. 1904.



locie, o dalekich żeglugach nadmorskich, o zawrotnem kołowaniu ponad przepaściami, o królewskim spokoju na szczytach, — i to marzenie jest mu tak realne, że nie czuje potrzeby tych pięknych przeżywań poza przeżywaniem w myśli. A choćby czuł, to kraty mu się widzą (zwłaszcza wobec przymkniętych oczu) takie mocne, że ani gadki ich połamać. Więc zadowala się samem marzeniem, i to jest jego słoneczna pieśń — w klatce. A smutek, zgryz, który się w to marzenie wiska, to stąd, że sobie tę klatkę-niewolę dość często przecież uświadamia.

Ma on pragnienie pełnego, promiennego życia, ale woli ku temu życiu nie posiada. Gdyby mu klatkę kto otwarł, — onby się może nawet i nie ruszył. Na bój? Na świat? Na nowe życie? — Wszak on je już w swej myśli przeżył! Spokój jest potęgą, — a potęga spokojem (w klatce). Zresztą jemu tak z tym królewsko-żebraczym spokojem do twarzy!

Oto takie wrażenie odniosłem z *Pieśni słonecznej*, zwłaszcza z cyklu takim tytułem zaznaczonego w zbioruku. Jan Sten, pisząc w *Krytyce* o poezjach Jedlicza, rozkoszuje się „spokojem helleńskim“, jaki w nich widzi. Często się u nas ten „hellenizm“ powtarza. Otóż trza zwrócić uwagę, że ów „spokój“ Hellenów wypływał z pełni ich życia, tak fizycznego jak i duchowego. Była to naturalna pogoda żyjących. A gdzież u nas kto żyje? W marzeniu chyba? Ale to nie jest życie, — to nazywamy dzisiaj poezją. Marzenie o pełnem życiu. Taką jest *Słoneczna pieśń*. Ale chyba tak daleka od „hellenizmu“, jak marzenie o życiu dalekiem jest od życia.

Czytelnicy *Tygodnia* mieli sposobność zapoznać się z Jedliczem i poznać właściwości jego świeżego talentu. *Tydzień* bowiem dość często zamieszczał utwory jego, tak prozą jak i wierszem, i bodaj czy nie najpiękniejsze wiersze z jego zbioru (cykl sonetów: *Legenda pól*) były tam drukowane. To też nie chcę narzucać swojego sądu o artystycznej wartości tych rzeczy, tembardziej, że niejedni śledzący drogi naszej poezji zechcą przeczytać cały zbiorek *Słoneczną pieśnią* objęty. Dodam jeno, iż ten tomik odcina się wybitnie od szeregu podobnych z okładki tomików i można go postawić w rzędzie najlepszych utworów lirycznych z lat ostatnich.

2.

*Feliks Gwiżdż*¹

Na wstępie muszę zaznaczyć, iż uważam za rzecz niepotrzebną pisanie przedmów do zbioru utworów, które nie potrzebują objaśnień, albo z powodu których trudno coś wyraźnie decydującego powiedzieć o ich autorze.

Że jednak mimo tego zastrzeżenia przedmowę niniejszą¹ piszę, czynię to — jak wiele innych rzeczy — z naturalnej niekonsekwencji, co nie powinno dobrego człowieka, mającego istotny zamiar przeczytania niniejszej książki, zniechęcać zaraz na wstępie ni smucić, jeżeli zważy choćby życie swoje — najczęściej niekonsekwentne. Czynię to także z grzeczności sąsiedzkiej, bo jeno paro milowy grzbiet leżącej, poślubionej Obidowco-

¹ Zamierzona przedmowa do tomiku poezyj F. Gwiżdża. Przedmowa nie została ogłoszona.

wi, Obidowej dzieli Porębę, wgłębianą w roztoki, od słonecznego Odrowąza, gdzie się w chałupie ojców swych wychował, pasając bydło, zanim we świat poszedł, autor *Jaśkowej nuty*, dziś już pan Feliks Gwiżdż.

Nie pierwszy to muzyk słowa, którego ta helleńska kotlina wydała. Bo i Jedlicz, znany szerzej twórca przeczystej *Pieśni słonecznej*, urodził się i wychował nad falami Czarnego Dunajca, w dziedzinie, stykającej się polami równianemi z Odrowązem. Pewnie w latach chłopięcych spotykali się na pastwiskach granicznych wsi oba, biorąc gorący udział w homeryckich zapasach pasterzy, w walkach, których przyczyny były bardzo ważne, np. wypasanie kryjome ugorów, zawiść, szyderstwo bardzo dokuczliwe z jednej, i obrażona duma z drugiej strony, wreszcie, co najważniejsze, zbyt siły, temperamentu, lotności, z którymi się nie wiedziało już, co robić.

I ci bohaterowie mali, przewodzący może swoim hufcom krzykliwym, ani mogli wówczas przeczuć, iż kiedyś spotkają się znowu w innych zapasach na drodze do grodu Sławy: w zapasach, w borykaniu się ze swoją niemocą, i że przewodzić będą milczącym hufcom postaci swych, z wizyj swoich powstającym.

Tak to dziwnie pęd ku rozwojowi, jaki istotę natury całej przenika, a w człowieku jest już mocną tęsknotą do Boga, zatamowany w duszach chłopskich przez położenie ekonomiczne tej warstwy, wyrzuca często jak zatamowana pod ziemią roztoka gejzery w słońcu łyskające, wybłyska czasem jak ściśniony w ziemi ogień płomieniami wyswobadzającymi się na wierzch, — wydo-

bywa dusze twórcze na wierzch tej warstwy, energią potencjalną dyszącej.

Chciałbym ja, żeby te gejzery strzeliły prosto ku niebu, a nie traciły mocy swej ani gorąca wewnętrznego, nie rozlewały się w sadzawki płytkie, po płaskiej polyskujące powierzchni; pragnąłbym sercem, aby te płomienie nie słabły za lada podmuchem wiatru, mocne jeno dotyla, by suchy jałowiec spalić, — lecz aby strzelały w górę jak kolumny i słupy ogniste, iżby świat cały od nich mógł się zająć; pragnąłbym, żeby te dusze tworzące szły dalej ku rozwojowi, uświadamiając się w sobie, ku coraz wyższym, coraz wyższym stopniom.

Ale ufajmy w pęd rozwoju. Ten gdy się z wolą duszy wewnątrznie zespoli, może piękne uczynić dzieło z człowieka.

Dwojako ujawniają się natury artystycznie usposobione w utworach, jakie za młodu przynoszą. Objawiają się wprawdzie różnorako, ale dwie różnice wpadają powszechniej w oczy. Więc jedni dają rzeczy już skończone, mówiące o ich świadomości artystycznej, o dokonaniem skryształizowaniu w sobie. Drudzy zaś na początku dają rzeczy słabe, nieprzeżyte, albo nieumiejętnie wyrażone, zaczem z rozwojem swoim przynoszą rzeczy coraz lepsze, aż do doskonałych.

Natura artystyczna Jedlicza skłania się ku rodzajowi pierwszemu, Gwiżdża zaś raczej ku drugiemu.

Ufajmy jednak w pęd, który go już tu zaprowadził z pastwiska odrowąskiego, iże go powiedzie dalej. Zaczem życzę mu tylko woli mocnej.

W Porębie Wielkiej, 12 grudnia 1904.

*Andrzej Galica.*¹

Rekomenduję Wam znów jednego górala. Nie jest on wprawdzie młodzieniaszkiem, ani dotela nieśmiałym, aby go trza było publice przedstawiać, ale że przez swój dramat wchodzi do „szkoły podhalańskiej“ (nie jam wi-nien tej nazwy, — tak mi Boże góralski dospomóż!), więc trza o nim powiedzieć słów kilka.

Na czem ta „szkoła“ polega? Sądzę, że chyba tylko na czerpaniu tematów z Podhala i na używaniu w za-miarach swych twórczych gwary podhalskiej, albo jej charakterystycznych zwrotów, powiedzeń, obrazowania lub składni. Bo zresztą ci ze „szkoły“ różni są wielde w naturach swych i w pracach od siebie. — Taki Józef Jedlicz z Wróblówki, istny helleńczyk, spokojny, w po-ezji niejako brat przyrodni Staffa; — Feliks Gwiżdż z Odrowąża, nowelista, kpiarz mądry i pieśniarz szcze-ry; — Zygmunt Lubertowicz z Nowego Targu, epik z ta-lentu a powicher z myśli (niewiada jeszcze, jako się wy-razi), — no i teraz Andrzej Galica z Poronina.

Czy dramaturg? Tego jeszcze na podstawie *Przysięgi* przysiąc stanowczo nie można. Jako inżynier — więcej on się dotąd cyrklem niż piórem trudnił, a *Przysięgę* swoją napisał przed laty kilku, kiedy to realizm w sztuce nawet duże talenty porywał.

Galica Andrzej urodził się w Poroninie, bliziotko Tatr; szkoły odbył w Krakowie i we Lwowie na politech-

¹ Przedmowa do dramatu A. Galicy *Przysięga*, Kraków 1909.

nikę chadzał. Tu w ruchu społecznym żywy brał udział i w *Promieniu*, piśmie postępowem młodzieży, pierwsze swe artykuły gorące zamieszczał. Przesadzony do Wiednia, na obcy grunt, sercem wracał ku swoim góróm i ludziom, i stąd szereg nowel, drukowanych po pismach, stąd *Przysięga*. Wszystko tematem ze swojej dziedziny, z pod hal.

Wszystko to nie jest tak udane, jako ma być. Ale bo też nie temu życie ochfiarował. Ino cóż — życie chce się wyżyć. A dopieroż góralska natura! Czego się chyci, to robi. Weźmie pióro — to napisze; imie się pędzla — no to namaluje. I to rzeczy niegorsze. A jak wolę w to rzuci, umysł cały — no to już wyjdzie rzecz piękna. Do cudu. O każdym żywym człowieku, ale też więcej o góralu, nie można nic powiedzieć wyraźnego na podstawie rzeczy, jaką robi, — bo djascy wiedzą, co może nowego stworzyć, jak się uprze. To się też do Galicy stosuje jak święte.

Kiedy wyjdę na Galicową Grapę, siądę naprzeciw Tatr i głowę podam dumaniu, — śnią mi się rzeczy dawne, przez sen zdaleka wypiękniałe... Podhale z przed paru wieków, z czasów rebelji chłopskiej, z czasów Kostki, — doliny czerniejące borem nietykalnym, — Zakopane, dziś miasto, jako polana śród lasu... A wiatr nawiewa pieśni, kiedyś żywe...

Słyszę, — gazda jakiś pokracyjny skarży się śpiewką na junaka, jednego z tych „chłopców dobrych“, co to „wyskakowali za bucki“, „na uherskie“:

Hej! Galica! Galica! nieszczęśny Galica!
Pokrodeś owiecki, nie ujdzes Wiśnica!



Nie tak to dawno musiało być. A dziś — cóż będzie robił? Przywiązany do biura, będzie się tłukł jak krogulec w zamknięciu. I chcąc się wyżyć pełnią, będzie się miał wszystkiego: pędzla, pióra, kilofa... To zamało — więc będzie walczył o niesprawiedliwości świata, o krzywdy ludzkie, o ślebodę... zapominając, że walczy ino o siebie.

Stanowisko społeczne autora w *Przysiędze* wyraźnie widać. Dziś борбуje się inaczej. W Zakopanem trzydziestu policjantów strzeże porządku, broni państwa i „państwa“. Na honor przecie górali, — mocno już podupadły, — muszę dodać, że to są jednak „same cepry“.

W Poroninie, pod Galicową Grapą, w styczniu 1909 r.

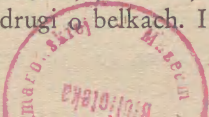
PRO DOMO SUA

I.

O „Winę i karę“.

(Odpowiedź na artykuł p. Adama Zagórskiego.)

Zawsze z pewną przykrością czytałem odpowiedzi autorskie na ocenę ich prac, kłócaącą się z ich mniemaniem o tych rzeczach; bowiem najczęściej wywoływały je albo podrażniona próżność, albo równie smutne nie-uświadomienie sobie tego, iż jak różne są stopnie rozwoju, na jakich się ludzie znajdują, tak i zdania o tej samej rzeczy muszą być różne. Gdy na szczęście zwolon jestem od tych zwyczajnych pobudek, to przecie nigdy nie odpowiadałbym na ocenę prac moich taką lub owaką, a to z przyczyny: iż zaczepienia danej mojej pracy nie uważam jako zaczepienie mego przekonania, powtóre zaś uważam, iż najczęściej pomiędzy twórcą a krytykiem niema porozumień zasadniczych, a często porozumień żadnych. (Zatem i zaczepienie przekonania winnoby bez odpowiedzi pozostawać, co jednakowoż się zazwyczaj nie dzieje, z racji, iż podobne polemiki coś uświadamiają. Racja względna; najczęściej jest, że jeden mówi np. o walącym się domu, a drugi o belkach. I ci już są bardzo blisko siebie).



W wypadku niniejszym żaden z powyżej zaznaczonych nakazów przemilczenia nie ma w mej świadomości pobłogi. Skłoniony jestem do odpowiedzi z powodów, iż: 1^o zaczepiono mię w mojej drodze, w moim zamiarze przejścia, 2^o w dowodzeniach krytykującego widzę dużo dobrej woli, sumiennosci i zrozumienia rzeczy, co tem bardziej utwierdzać może sąd mylny, już z założenia wynikiły, a drodze mej szkodliwy; 3^o między mną a krytykiem widzę możliwość porozumienia, czego chciałbym nietylko dla samej rzeczy, ale i dla niego; znając go bowiem z kilku prac, wysoko cenię umysł jego i nie chciałbym, by się mylił.

Przechodzę do rzeczy samej. P. Adam Zagórski w artykule, drukowanym w *Tygodniu*,¹ podjął się udowodnić na podstawie dwóch moich ostatnich dramatów (*Ofiara*, *Wina i kara*), iż „forma dramatu obca jest zasadniczo mojej organizacji twórczej“ i że nie jestem zgoła „dramaturgiem“, ale „poetą liryczno-refleksyjnym“.

Nawiasem: Przylepianie etykiet ludziom żywym podług recepty dawniejszej krytyki nie przystoi umysłowi nowoczesnemu. Ale o to mniejsza. Chodzi o zaczepienie drogi mej, o zakwestjonowanie mojej całej — a więc i przyszłej — twórczości dramatycznej. I to na podstawie dwóch wymienionych dramatów. Rozpatrzmyż więc zarzuty, przeciwko tym dramatom podniesione.

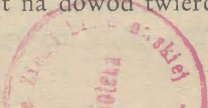
Ofiara. Już nazwaniem tego utworu „fragmentem w trzech aktach z kart 1846 r.“ dałem do poznania, iż nie uważam go za pełny dramat, tem mniej za d r a m a t

¹ *Tydzien* 1906, nr. 29 i 30 (art. O dwu dramatach Orkana).

1846 roku, jaki się nam jako obraz historyczny zjawia. Fragmentem też jest w istocie — i z „krwawych kart“, i z cyklu, jaki zamyśliłem był, a w którym miałem „główną część akcji przenieść na wieś“ (*Pomsta*), „dwór i wieś naświetlić“ i „nieporozumienie stron obu między sobą i z rzeczywistością uczynić tragicznym(?) szkopułem akcji“, jakby — mówię za p. Zagórskim — „postąpił dramaturg z powołania i zawodu“.

Tego „nie zrobiłem, nie chciałem zrobić“, ale z innych przyczyn, niż p. Zagórski twierdzi. (Może rzeczy te wydały mi się za bliskie i jeszcze krwawiące?...). Dość, że pozostał z cyklu napisany fragment i jako taki (co widoczne) winien być rozpatrywany. Chodziło mi w nim o pokazanie, iż wogóle jednostka tylko uczuciem zbrojna pada „ofiara“ w starciu „działających sił“, ale głównie chodziło mi o nastrój przed wybuchem, o powietrze dramatyczne, jakie ma na serca powiać od wydarzeń. Podobny zamiar autora widzę np. w *Warszawiance*. O ile temu zamiarowi w *Ofierze* odpowiedziałem, sama rzecz udowadnia (jak się komu widzi), i o to nie byłem zaczepiony.

Gdy zaś p. Zagórski podsuwa inny temat dramatu z tego czasu, przyznaję, iż miałem zamiar dramat podobny napisać, a w *Ofierze* nie zużytkowałem tematu tego z tej prostej przyczyny, iż powyżej zaznaczony zamiar ramy pomienionego fragmentu dostatecznie wypełnia. Zresztą nie zatrzymuję się dzisiaj nad *Ofiarą*, bo chodzi mi o wniosek główny, a sam p. Zagórski nie przeczy, iż „gdyby ten tylko dramat na dowód twierdzeniu, że dra-



maturgiem nie jestem, miał postawić, nie mógłby sparować zaprzeczeń“.

A więc rozchodzi się o *Winę i karę*. Tem lepiej. Bo gdy *Ofiarę* napisałem w czasie, kiedy miałem jeszcze dość mgławicowe pojęcia o dramacie, to *Winę i karę* pisałem z całą świadomością swej drogi, z pewną już, własną orientacją w tej dziedzinie. I dziwię się, jakie p. Zagórski może widzieć podobieństwo w traktowaniu pisar-
skim tych dwu rzeczy (oddzielonych od siebie pięcioma laty — r o z w o j u , — jak niekonsekwentnie powiada).

W *Winie i karze* chodziło mi: 1^o o pokazanie dramatu duszy (Anna), szarpanej trwożą na podstawie faktu czy złudzenia, z przyczyny etyki nabytej; 2^o jak się rzecz ta przedstawia człowiekowi (Owczarz), który w rozwoju swoim naturalnym doszedł do rozumienia przyczyn piekła, przez ludzi sobie tworzonego. Jako autor, godząc się w tem z Owczarzem i nie uważając rzeczy tych za tragiczne, t. j. cierpienie dusz, wynikłych ze współżycia różnych ras duchowych z sobą (moja nienapisana teoria), albo z braku uświadomienia dalszego, — przecie z umysłu ochrzciłem rzecz „tragedją“ i dałem jej tytuł tak powszechny (jako dramatyczny problem) właśnie dla podkreślenia czegoś przeciwnego.

Zaś co do formy wykonania (już jako przyjętej w podtytule „tragedji“), chodziło mi o to, iżby rzecz, w pewnej mierze stylizowana, nie zatracala cech realistycznego traktowania. Więc chór zastąpiłem podłożem naturalniejszym dla nas — „gośćmi“, — a gwarze uszlachetnionej i klasycznej jedynie przez spokój (zwią-
zanie ruchów), z jakim ma być wygłoszona, nie doda-

łem nic z koturnowego patosu. Rzecz więc z umysłu osłabiłem (jeżeli to jest osłabienie); zamiast konieczności tragicznej, dałem możliwość dramatyczną; przez wprowadzenie „zbytecznej postaci Owczarza“, — jak twierdzi p. Sten, osłabiłem tragedję, za jaką on rzecz uważa, i nie idąc za kanonami, nie napisałem dramatu, jak znowu p. Zagórski twierdzi. Otóż ani nie myślałem pisać tragedji dla rozkoszy Stena, ani dramatu podług wskazań p. Zagórskiego. Przy rozpatrywaniu *Winy i kary* szanowny krytyk nie szedł za zamiarem autora, o ile zamiar został wykonany, dlatego przy podnoszeniu zarzutów miał jakiś dramat swój, na tym temacie osnuty, na myśli. Wszystkie też bezmała zarzuty, jakie p. Zagórski odnośnie do *Winy i kary* stawia, są nijakie. Przejrzyjmy je kolejno.

1^o „Z wyjątkiem Owczarza i Anny inne postaci zarysowane są ledwo“, bo tak wypadło z założenia.
 2^o „Sztuczność w faktach i osobach“ — zarzut za ogólnikowy i winien być rozdzielony. „Sztuczność osób“ wynika z ich stylizacji, a dwa „jedyne fakty“ dramatu są dość umotywowane (odnośnie do zamiaru). Pierwszy (t. j. fakt kazirodztwa) nie koniecznie musi być faktem, może być pozorem. A „skąd w owej zamożnej (!), uczciwej i pobożnej chacie chłopskiej taki występek“, — no, to już pytajmy o to moralistów, statystów, nie autorów. —
 3^o „Rzucenie się dusz ku sobie w jednym momencie“ dostatecznie jest ze strony Łukasza umotywowane (zważając na zwięzłość ekspozycji), choćby w słowach: „podobna całkiem do matki, gdy ta była młoda“, a ze strony Elżbiety jej histeryczną naturą. — 4^o „Śmierć Anny z po-

wodu cierpień psychicznych“ — wiemy o tem dobrze — jest możliwa (p. Zagórski mówi: „niemożliwa“). — 5^o „Postać Anny w gazdowskiej chałupie jest też absolutnie“ możliwa (p. Zagórski mówi: „nierzeczywista“). Rzeczywista jest, bo jest żywa, bo ma rumieńce życia, a ta „gazdowska chałupa“ może być i w Norwegji. — 6^o Zarzut co do analizy, względnie jej wyrażania. Trafnie wyławia p. Zagórski zaniedbanie („Jak nie on, to myśl odeszła go we śnie i przyszła zabić“ — dwuwiersz zanotowany w pierwszej redakcji i z zaniedbania ostawiony), ale znów obok śmieszny zarzut stawia; przytoczywszy ustęp (słowa Anny), podnosi jego „prostotę i subtelność“, a potem powiada: „z takim doborem porównań analizę swych cierpień przeprowadza literatopeta, nie człowiek obłąkany bólem“. Więć „człowiek obłąkany bólem“ powinien chyba jęczeć, używać nieartykułowanych jęków, czy jak? A jakże wyrażały swój ból bohaterki greckich tragedyj? — 7^o „Chwilami zdaje się, jakby ktoś dekadencjki towarzystwo ze *Złotego runa* lub t. p. sztuki sprosił do wiejskiej chaty i urządził przedstawienie“. Całkiem poważnie na ten żart powiadam, że istotnie mam zamiar dać sztukę, którąby w jeden wieczór można grać w sukmanach chłopskich, a w drugi w tużurkach — bez grzechu przeciwko realizmowi.

Pomijam inne zarzuty, bo, jak zaznaczyłem już, nie chodzi mi o zarzuty przeciw sztuce, tę można oceniać różnie — chodzi mi o wniosek główny. Wypadałoby jeszcze nad postacią Owczarza się zatrzymać, której p. Zagórski tyle miejsca w swym artykule poświęca, ale i to poboczne, choć z tej postaci p. Zagórski wniosek swój

(z pozorami logicznymi) niekonsekwentnie wyprowadza.

Zarzut główny p. Zagórskiego, z jego pojęcia o istocie dramatu wynikły, jest, iż „fakta są właściwie p o z a s c e n ą“. Co do tego „poza sceną“, zarzut byłby słuszny, gdyby na scenie były tylko relacje, opowiadania o tem, co się stało. Co p. Zagórski uważa za dramat? Z powtórzeń kilkakrotnych wnoszę: — „sceniczną grę działających sił“. Istotnie, i to może być dramatem. Ba, ale p. Zagórski twierdzi, że dramatowi m u s i nie zbywać „na momencie gry działających sił“, inaczej nie jest dramatem. To znowu gruba kwestja. Gdzież podzięć wszystkie dramaty wewnętrzne i ich autorów, dramaturgów? Gdzież wreszcie podzięć życie, to realne, o które się tak p. Zagórskiemu i w stylizowanych utworach rozchodzi, a w którym się większa część faktów dzieje „poza sceną“?

Tej „gry działających sił“ p. Zagórski w *Winie i karze* nie widzi. Naturalnie. Więcej pod tym względem zadowala go *Ofiara*. Gdyby wziął jeszcze pod uwagę dawniej pisany *Skapany świat*, dowód (o obcej mi formie dramatu) byłby, przypuszczam, trudniejszy. A więc jak? „Rozwój“ wsteczny?

Zdaje mi się: dwie zgoła różne rzeczy opętały umysł p. Zagórskiego, gdy dramaty moje rozważał. Pierwsze, to jego pojęcie o dramacie wogóle, stąd miara i pewność swego kryterjum. A drugie — to wrażenie, jakie sobie o mnie z prac innych urobił, a tu napotkał potwierdzenie w postaci Owczarza. I stąd wniosek. Wniosek mylny; bo jeśli chodzi o zakres twórczości „liryczno-refleksyjnych“ organizacyj, to np. Tetmajer, liryk, daje

epiczne fragmenty z Podhala, a Żeromski, „refleksyjny liryk“, daje istotną tragedję, *Popioły*; jeśli zaś chodzi o formę dramatu, to ta może być najróżniejsza i zgoła nawet nowa. — Tę pewną nowość w traktowaniu zaznaczyłem powyżej we *Winnie i karze*. Chodzi mi o wykazanie (w dramacie), iż „temat tragiczny“, jaki zwyczajnie jest lęgnią „dramatu“, nie jest istotnie tragicznym (a więc i dojście do pokazania w dramacie, co uważam za tematy tragiczne, stałe). W tej drodze mię zaczepiono; zaczepiono traktowanie tematu. Więc malarz, który daje odniesione wrażenie z krajobrazu, nie jest tak samo malarzem, jak ten, który krajobraz przedstawia?...

P. Zagórski zaostrzył moją czujność, podniósł kilka ważnych zarzutów i uwag, wkońcu udowodnił, że nie napisałem dramatu podług jego miary, czego w zamiarze nie miałem, i co nie dowód, że „forma dramatu nie jest mi właściwą“. Pozatem w artykule p. Zagórskiego widzę dużo życzliwości, którą umiem ocenić. A że cenię wysoce zdolność i umysł jego, dowód niniejsza odpowiedź.

Poręba Wielka, we wrześniu 1906 r.

2.

Potrójna cenzura.

Zmuszony jestem zabrać głos w sprawie, która się może wydać osobistą, niemniej przeto jest sprawą ogólną, równie obchodzącą piszących dla „narodowej sceny“, jak i naród, w rozwoju tej sceny zainteresowany.

Niema chyba dwóch zdań między myślącymi ludźmi,

iż teatr, poświęcony narodowej sztuce, winien pokazywać wszelkie przejawy twórczości narodowej w dziedzinie dramatu, mając na uwadze w ocenie sztuk li tylko ich wartość artystyczną. Rzecz tak prosta, że już prawie zdaje się wyblakłym komunałem, a przecież wciąż tkwi jeszcze w sferach ideału, niedostępnego dla przypadkowych kierowników narodowej sceny. Oceniało się sztuki ze stanowiska kaprysu, później kasy, a teraz już ze skromniejszego stanowiska kleru. Coraz to prościej, bliżej ideału. „Sic itur ad K-reta“ — rzekłby upadły student z *Epilogu*.

Zawsze twierdziłem, że Kraków jest czarny. Szanowna Redakcja zapewne nie zgodzi się ze mną, twierdząc, że jest czerwony. Będę się starał poniżej udowodnić. A zaś dziedziczni członkowie Senatu akademickiego i innych Umiejętności twierdzą z uporem starców, że Kraków jest żółty, — i aby obcym to naocznie pokazać, podczas jubileuszu Almae Matris pomalowali dziedziniec Biblioteki na kolor jajecznicowy. Na nic. Kraków był i jest czarny. Gdzieniedzie tylko (zróbmy ustępstwo z szacunku dla siwych głów), i to niedość wyraźnie — czarno-żółty.

Od czasu wyborów do parlamentu nawet świeczniki w mieście poczerniały. Snać za dużo światła. Nie dziw, że i ta Sztuka (światłem nazwano ją) zaczyna kopcić. Wszak teatr — „miejski“. Dyrektor tego teatru „Rzym polski“ rozciągnął i na swoją „świątynię“. Może i on kiedyś doczeka się... błogosławieństwa papieskiego. Daj mu Boże. Aby zaś zasługa wszelka nie zginęła pod kłosem, podaję oto taki fakt — z moim już — niedowiarka —

komentarzem, który mu w onem pobożnem pragnieniu dopomóc jeno może.

Zeszłej zimy złożyłem Dyrekcji teatru miejskiego sztukę p. t. *Franek Rakoczy*, Epilog w 3 aktach.

Rzecz ta jest epilogiem powieści *W roztokach*; występują w niej w dalszem posunięciu życiowem wszystkie ciekawsze postaci z powieści i kilka dodatkowych. Rzecz rozgrywa się w przytułku wiejskim przy kościele, więc z konieczności jest kilka satyrycznych potrażeń o kościół, no i o księdza proboszcza. Ale właściwie sztuka jest satyrą na bohatera powieści *W roztokach*, — więc poczęści i autosatyrą.

Po jakimś czasie zjawiłem się w Dyrekcji z zapytaniem, co słyhać z manuskryptom sztuki. P. Sol ski powiedział mi, że rękopis znajduje się już od dłuższego czasu w cenzurze w policji, że sztuka mu się podoba i że ją wystawi, jak jeno cenzura ją puści. A że to było w kwietniu, więc dodał, że już późno, że najpewniej sztuka pójdzie na scenę w jesieni.

W miesiąc potem dowiedziałem się, że policja sztuki nie puściła, lecz że z delegatury odesłano egzemplarz do „cenzuralnej Rady przybocznej“ we Lwowie do ostatecznego zaopinjowania. We wrześniu b. r. otrzymałem nareszcie wiadomość, że Rada cenzuralna przyzwoliła na wystawienie sztuki pod warunkiem, że widownię w akcie III cofnie się całkiem poza kościół, przyczem zaproponowała kilka skreśleń w tekście. Wiadomość tę zakomunikowałem dyr. Sol skiemu, zapytując, kiedy rzecz będzie mogła pójść na scenę, i powtórnie prosiłem o rychłe zadecydowanie. Na co otrzymałem odpowiedź

z dn. 5 b. m., która mię wprost zdumiała. Odpowiedź ta brzmi dosłownie:

Szanowny Panie. Nie odpisywałem dotąd na Jego dwa listy, bo czekałem na egzemplarz z cenzury, aby go raz jeszcze przeczytać. Egzemplarz nadszedł onegdaj; przeczytałem go powtórnie i doszedłem do przekonania, że sztuki tej, bez narażenia się pewnym sferom, a wreszcie i z osobistych przekonań, grać nie mogę. Łączę wyrazy i t. d.

L. Solski.

Więc nie dość już cenzury policyjnej, tego zabytku absolutyzmu, wprost nonsensu austriackiego, która corychlej winna być zniesiona, — nie dość już bystrych oczu „cenzuralnej Rady“, — jeszcze oto trzecia cenzura powstaje, tem niższa w policyjnym swym duchu od tamtych, że dobrowolnie, bezprzymusowo spełniana.

Przeciwko tej dyrektorskiej cenzurze „z przekonań“ winno społeczeństwo, dbające o rozwój sceny, ostro zaprotestować. Bo nie chodzi tu tylko o moją sztukę. Ja mogę spokojnie czekać na wystawienie *Rakoczego* do czasu, gdy Mars porozumie się z Ziemią. Ale to, co dziś spotkało rzecz moją, — jutro może spotkać rzecz kogo innego. Dotąd przynajmniej teatr wolny był od klerykalnych wpływów. A teraz oto nie wolno tam proboszcza, ba, nawet kościelnego dotknąć! Tak sobie życzą „pewne sfery“; — nie można im się „narażać“. Zresztą są to i „osobiste przekonania“ pana Dyrektora.

Ale p. Dyrektor nie zdaje sobie sprawy, że każda prawdziwa sztuka musi się pewnym sferom „narażać“. Naraża się sztuka, nie dyrektor. Jak nie naraża się np.

księgarz, sprzedający *Inkwizycję św.*, lub cukiernik, sprzedający ciastka z Matką Boską. Narażają się zaś publiczności wtedy, jeśli sprzedają rzeczy fałszywe za dobre, lub — przypuśćmy — stale nie chcą dawać (bo i taki obłęd kupiecki się trafia), czego właśnie publiczność sobie życzy.

Te „pewne sfery“ w pojęciu p. Solskiego to zapewne kanonik X., prałat Z. i kilkanaście osób świeckich, obdarzonych odpustami przez Ojca świętego. Na nich to, — według mniemania Dyrektora, — opiera się teatr. Im „narażać się“ nie godzi. A może właśnie „przekonania osobiste“ tych sfer inne są od dyrektorskich? Dlaczego się tak identyfikować?

Wiedzieć o tem wszystkie „inne sfery“, — panowie inteligenci, którzy nie opuścicie żadnej premjery, — panowie studenci, którzy odkładacie grosz na sobotę, aby wypełnić galerję, parter, — robotnicy, wprost od warsztatów spieszący do gmachu, głodni Sztuki, — wiedźcie o tem, że z obawy dyrektorskiej „narażenia się pewnym sferom“ możecie wielu sztuk nie oglądać, któreby wam mogły dać rozkosz intelektualną, gdy tak często płacicie za pusty śmiech lub nudę.

A gdy mówimy o sztuce, nie od rzeczy będzie wtrącić: Coby powiedziano o kupcu, który ze względu na kilku rzadkich gości, lubiących migdały lub „całuski“, wszystkim innym, miast żądanych rzeczy, wtykał uparcie te specjalności, a do tego w wolnych chwilach rwał sobie włosy, że „interes“ nie idzie!

Pomińmy jednak żart. Wszak tu „osobiste przekonania

nia“ wchodzą w grę. Rzecz poważna. Ja też poważnie mówię:

Sztuka, która nie raziła nietylko osobistych, ale i państwowych przekonań pana komisarza policji, ani trzech członków cenzuralnej Rady (z których jeden jest wiceprezydentem Sądu krajowego, a drugi radcą dworu), razi przekonania dyrektora teatru krakowskiego! W takim razie mąż o tak tkliwych „przekonaniach osobistych“ powinien w państwie bojaźni Bożej, kleru i policji, zająć miejsce obercenzora a nie dyrektora narodowej sceny.

Osobiste przekonania dyrektora winny były przy ocenie sztuki pozostać naprawdę „osobistemi“. A tak świat się dowiedział, że to są przekonania (dość szablonowo) klerykalne. W tych „pewnych sferach“, o które mu chodzi, z pewnością mile będą ocenione. Nie żądam ani kropli wdzięczności, jeżeli się niniejszym artykułem do tego przyczynię. Chodziło mi o podniesienie zasługi, któraby utonęła w niepamięci. Co godne, niechaj świeci! Bo Kraków jest czarny...

O LITERATURZE UKRAIŃSKIEJ

I.

*Współczesna poezja ukraińska.*¹

Niedalekim od prawdy widzi mi się ów pogląd historyzoficzny, który (jako że część podlega tym samym prawom, co całość materji pewnej, i naodwrot) powiada dosyć dowodnie, iż naród każdy, podobnie jak jednostka, ma swoje dzieciństwo, — wiek młodzieńczy, bohaterski, wiek złoty, pełen sił twórczych, — wiek męski, — wreszcie dojrzałość jesienną i starość. I podobnie jak indywiduum poszczególne, każdy naród inaczej w życiu może się wyrazić, lub nawet zgoła bez pamięci zginąć. Były narody szare, o których dziś wspominku niema. Do wyrostu duchowego ludzkości nic nie wniosły, stały się nawozem jeno materji ziemnej. A zaś były narody ś. p. genialne, których spuścizną długo jeszcze będzie się ludzkość karmiła. Weźmy np. taki genialny naród — grecki. Tak klasycznie w naszych oczach historycznych (poza niewiadomem nam dzieciństwem) żył, tworzył i umierał, iż przykładem może być dowodnym, jak po-

¹ Przedmowa do tomu: *Antologia współczesnych poetów ukraińskich*, przełożył S. Twerdochlib. Lwów 1911.

dobnie jednostce naród rozwija się, rozrasta, wyżywa się i przeżywa. Przykładamy też jego lata-wieki do współcześnie żyjących narodów, aby wyznaczyć np., w jakim wieku jest dany naród.

Jak to się wyznacza? — Przez sumę energii, przez rodzaj twórczości narodu w danej epoce, t. j. wieku, mając na myśli jednostkę genialną. Widzimy naród grecki w okresie bohaterskim jako dziewiętnastoletniego pasterza (walki trojańskie np.), potem widzimy go młodzieńcem dwudziestoparoletnim (pieśni miłosne, liryka), widzimy go dojrzewającym, gdy tragicznie na świat patrzy (wielcy równocześnie prawie dramaturdzy), później ku trzydziestemu roku (rok za wieki się podstawia), gdy filozofję swoją tworzy; widzimy go następnie już mężem dojrzałym, nauki kultywującym, i wreszcie widzimy go ku starości pedagogiem Rzymian. (Bajka, jakoby Rzymianie zabili Greków. Naród ten już szedł ku śmierci. Naród może naród inszy, jak człowiek człowieka, zabić, zabiwszy go faktycznie, — np. wycięcie przez Niemców w pień plemion słowiańskich nadbałtyckich, — ale ujarzmiwszy go jeno, gdy duch w owym narodzie-więźniu jest młody, zabić nie może. Poturbuje jeno i nic więcej).

W jakim wieku jest teraz naród ukraiński? Trudno dokładnie wyznaczyć, gdyż nie rozwijał się naturalnie. Trzaby wziąć pod uwagę zatamowanie rozwoju, jakoby ciężki sen, trwający wieki, w którym śnią się jednak rzeczywistości wspaniałe (wyprawy morzem na Stambuł, chmielniczyzna), niejako przypomnienia z bohaterskiego okresu. Albo też, co mi się prawdziwszem wydaje,

naród ten przeżył dwa razy okres bohaterski. Pierwszy bardzo odległe (*Słowo o pułku Igora*), gdy szlachta tworzyła historję, a zaś drugi niedawno (kozaczyzna), gdy szlachta ruska spolszczyła się, a na arenę twórczą wystąpił lud i poczuł się jako ukraiński naród.

Sądząc po rodzaju twórczości artystycznej (gdyśmy już tę wzięli za sprawdzian), naród ukraiński jest w wieku młodzieńczym (z pewnym jednak rysem starości, jakby przypomnieniem niejasnem dawnej, zginionej kultury z przed bohaterskich okresów. Ten rys, w twórczości jednostek prawie niewidoczny, — jest w zbiorowym wyrazie; nazwałbym go: leniwość duszy narodu).

Młodzieniec w dwudziestu paru latach, artystycznie usposobion, pisze wiersze miłosne, choćby nie był poetą; a jeśli jest, to pisze wiersze i inne, pełne melancholji, narzekań, żalów i skarg żalonych na świat ten zimny, na ludzi... Poezja liryczna narodu musi być naturalnie bardziej bogatą i wielostronniejszą niż poezja jednostki. Będą w niej potrażenia o wiek bohaterski, o struny teorbenu; będą w niej okrzyki z poczucia sił, lub kajania się spowiednie pokolenia, jęki bolesne rodnej ziemi; będą w niej wreszcie przeczucia nienarodzonych w narodzie uświadomień. Ale istotny charakter zostaje ten sam.

Poezja liryczna narodu ukraińskiego mówi nam o jego wieku. I naodwrot wiek ten, młodzieńczość względna narodu, mówi nam o właściwości jego poezji. Będzie więc ta poezja egotyczną, najczęściej miłosną, — będzie spowiedzią powierzchowną, bez pogłębienia refleksyjnego, — będzie muzyką, grającą wierzchniemi pokładami duszy. Nie jest z dna... Jak liryka dwudziestoletniego — o bo-

gatyh nastrojach — poety. Współczesność jej (jeśli porównamy ją np. z poezją współczesną zachodnią) jest raczej we formie, i to nie zawsze. Grają w niej echa romantyczne śpiewanych pieśni. Często spotyka się w niej i budowę wewnętrzną pieśni ludowych. Stąd prostota, bezpośredniość większa niż w poezji zachodu. Szczerłość w niej jest, ale ta pierwsza, naiwna, nie idąca z głębokich przeżyć. Jakbądź, czaruje jednak ta poezja harmonijną prostotą, niekłamanem uczuciem, serdecznym odczuwaniem przyrody, muzyką chłopskich ukwieconych sadów.

Tak się rzecz ma obecnie z poezją ukraińską. I to jest naturalnem, — jak starałem się wyżej uzasadnić. Przyjdzie czas pogłębienia z dojrzewaniem. Tak jak — wierzę — przyjdzie czas i na dramat ukraiński. Widząc pierwszy raz dramat na ukraińskiej scenie (*Weczernyci*, z muzyką Niszczyńskiego, *Klate serce*), zachwyciłem się już tem, co mi te próby wysokie powiedziały o dramacie muzycznym ukraińskim, który powstanie, powstać musi. W dramacie tym połączy się przedziwnie realizm obrazów z muzyką. Powstanie forma nowa, nowy wyjaw duszy. Dziś pilnie zgromadzane bogactwo melodyj ludowych ukraińskich będzie materiałem dla przyszłego geniusza.

*

Na tych uwagach ogólnych, odnośnie do niniejszej antologii, przestałbym. Jednak dla czytelnika polskiego, który nie jest poznanym (choćby mógł być bez trudności) z historją literatury ukraińskiej, względnie jej ga-

łęzi głównej: poezji, nie będzie bez interesu, — mniemam, — zapoznać się choć w skrócie najzwęższym z chronologją nowszej poezji ukraińskiej, której wybór uczyniono.

W czasie kozaczyzny historycznej śpiewano przy dźwiękach teorbánów, jak i u Greków w wieku bohater-skim. Poezja była najczęściej aktualną: dumy o sławnych, znanych ówczesnie wszystkim atamanach, o bohaterach z gminu, którzy się męstwem wsławili, dumy o panach spolszczonych (Potoccy, Wiśniowieccy), którzy zgubę ludowi swemu nieśli i t. p. I tak rosła w poezji historia kozaczyzny, zwycięskich wypraw i upadków.

Odrodzona, pisana poezja (po owem zatamowaniu, o którym powyżej) przedewszystkiem tradycją ukochaną, przez pieśń sercom podaną, poczęła się karmić. Płacz po świetnej minionej przeszłości jest głównym jej motywem. Pomijając cały zastęp drugorzędnych tego romantycznego kierunku poetów, wymienić należy jako najważniejszych w tym czasie: Ambrożego Metłyńskiego na zakordonowej Ukrainie, i Markjana Szaszkiewicza w Galicji.

Potem zaczyna się w poezji ukraińskiej (przez wpływ uczonych rosyjskich, którzy stronnictwem krytyką ze stanowiska państwowości rosyjskiej stłumili entuzjazm dla przeszłości, — a także z realnej potrzeby serc ratowania wiary) zwrot do współczesności i do ludu. Wyraźnym objawem tego zwrotu jest pierwszy zbiór poezyj Tarasa Szewczenki (w r. 1840). Szewczenko (jedyne może znany w Polsce, i to tylko z imienia, ukraiński poeta) pchnął poezję ojczystą na nowe tory, pokazując w swych utwo-

rach duszę współczesną ludu ukraińskiego, jego wielkie cierpienia pod jarzmem t. zw. „kripactwa“. Poeta wielki, wielostronny, od szerokiego patosu historycznego do najsubtelniejszej liryki. Jego ballady są bezsprzecznie najpiękniejsze, najmniej kłamane z tych, jakie ówczesnie w Europie pisano; mają bezpośredniość wrażeń i odczucie głębokie przyrody. W tym rodzaju może stanąć obok największych poetów.

Po Szewcencie, po r. 1860, występuje na widownię P. Kulisz, wnosząc nowy element, czysto kulturalny, w poezję, przyswajając jej formy i pierwiastki poezji zachodnio-europejskiej. Występuje następnie S. Rudański, liryk szczerzy i tłumacz. Na Bukowinie zjawia się równocześnie J. Fed'kowycz, piewca huculsczyny; talent wielki, mistrz formy w noweli, lecz w wierszu mało samodzielny.

W latach po 1860 r. poezja ukraińska poddaje się kierunkowi utylitarno-społecznemu. Przedstawicielami tego kierunku ówczesnie w zakordonowej Ukrainie są: B. Hrinczenko, M. Starychyj i męczennik za ideę wolności P. Hrabowski.

W Galicji rozpoczyna od r. 1876 działalność literacką i naukową Iwan Franko. Talent wszechstronny i niezmiernie płodny. Można rzec: przez prace swoje i przez przekłady dał on podwaliny pod współczesną literaturę swego narodu. Poetycką twórczość zaczyna za ówczesną modą od społecznych motywów, wyżyn artyzmu dosięga jednak w liryce miłosnej i egotyczno-refleksyjnej. W r. 1905 przynosi on narodowi swemu wspaniały dar: poemat p. t. *Mojżesz*.



Koło r. 1890 zjawia się szereg indywidualności poetyckich: O. Makowej, A. Krymski, M. Woronyj, M. Czerniawski, W. Samijlenko, kilku jeszcze innych i Łesia Ukrainka. Z nich ta ostatnia najlepiej się wyraziła. Talent o szlachetnej formie, dar wnikania w kultury i psychiki obce, duży poetycki polot i dojrzałość.

Ogniwem niejako między starszą generacją, t. j. szkołą Franki, a najmłodszymi jest Bohdan Łepki. Śpiewak melancholji i zadumy pół, charakterem poezyj swych zbliżony do Konopnickiej i Tetmajera, z których sporo nawet przekładał. Ton poezji jego to staw o cichym zachodzie, lekką osnuty mgłą, gdy wdali majaczeją widma drzew i dymy wywlekają się z chałup, z poza wzgórz leśnych, roztopiających się w zmierzchu, dolata echo ligawki. Czasem jednak zadźwięczy w poezji jego i ton silny.

Na Ukrainie rosyjskiej w poezji lat ostatnich zabłąsnęli najpotężniej: Mykoła Filańskij i Ołeksander Ołeś, uzupełniający się wzajem, razem wyrażający dwie strony duszy narodu ukraińskiego w Rosji. Podczas gdy Filańskij jest wyrazicielem społeczeństwa skamieniałego w smutku za utraconą wolnością, w żal swój jak w studnię zaklętą wpatrzonego, — to Ołeś jest piewcą nowego na omentarzach życia: w poezji jego słyhać bunt, szarpanie kajdan.

Wreszcie z najmłodszych w Galicji wybili się lub wybijają na czoło, grupując się w t. zw. Młodej Muzie: P. Karmański, W. Paczowski, O. Łucki, S. Czarnecki i S. Twerdochlib.

Każdy rok przynosi nowe nazwiska. Czy fala czasu

wyniesie tego, który wieki przeskoczy?... Z tych, których wymieniałem, wielu ma tę drogę przed sobą...

Życzę narodowi bratniemu geniusza.

Poręba Wielka, w maju 1910.

2.

*Powieściopisarze i noweliści.*¹

Drobne utwory powieściowe, obrazki, szkice i opowiadania, objęte ogólną nazwą noweli — to najbujniejsza gałąź ukraińskiej literatury.

Rozrost jej zrozumiały. Prawie wszyscy pisarze ukraińscy wyszli z ludu i z tego źródła otchłannego czerpali pierwsze natchnień swoich czary. Cóż to było? Dokumenta, żywcem wykrojone z życia. Faktem jest: każdy początkujący pisarz, syn chłopski, rozpoczyna od tych dokumentów. I kto wie, czy nie te proste o życiu powieści, zasłyszane od ojca, matki lub sąsiada, pchają go do pisania, a raczej do zapisania tego, co zasłyszał, co mu się najboleśniej w sercu odcisnęło. Z czasem, z rozwojem myśli niespokojnej, przychodzi większe uświadczenie artystyczne — i wtedy pisarz dokumentów t w o r z y — idzie kurytarzami dusz pierwotnych, chłopskich, coraz dalej, w ciemną, częstokroć niespodzianą dlań głęb (Stefanyk). W taki sposób bogacono literaturę ukra-

¹ *Młoda Ukraina*, wybór nowel. Tłumaczył Wł. Orkan. — Warszawa 1908. Nakład księgarni G. Centnerszvera i S-ki. Str. 265

ińską dokumentami życia, a nierzadko utworami rzetelnej piękności.

Tak powstająca literatura, już przez sam sposób tworzenia się, daleką jest od postronnych, zagranicznych wpływów. Jest oryginalną, szczerą, swój własny mającą wyraz. Może być tylko podobną do drugiej, która podobnie powstaje. (Literatura rosyjska i chłopska literatura w Polsce).

Pierwszym malarzem życia chłopskiego w ukraińskiej, jak i w europejskiej, literaturze jest Kwitka, żyjący na Ukrainie w końcu osiemnastego i w początku dziewiętnastego wieku. *Opowiadania* jego ukazały się około 1835 r., więc przed *Dorfgeschichten* Auerbacha. Po nim Marko Wowczak wydaje nowele swoje (1858 r.), które w bardzo krótkim czasie doczekały się kilku wydań i licznych przekładów, między innymi Turgenjewa. Wowczak też rozszerza zakres tematu, wysuwając na bliższy plan społeczne sprawy swego ludu, i obok genialnego Szewczenki staje się gorącym rzecznikiem wyzwolenia chłopca. Trzecią potężną postacią jest Fed'kowicz na Bukowinie, wielki poeta, pan formy; napisał poza innymi kilkanaście nowel ze świata huculskiego, o których Turgenjew powiedział z zachwytem: „Bije z nich źródło żywe — pozatem wszystko mara albo trup“.

Po nich następuje jakby wyjałowienie na jakiś czas gleby literackiej. Jest wprawdzie szereg nowelistów, powieściopisarzy (Myrnyj, Neczuj itp.), ale ci nie przedstawiają dużego dla rozwoju literatury znaczenia.

Aż pojawia się Iwan Franko.

Powieściopisarz, poeta, dramaturg, krytyk, uczyony i nauczyciel — Franko jest jako słup granitowy w drodze literatury ukraińskiej. I choćby droga, idąc w przyszłość, aż w słońcu się za widnokręgiem rozemgliła, to zawdy widne będzie zdala świetlane czoło słupa.

Franko rozpatrzył się wokół po ukraińsko-literackiem polu i zobaczył, że wiele potrzeba. I ze szkodą dla własnej twórczości począł siać ziarno z zachodu sprowadzane, począł łan swój ojczysty wzbogacać. Tłumaczył dzieła naturalistów francuskich, pisał rozprawy krytyczne, uczył i tworzył wzory. Nie zaniedbywał przytem innych dziedzin, gdzie go umysł, temperament i twórczość pociągały. Podziw rzetelny ogarnia, gdy się widzi rozmiar jego pracy. Nie zawadzi też nadmienić, że katalog samych tytułów prac i utworów Franki, wydany z okazji jubileuszu jego 25-letniej działalności pisarskiej, obejmuje przeszło sto stron druku!

Jak obecnie — plon ducha ukraińskiego ludu przedstawia się mnogo i bogato. Bo pomijając już nieśmiertelne dumy i pieśni Szewczenki, pomijając ogromne księgi poezji niespisanej, przelatującej z wiatrem po niezmiernych obszarach ziem ukraińskich i czekającej na tego, który z teorbanu całą orkiestrę Duszy pierwotnej wydobędzie — pozostają jeszcze w spichrzu twórczości narodowej kłosa ciężkie od urodzaju, mogące nietylko, jak w satyrze Makoweja, przywalić na śmierć człowieka, ale żywotnością swoją wzmocnić słabniejące dusze i skrzepić do dalszej pracy nad wyzwoleniem narodu.

I jest nadzieja, że ten plon szybko pomnażać się bę-

dzie. Bowiem na każdym polu twórczości literackiej widać się mnogość uzdolnionych ludzi.

W poezji: Franko, Szczurat (poza tem tłumacz i krytyk), Krymski, Czajczenko, Łepki, Łesia Ukrainka, Paczowski, Łucki i w. i.

W dramacie: Karpenko, Karyj, Starycki, Kropiwnycycki, Fohobiczny, Franko, Cechłyński, Łopatyński i w. i.

W noweli i powieści: Franko, Czajczenko, Kociubyński, Myrnyj, Potapenko, Kobylańska, Stefanyk, Łepki, Czeremszyna, Martowicz, Łypa, Kobryńska, Makowej, Kruszelnicki, Werchowynec, Wetlyna, Jackiw, Andykowicz i wielu innych.

Z naturalnej przyczyny, na wstępie zaznaczonej, rozwinęła się najbujniej, jak widać, w ukraińskiej literaturze — nowela. Tę się też ma na myśli, gdy się mówi o „Młodej Ukrainie“ piszącej.

Wybór wymieniony zrobiony był jeszcze w roku 1902 i w on czas do druku przesłany, a z przyczyn tłumaczom bliżej niewiadomych wyłonił się dopiero teraz — w Warszawie. Stąd naturalnie nieuwzględnienie w antologii sześciu ostatnich lat, które przyniosły wiele rzeczy pięknych i kilka nowych nazwisk. Sprostować też winieniem podtytuł antologii (nie przezemnie ułożony) o tyle, iż w tłumaczeniu pomocnymi byli mi: prof. Bohdan Łepki i prof. Włodzimierz Jarosz — więc wybór jest w równej mierze i ich zasługą (czy „grzechem“, jak gotowi powiedzieć szowiniści).

Wybór ten nie daje jeszcze pełnego obrazu nowelistyki ukraińskiej. Wielu pisarzy musiało się pominąć ze

względów wydawniczych, z uwzględnionych zaś trzeba było wybierać rzeczy krótsze, z pominięciem częstokroć lepszych i więcej dla ich autora charakterystycznych. Mimo tych niedokładności i spóźnienia (właśnie trafiła na dobry czas!) — mamy nadzieję — książka zadanie swe spełni. Celem naszym przy jej omawianiu było zwrócić uwagę czytających na literaturę ukraińską i zachęcić choćby garść ludzi, szowinizmem nie zwarjowanych, do bliższego zapoznania się z piękniejszemi tworamii ducha bratniego narodu.

W Porębie Wielkiej, 1902—1908.

3.

*Michajło Jackiw.*¹

Autorowi zbioru niniejszego stała się krzywda, że nie włączono go do antologii nowelistów, wydanej po polsku p. t. *Młoda Ukraina*. Wprawdzie antologia ta pomyślana i układana była przed laty siedmiu, gdy wielu z dzisiejszych utalentowanych pisarzy ukraińskich stawiało dopiero pierwsze kroki na polu literackim, ale Jackiw miał już wówczas za sobą poważny tomik nowel p. t. *W carstwi satany*. Krzywdę, uczynioną Jackiwowi przez to przeoczenie (co się zdarza nieraz i lepszym wydawnictwom), chciałbym choć w części naprawić, mówiąc

¹ Przedmowa do tomu: M. Jackiw, *Wieczorne psoty... i inne opowiadania*. Z ukraińskiego przetłumaczył Sydir Twerdochlib. Warszawa [1910], „Bibl. dzieł wyborowych“.

o nim z okazji *Wieczornych psot*, jako mi się w swych dziwnych utworach przedstawia.

Bo dziwne są zaprawdę te rzeczy, — czasem zamknięte w sobie, skończone, czasem przerwane, poszarpane, z których wyziera niepokój i strach przed życiem, przed jego niemiłosiernością. Widać, że autora życie dobrze stłukło, a on, miast walczyć z niem pierśią opancerzoną, zimną stałą, walczył, jak dziecko, sercem. Stąd zranienia, które się wciąż krwawią, niepokój przed nieznanem, strach przed brutalnością sił miażdżących.

Smutny żywot. Smutnem jest też wszystko to, co Jackiw o ludziach mówi. Ucieczką dlań jest piękno przyrody. Tu znajduje, nieznalezione wśród ludzi, wesele serca i radość. Z jakąż miłością opisuje kwiaty! Jak siostrzyczki swe najmilsze. Dla ptactwa, mordowanego przez ludzi, ma płacz dziecka. Ma też, jak człowiek z mąk zdjęty, wyostrzony słuch na niesłyszalne. Dziwnie grają mu echa kniej, przedziwnie dzwoni dzwon leśny. Niekiedy, chcąc przewyciężyć w sobie niepokój, za bić strach idący od życia, wychyla się duszą w mrok, ku przerażającemu. Wraca stamtąd z połowem rzeczy dziwnych, podobnych rzeczom Poego.

Oto w skrócie wrażenia odniesione z utworów Jackiwa. Jako talent bezsprzeczny stanąć może obok takich artystów pisarzy jak Bohdan Łepki, Wasyl Stefanyk. Dziwny i smutny człowiek... Przeszedłszy w życiu swem krótkim przez szkoły, klasztor, wojsko, teatr, obecnie w biurze przymknięty, jako z za kraty więziennej patrzy na ten świat ludzki, który go ciągnie, a straszy brutalnością swą i niepokoi.

Czytającej publiczności w Polsce znane już jest nazwisko Jackiwa, gdyż niedawno ukazał się zbiór jego nowel p. t. *Dorycki krużganek* w przekładzie poety ukraińskiego S. Twerdochliba. Niechże ten nowy zbiorek będzie dalszą kładką mostu, który pragniemy rzucić, ku wzajemnemu zrozumieniu się i zbliżeniu, nad przepaścią głębią przez obustronne szowinizmy.

Poronin, w kwietniu 1909 r.



MYŚLI

M Y Ś L I

Cisną ci się nawałnicą myśli, — ty to nazywasz natchnieniem. Rozważ te myśli na dłoni, sięgnij do ich genesis, a obaczysz, iż głupota je rodzi. To tak jedni przez drugich szepcą ci ludzie do ucha — a ty to zwiesz natchnieniem.

Myśli wielkie — są jak złoto w rudzie; trza je mozolnie wydobywać, trza je długo obrabiać, nim zaświecą. Ty sobie np. wyobrażasz, że Mickiewicz Improvizację zaimprovizował — tak — z natchnienia. Nie wiesz, iż długo w nim bólem rosła, nim wytrysnęła...

*

*

*

(Rzuty i szkice do *Teorii socjalnej*):

Podstawy: 1. Gatunek „człowiek“ składa się z różnych duchowych ras, z ludzi na różnych stopniach umysłowego rozwoju będących.

2. Największe piekło cierpienie dzisiejszego człowieka wynika ze współżycia różnych ludzi z sobą.

3. O jednej szczęśliwości wszystkich niema mowy. Możliwa tylko jest jednaka szczęśliwość ludzi na tym samym stopniu umysłowego rozwoju będących.



4. Drogę ku szczęśliwości wskazuje sama natura, pchająca ludzi podobnych ku sobie (przyjaciele).

Notatki: 1. Postęp ma na czole napisane: Szczęśliwość. Szczęśliwość ludzi. A od tej szczęśliwości odchodzi.

2. Jest gdzieś pomyłka w drodze, albo też raczej nie-uświadomienie sobie siebie i ludzi dookoła. Brano człowieka za równego drugiemu człowiekowi. I tu myłka.

3. Od szczęśliwości odchodzi się przez uspołecznianie różnych ludzi (różnych prawie ras). Gdy to uspołecznianie dojdzie do absurdu, pocznie się droga naturalna.

4. Są różni ludzie, na różnych stopniach rozwoju dusz. Tych zebrano w jedno środowisko (np. dziś: miasto) i muszą ze sobą współżyć, o siebie się ocierać łokciami. Stąd moc cierpień nienazwanych, t. zw. cierpień bez powodu, wrażeń przykrych wzrokowych. Sam widok twarzy... (Am Graben w Wiedniu, ale i w Krakowie na plantacjach przy spacerze mieszczaństwa).

5. Tym dano jeden kodeks — etyczny, państwowy, religijny. Nakryto tym kodeksem różne dusze, w piekle współzycia gotowane, nakryto jak skrzyżalą w kotle — i życie! nie dajcie się żywcem ugotować!

Ba! Wielu krzyczy (literatura, w której widać smutek ziemi), słyhać najróżniejsze głosy, dobywane z dusz przez męczarnie. Cóż! Wielu poddaje się, da się ugotować, — przecierpi albo i nie (zależy od wrażliwości skóry: duszy) — i ci są już wezwyczajeni. Ale są tacy, co się nie dadzą wezwyczać. Tym — rzeczywiście pie-

kłem życie. Strasznie bolesne powiedzenie: „Trudno żyć nieprzyzwyczajonemu na świecie!“

*

1. Dziś dobrze jeno filistrom. Któż to są filistrzy? Dla nich dzisiejsze kodeksy pisano. Tym w dzisiejszych formach dobrze. Przeto ich strzegą słusznie, aby się nie rozpadły.

2. Szczęśliwość wynika z pragnień duszy człowieka: podobne będzie u podobnych dusz. Szczęśliwość różnych grup nie może się zejść, choć idzie w kierunku jednym, równolegle, — chyba gdy np. grupa jedna posunie się w rozwoju.

3. Posuwanie się w rozwoju: Będą się tworzyć stopnie wyższe, nowe, — ale niższe zawdy będą, i najniższe. Ludzie nie pójdą nigdy w r ó w n y m szeregu, jak chcą „sprawiacze szyku“. Zawdy będą jedni wyprzedzać, i będą także ostatni.

4. Człowiek p o d a t n y rozwojowi może za życia swego przebiec wszystkie stopnie rozwoju, do najwyższego.

Jest stąd ogromny o p t y m i z m, że można zdobyć szczęśliwość, i straszny p e s y m i z m, że zawdy będą najniższe stopnie dusz i nigdy wszyscy nie zejdą się w rozwoju wyższym. Rozwój się będzie uwidoczniał w rozszerzaniu stopni rozwoju, w powstawaniu stopni coraz wyższych. Ale pozostałe będą zawsze — aż do najniższego.

5. Socjalizm. Za dużo energii wchłonał ten prąd, dziś najbardziej rwiący, aby nie miał zwyciężyć. To pierw-

szy etap w najbliższej przyszłości. Gdy usunie niesprawiedliwości ekonomiczne, — podniesie się jedną z najcięższych skrzyżali.

I on może uspołecznianie doprowadzić do absurdu: że nam idzie o nawrócenie z drogi błędnej, ku szczęśliwości człowieka.

6. Piekło wewnętrzne — z powodu kompromisów, jakie dzisiejszy człek musi zawierać ze swoim sumieniem. Są kompromisy różne. Jeden, który powoduje instynkt samozachowawczy (wnet wyradza się w służalstwo, upodlenie etc.). Insze wypływają z serca: dla dobra czyje-goś, dla bliskich.

A oto taki przykład: Syn i matka. Matka dewotka, namawiająca syna do spowiedzi, ile razy przybędzie do domu. I syn się nie pokazuje. Obcym jest matce. Nie chciał kompromisu, nie kłamał. I cierpi. — A oto znowu przeciwny: kłamie. Kompromis. I także cierpi nie mniej. — Oto jak kodeksy oddalają najbliższych z krwi.

7. Małżeństwo dzisiejsze: Tu najwidoczniejsze przykłady.

8. Sąsiad. (Różnice dusz, — stąd piekło). W biurze. Pisarze. W warsztacie. Przecież ludzie jednego fachu, a są różnice tak silne, że nieznośne jest współzycie tych ludzi z sobą.

9. Oświata: P. Stapiński p o d n o s z ą c y lud, t. zn. ludzi nieraz na wyższym stopniu rozwoju dusz od niego będących. Bo na wsi też ogromna skala różnic. Niema tylko najwyższych stopni. Ale mogą być, — gdy się da możliwość rozwoju pragnącym (wiedzą, — która ułatwia

postęp). Więc oświata winna być usuwaniem z przed nóg przeszkód ku rozwojowi dusz. A temi dziś: — dzisiejszy ustrój społeczny, dla wszystkich jednakowy.

10. Ucieczka: jednych w socjalizm etc., drugich w mistycyzm, w zaświaty. Jedna mię naiwnie spytała: — Więcby mogła być szczęśliwość na ziemi?

Jest pęd i za nawias. Ludzie czuli, artyści, starają się stale odsuwać od t. zw. życia; inni choć na miesiące letnie uciekają ze środowisk życia. — Jedyne filistry nie czują potrzeby odetchnięcia za nawiasem — chyba ze względu na zdrowie swoje cenne. I wtedy wyjeżdżają do kąpiel, do wód, prześladując i tam biednych uciekinierów od „praw“ swoich.

11. Kto to są prowodyrowie ruchu, np. socjalistycznego? Oto — na wyższych stopniach rozwoju boleśniej czują dzisiejsze na duszach skrzyżale i niedolę ekonomiczną niższych stopni. Nieraz boleśniej niż ci sami. Walcząc za nich, walczą o swoją (pośrednio) szczęśliwość.

*

Właściwie ludzie ludzi mało obchodzą. Weźmy przyjaciół. Człowiek praktyczny rad gości-przyjaciół widzi, o ile nie przeszkadzają mu w interesach. Taksamo człowiek twórczości duchowej się oddający — rad gości-przyjaciół żegna (choć ich z radością witał), jeżeli czuje, że przez ich pobyt on (znaczy: coś, dla czego on tworzy) wiele traci i zaniedbuje.

Człowiek więc jest tu na ostatku. Wszystko inne przed.

*

Nie dla ludzi też ludzie o szczęśliwość się trują i walczą, — ale dla swojej satysfakcji, dla swej szczęśliwości, lub ze zbytku energii (Daszyński). Często oni są ludzom otaczającym nienawistni (a więc dla kogóżby się rozbijali?). Często pogardliwie lub skeptycznie do ludzi usposobieni...

Dążym do szczęścia. Mniejsza, co ja uważam za szczęście. Każdy do swego. I o tem przy całym wywodzie dalszym nie zapominajmy.

*

Socjalizm rozumie postęp — i uczciwie — przez swoich przewodników. To są dusze na wyższych stopniach rozwoju. I artyści (dusze wyższe) są rewolucjonistami. — Ale tamci mają więcej energii życiowej, która ich pcha do czynu; przeto nie mają czasu do rozwijania duszy, do kontemplacji, jak mają artyści. Dlatego dzieła tamtych, rozumne odnośnie do teraźniejszości, — są wobec przyszłości płytkie.

*

Powszechne myśli? — Tak, ale nie powszechne słowa. Mniej jeszcze czyny.

Trzeba, aby ludzie posunięci dalej w swej etyce mówili głośno. We wszystkim! A wtedy zobaczyłoby się, jaka jest różnica między ludźmi. Jaka gama pojęć!

Człowieka, gdy się wrywa ze zdaniem, które podziela wielu w milczeniu, a on je powie głośno, — spotyka zarzut napozór słuszny: myśli wbrew pojmowaniu ludzi wszystkich.

Szczęściem, coraz częściej w y r y w a ją się ludzie. U nas że wskażę: Baudouina de Courtenay, Brzozowskiego, Nowaczyńskiego, Irzykowskiego, Womełę, Dybrowskiego. „Maniaki“ lub „oryginały“. Bodajby raz wreszcie wszyscy pokazali się „oryginałami“, jakimi są, nie „odbitkami!“ Tych milczących jest u nas dość.

Wielu milczy z tchórzostwa, z przewagi instynktu zachowawczego, insi z nakazu swej teorii filozoficznej...

*

Nie nędza na wsi jest najgorszym złem i nie ciemnota; lecz zło idące ze współzycia różnych ludzi z sobą.

Skąd każdy największe cierpiał zło? — Od ludzi. Baczcie, by się czasem dusza człowiecza nie stała przekleństwem, jak n. p. „psia-dusza“.

*

Na dowód racji socjalizmu przytaczać to, że tak ogromnie wzrasta, werbując coraz więcej zwolenników,— jest naiwnem. Albowiem właśnie toby raczej mogło p r z e c i w mówić.

Ludzie z dawnymi pojęciami łatwiej przyjmują rzeczy, w których mniej nowego, w których jeno pokost nowości. (Tu się używa temperamentu rewolucyjnego ludzi dla rzeczy...). Gdyby dusze tych ludzi przetworzyć, uświadomić, — nie płytko, ale u ś w i a d o m i ć — to raczej podatneby były teorjom śmielszym, dalej w przekształceniu ustroju idącym.



„Kochaj bliźniego jak siebie samego“. Jakże mogę człowieka stojącego na i n n y m stopniu rozwoju kochać? Chyba tak, jak wszelkie żyjące stworzenie... „Kochaj bliźniego“ — odnosi się więc do ludzi podobnych. I Chrystus wobec ludzi innych od siebie był z ł y: gromił w gryzących, ostrych słowach kapłanów, biczem smagał handlarzy. A d o b r y m nauczycielem był tylko wśród podobnych, w y r o z u m i a ł y m zaś wśród grzeszących nieświadomością.

*

Zapewne: ludzie r ó ż n i, żyjący przez długi czas wspólnie, upodabniają się do siebie, tracą dużo z różnic (przez to zdaje się, przynajmniej po wierzchu, jakoby byli podobni). Ale porozrzucajmy ich w różne miejsca, w różne warunki życia, obaczmy odrazu różnice jaszkrawe. Np. przyjaciele dwaj, których życie rzuciło w różne strony, po jakimś czasie schodzą się i nie mogą się już rozumieć. (Jeden np. poszedł dalej w rozwoju).

Wiek XIX jest twórcą n a r o d o w o ś c i, uświadczenia narodowego. Dawniej były s t a d a, potem p a ń s t w a, teraz n a r o d y. Ludzie karmiący się jedną literaturą, mówiący jednym językiem, czują się przez to podobni do siebie, skupiają się, czują odrębność jakby swoją. Widzimy nawet, jak powstaje świadomość odrębności w szczepach (Podhalanie) przez odrębność gwary. Wyszukuje się uzasadnienia odrębności w historii.

Te podobieństwa jednak są bardzo szerokie. Tak samo sztuczne, jak dawniejsze podobieństwa kast, które się już rozsypują. W konsekwencji będzie się szukać co-

raz to istotniejszych podobieństw, aż się dojdzie do skupień na podstawie podobieństw umysłowych, — do grup, w których członkowie wszyscy są na tym samym stopniu rozwoju umysłowego. (Droga ku szczęśliwości — pomacku).

Już dziś widzimy zapowiedzi: „zakony“ artystów, wyodrębniających się, — przynajmniej w teorji, w pisaniem *confiteor* — od „tłumu“. Jest to ruch bezświadomy. Ale poza tym, głoszonym, jest ruch bardziej naturalny: uczucie pokrewieństwa między artystami. Widać pomiędzy nimi grupy uczuciowo bliskie, widać tę skalę dusz i te, w zawiązku nierealnym, istotne społeczeństwa. Faktem jest, że widzimy dziś społeczeństwa w społeczeństwie.

*

Mniejsze różnice są między narodami niż grupami różnych ras (dusz). Nienawiść do siebie tych ostatnich naturalniejsza niż nienawiść narodów. Nikt mię nie zmusi, abym Niemca, Rusina, Moskala nienawidził a Polaków ogółem kochał. Tak mi obcy jest nasz filister, jak niemiecki lub ruski. Naodwrot, tak miłym mi artysta Niemiec, jak artysta Polak. Kocham literaturę rosyjską, zachwycam się Goethem.

Nacjonalizm jest wypływem reakcji, jej bronią, tubą zwodniczą dominującego monarchizmu. Można być dumnym z twórczości, ducha, ubioru narodu, co nie znaczy odrazu wołać: Patrzajcie! i t. d...

*

Cóż to jest śmieszność?

Gdy do ludzi, stojących na innym odemnie stopniu rozwoju (może na niższym?) mówię — albo działam wobec nich tak — jakbym mówił do ludzi stojących na tym samym ze mną stopniu. Np. gdyby człowiek mówił do wołu jak do człowieka.

Wtedy jest obawa śmieszności, gdy mamy np. mówić w gronie różnych dusz. A nigdy nie jest mi śmiesznym człowiek o podobnej duszy. Bo tę duszę jego znam, znam czynów i słów jego pobudki.

*

Gdy mi kodeksy prawnop- państwowo-religijno-moralne nad głową ciężą, i chcę je zrzucić, — ktoś raz pomyśli:

— Aha, z tego, że mu to cięży, widać: chciałby w las, na wolność wszelką! Znamy!...

Nie znacie. Czyż koniecznie mam fizycznie czuć tę wolność w s z e l k ą? Bylem nie czuł nad głową przymusu! Bylem wiedział, że każdej chwili mogę być wolnym, w całym tego słowa znaczeniu! A to starczy za fizyczny stan wolności.

To zresztą nie jest tłumaczenie się z rzekomej anarchji, bynajmniej, — ani usprawiedliwienie...

*

Wiem, że gdybym nie musiał oglądać się na tych, co są moimi, tobym szedł zupełnie inną drogą. I to wiem, że gdybym nie miał na myśli szewca i krawca,

tobym nie szukał kładki na potoku, ni ścieżki pośród jałowców i krzaków.

*

Nie żałuję nigdy tego, com zrobił, ale zły jestem na siebie za to, co robię.

*

O charakterze człowieka. Wartości (istoty) człowieka nie można oceniać na podstawie współżycia jego z ludźmi, — błędne to, choć tak ponętne, ocenianie. Dlaczego? Oto bowiem on sobą jest jedynie wobec całkiem podobnych, z rasy duchowej tejsamej. A takich całkiem podobnych niema, są bowiem — chociaż i wśród osobników tejsamej rasy duchowej — różnice indywidualne, które każą mu być wstydliwym i nie pozwalają całkowicie się odsłaniać.

A więc co jest jego wartością?

*

Człowiek wstydzi się zwierząt (jako krewnych), znając, obejmując ich sposób życia. — A zwierzęta, gdyby zdolne były znać sposób życia człowieka, zazdrościłyby mu — jako że sumienia nie mają — zazdrościłyby mu, rzekę, tej bogatej sumy popędów, które nawet w amoralnej księdze przyrody uważane są za ultraniermoralne.

*

Religja pasterza pełna jest wprawdzie zabobonów,

lecz jest szczerą, naiwną, i może najbardziej religijną... Pojęcie „bliźni“ rozszerza on i na bydło, które pasie.

*

Trzy pytania: Początek, — koniec, — cel? Między nimi, jak między ramami, umysł może wypełniać. Te trzy pytania niepokoją tak filozofa jak pasterza. Obaj są wobec nich jednako bezbronni myślą. Te trzy pytania to religijność człowieka — nigdy nieznikniona.

*

Zwykle czyni się zarzut poetom, którzy wyrażają barwami lub muzyką znużenie, — powiadając, że to nie krzepi. Każde piękno krzepi. Ale pomijając to, — dlaczego nie ma mieć racji wykrzyk: „jak mi smutno!“, a ma ją mieć: „jak mi wesoło!“ Kiedy przeciwnie: — do wesołości żadnej niema obecnie przyczyny, a do smutków sto i więcej!

∴

Teatr dzisiejszy jest nawskróś mieszczańską instytucją, — więc ja tem bardziej byłem niepotrzebny. Niepotrzebne było tam *Wesele*. Bawiono się na niem jak na szopce, — choć z różnem wrażeniem...

*

Krytyk — to człowiek najdalej posunięty w rozwoju. Każdy jest w części krytykiem: odnośnie do niższych, przebytych stopni. Krytykować — znaczy: zrozumieć, a rozumie się tylko niższe lub równe.

Krytyka nie powinna być zawodową. Ani fachową; np. krytyk od wszech-poezji. Bo choćby krytyk taki rozumiał poezję, to rozumie dobrze tylko tworzona przez ludzi na równym z nim i niższym od niego stopniu rozwoju będących (albo przez wyższych — w chwilach obniżenia ducha). Innej natomiast nie rozumiejąc, narzuca swoją, do tamtej stosowaną, miarę.

Najczęściej zła krytyka pełni grzech wobec Ducha Św., przeszkadzając tylko rozwojowi dusz. A winna r o z w ó j ułatwiać, dając orientację, którą sama zdobyła.

Mistyk może tylko krytykować mistyczną poezję. Umysłowi racjonalnemu poezje mistyczne mogą się wydać dziwactwem. Słusznie. Ale nie powinien on tego wrażenia narzucać drugim! Niewolić ich do swojego okna, przez które tak a tak czysto widać, jak powiada.

Każdy niech swoim oknem patrzy, — i dzieli się z drugimi spostrzeżeniami, jakie od świata odbiera; — będzie większe bogactwo spostrzeżeń...

*

Książka jest „listem do przyjaciół“. I gdy ją spotkają ci, dla których nie jest pisana, to, postępując uczciwie, powinni zachować się tak, jak wobec listu nie do nich adresowanego; nie otwierać, nie czytać. Gdyż inaczej postępując, wchodziliby przez to jakby w czyjeś osobiste sprawy, które naturalnie śmieszneby się im nawet mogły wydać.

*

List... Piszę do ciebie, człowieku, którego niema. Bo ty mię może zrozumiesz. — Nie sądz, gdy mówię tak, że jestem zarozumiały. Lecz oto nie mogę dojść przyczyny tych ciosów, jakie raz po raz spadają na serce moje. Ty mi je może wyjaśnisz, gdy ci stan rzeczy opowiem (bo wiem, że nikto z ludzi) i orzekniesz: winali to moja, czy nie?

Nic już poczynam z tej gmatwaniny ludzkiej nie pojmować, — a zdawało mi się dawniej, że coś niecoś rozumiem. Czuję jedynie cierpienie i mękę, nadto ciężką, aby dłużej trwać mogła. Doszedłem do pół-obłądu, melancholiczność stoi u progu mego umysłu, dawniej tak trzeźwego. Nie wiem. Nic już nie wiem. Wiem tylko to, że cierpię, — i to cięższe, że sprawiam cierpienie...

*

Na co to wszystko? Stanij pod gwiazdzistym niebem, albo naprzeciw wschodzącego księżyca i zapytaj się — na co? Jeżeli ci zawrót nie przerwie myśli...

Insza rzecz, że cię życie wróci ziemi. Ale gdyś raz był na tej krawędzi, — już tam powracać będziesz częściej...

PLANY POWIEŚCI



R U I N Y

Powieść historyczna.

I. S w a t y.

Orszak bogaty jeźdźców rwał stepem w stronę południa.

Dzień lipcowy miał się ku skłonowi. Już też na zachodzie słońce krwawe zanurzało się kręgiem ognia w daleko-ległe fale równiny podolskiej, obrzucając odbłaskiem czerwieni mknący po stepie barwny, strojny poczet, przezierało się w pozłoceniach rzędów, zaświecało drogie krwawniki żupanów, brylantowe agrafy kit i sprzędze kontuszów, zapalało głównie bogate karabel, tęczyło rozwiane wyloty, jak skrzydła, płomieniło grzywy koni-gryfów i pióra czelne kołpaków, — iż jadący, wyniesieni czołami na niebo, w kręgu ogni wydać się mogli zagnała komuś jakby z archanielskich zastępów oderwani.

Piękny to był poczet. Ktoby go spotkał w tej rozbieży ziem, łącznie okiem poznałby, że to nie wojenny podjazd, ani ¹, ale raczej że to poselstwo ja-

¹ W autografie nie podano słowa.

koweś, do Sylistriji, do Multan, czy też do samej Porty zmierzające. Nawiodłyby mu tę uwagę sute stroje pocztowych, konie juczne, skrzynie z darami, a zwłaszcza — królewski iście dar — konie bachmaty, luzem prowadzone, ognistej krwi, przybrane we wzorzyste kapy i czapraki.

A już pięknocią stroju, postawy, jako i wzięcia całego górował nad inszymi młodzieniec rycerny, który on orszak wiódł.

Barwy na ziemi gasły. Coraz gęściejszy przed kopytami koni kładł się zmierzch, — zajarzyło się na pociemniałem niebie gwiazd parę.

Orszak przebrnął szybko wgłębioną równinę niby jezioro płytkie zgęstniałego mroku i ukazał się na wznieśnieniu ordzawionem od zorzy zachodu. (Brzegi rzeki, rzeka: Boh...)

Jadący na czele młodzian wstrzymał konia.

— Przed nocą Bohu nie sforsujem — rzekł. — Tu ostaniem do dnienia. Z koni! i założyć ogień!

Zeskoczył lekko na ziemię i oddał konia luzakowi. Towarzysze posiadali również. Służba zakrzętnęła się. Naznoszono konarów i karkulców z pobliskich zakrzewień i wkrótce kilka ognisk w niedalekich odstępach buchnęło. Luzacy przeprowadzili... rumaki, na których kapy bogate mieniły się przy odbłasku ogni, a grzywy i włosie ogonów do ziemi spadające zalśniwały niby wodospady.

Utworzyło się koło ognisk.

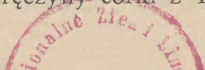
Namiestnikowi podesłano sukno, podano wieczerzę,

składającą się z wędlin i placków. Zaprosił do niej kilku z towarzyszy...

(Plan powieści)

Tom I: Walka o gospodarównę.

- I. W swaty od Piotra Potockiego. Przy ognisku nad Bohem. — Na zamku w Jassach. Lupul. Żona jego, piękna i młoda mahometanka. Donna Rozanda, córka z pierwszej żony, wenejanki. — Więści od Porty przez agenta-dragomana poselstwa weneckiego (o intrygach, rywalizacji z Bassarabą, o Greku zabitym, — pojednanie). Skarby.
- II. Konkurenci o rękę Rozandy: Piotr Potocki. Dymitr Wiśniowiecki. — Swaty od Chmielnickiego. Odpowiedź z odwołaniem na Portę. Oburzenie Lupula, że ten chłop śmiał swaty słać i trwoga przed jego potęgą. Narada.
- III. Starania Lupula i Chmielnickiego. Chmielnicki wygrywa u Porty. Rozkaz sultana na małżeństwo Rozandy z Tymoszką. Lupul wręcz odmawia, ufny w pomoc panów polskich.
- IV. Korpus Chmielnickiego wraz z 20.000 ordy wpada na Wołoszczyznę, łupi Suczawę, Jassy. Gospodar opłaca się Tatarom, którzy wracają z łupem.
- V. Druga wyprawa Chmielnickiego w 16.000. Lupul przywiedziony do rozpaczki opłaca się kozakom, zgadza się na zaręczyny córki z Tymoszką i daje



zakład (bojarów), iż po Bożem Narodzeniu (1650 r.) odbędzie się ślub.

- VI. Stara się o indygenat polski. Wysyła córkę z żoną do zięcia swego Radziwiłła i czyni w Stambule starania, by uwolnić się od poniżającego związku. Równie Chmielnicki nie zasypia gruszek, oskarża Lupulę o zdradę i prosi o gospodarstwo — dla siebie. Wielki wezyr Achmed rozstrzyga: cofa rozkaz Porty, ale jako zakład wierności Lupula każe odstawić Rozandę do Stambułu.
- VII. Rozanda w Stambule (1651). Agent Lupula, Panlaki. Wielki wezyr Achmed. Intrygi serajowe. Dymitr Wiśniowiecki. Wieści o klęsce Chmielnickiego pod Beresteczkiem i upadek w. wezyra. Rewolucja pałacowa. Nowy rząd wrogi Chmielnickiemu.
- VIII. Lupul teraz bezpieczny — zabiera córkę do Jass. Dowiaduje się jednak wkrótce, że Chmielnicki gotuje się nań z nową wyprawą. Gotuje się do obrony, robi zaciągi i pisze do króla polskiego rozpaczliwy list, aby kazał hetmanowi Kalinowskiemu stać na granicy dla obrony przejścia. Dostawszy wymijającą odpowiedź, udaje się do możnowładców polskich — z większym skutkiem.
- IX. Na wieść o obronie księżniczki Rozandy zrywa się młodzież z najprzedniejszych domów: każdy z nadzieją w sercu. Dymitr Wiśniowiecki, Potocki Piotr, czynią starania gorączkowe — dla obrony „skarbu“. Hetman Kalinowski jako najgorętszy konkurent (dla siebie czy dla syna). Charakter hetmana. Obóz pod Batohem. Zimowanie w Brac-

ławiu. Zapusty. Pojedyunki. Wieści z Jass. Nadzieje — pieśni — trubadury.

- X. Poselstwo do Chmielnickiego i odwrotnie.
- XI. Bitwa pod Batohem. Ginie bukiet świetny rycerstwa. Pożar w obozie. Rzeź (legenda o tem miejscowa).

Tom II: O gospodarstwo.

- I. Plan Lupula. Zdrada baszy sylistryjskiego.
- II. Rok 165 . . Stefan Görgicze u szwagra hospodara Bassaraby. Układ między nimi i Rakoczym.
- III. W Gycz-Wasar. Spisek Görgiczego. Przygotowania. Lupul w ufności daje mu pieniądze na zaciągi wojska (które ma stać nad Dniestrem). Porozumienie kwiatami z Rakoczym.
- IV. Jan Barosz z beczkami wina od Rakoczego na zamku. Pijatyka. Görgicze. (Kemeny z wojskiem).
- V. Spisek odkryty. Czinguli i hetman giną. Lupul, zabrawszy na koń rodzinę i skarby, ucieka ku Dnieprowi. Przybywają w parę godzin Kemeny i Görgicze — zastają pustki w zamku i trzy trupy spiskowych.
- VI. W Kamieńcu. Wieść o ogłoszeniu hospodarem Stefana. Lupul wraca do wojska, udaje się za Kemenim, lecz pobity na głowę i raniony ucieka do zięcia swego do Raszkowa.
- VII. Tymofiej stoi z 16.000 gotowych ludzi. Natychmiast przechodzą Dniestr i wpadają do Wołoszczyzny. Wojsko wołoskie odstępuje Stefana, chłopstwo rzuca się na watahy Mołdawian i Wę-

grów. Kemeny pobity pod Koprinkau. Stefan w 2000 ucieka do Multan. Na granicy Tymofiej rozbija oddziały Bassaraby i zaczyna palić, rabować Multany.

- VIII. Bassaraba wysyła wojsko naprzeciw. Rozbite na głowę pod Soplca i pod Telacnin. Powołuje cały lud do broni (o posiłki do Rakoczego) i z 30.000 wychodzi nad Jałowicę. (Stefan Görgicze przodem, ale przez zdradę bojarów odparty.)
- IX. Bitwa pod Jałowicą.

Tom III: O skarby gospodarza.

- I. W Kamieńcu. Gospodarowa ze skarbami. Wieści o staraniach Chmielnickiego w Stambule o gospodarstwo. Skutek deputacji wołoskiej bojarów: czausz Porty. Wezwanie od Lupula.
- II. Pożegnanie gospodarowej.
- III. Gospodarowa wyrusza z gwardją za Dniestr; tu wieści o nowej klęsce męża. Chroni się do Suczawy. Oblega ją Stefan z wojskiem Bassaraby.
- IV. Tymofiej rusza z odsieczą. Podwójnie oblężeni.
- V. Starania Lupula i Chmielnickiego. Starania Stefana i Rakoczego w Polsce (Liga z Rakoczym). Polityka Chmielnickiego.
- VI. Komisja lwowska i pochód pod Żwaniec.
- VII. Oblężenie Suczawy. Zajęcie Gospodarowej i skarbów.
- VIII. Obóz pod Żwańcem i traktat z hanem. Wydanie Lupula Tatarom. Ruiny w dawnej kwitnącej Braclawszczyźnie. W jasyr...

JAN KRZYSZTOF - POLSKI

Powieść

1. Na stacji u kmiecia: kmieciówna. — Pasanie krów, świni.
 2. W szkole klasztornej: System edukacyjny. — Służenie do mszy (ampułki). — Ks. Eustachy. — Ks. Leśniczyn (pod lasem, u gajowego).
 3. W mieście, w gimnazjum: W internacie. — W szkole. — Głodowanie. — Kradzież. — Pierwsze pijaństwo.
 4. Na stacji, kątem: Maj, majowe nabożeństwa. — Kulawy ideał. — Po drodze, w kościele.
 5. Pierwsze porywy poetyckie: Figle studenckie. — Na stacji. — Karnawał (nad Wisłą).
 6. Na chórze: Śledztwo. — Wydalenie. — Podanie...
 7. U adwokata: Pisarka do humorystycznego pisma. — W kancelarji: Mecenas, — dependent. Szewc-ojciec w przedpokoju (zabawia klientów, prowadzi księgę egzekucyj. — „Mamy dziś piękną temperaturę...“). — Syn po urlopie na ojca; ojciec w kącie samotny, żałuje warsztatu szewskiego.
 8. Wchodzenie do literatury: Pisarzom kłania się, jak chłop biskupom. — Koneczny. — Sewer. — Tetmajer...
-

TRAGEDJA BURTANÓW

Powieść

I. Djabeł w rokicie.

Izba dudniła chłopskimi głosami, to napępiała się jazgotem przenikliwym kobiet. War rozmów pomieszanych, jako i opar dymiących głów, uderzały sparnią o powalę, przelewały się przez drzwi otwarte do sieni.

Niekiedy, w przestankach gwaru miauczenie niemowlęce wydzierało się skądś zduszonym trudem jak z pod przytłoku pierzyn, to od stołu padało z sakramentalną powagą:

- W ręce wasze, kumie!
- Daj wam, Boże.
- Coby się podarzyło...
- Dy żeby Bóg dał...

Izydor Burtan obchodził oto chrzciny syna. Na urodziny córek dwóch (nieletnich jeszcze, które się wstydnie koło pieca chronią) chrzcin nie sprawiał, ale skoro Bóg syna nagodził... Kupił chleba, kukielek, gorzałki, wina z goździkami, sprosił kumotrów, sąsiadów...

Posiedli, gdzie które mogło. Poważniejsi przy stole, reszta po ławach i w kącie. Kobiety koło kołyski i łóżka położnicy. Światło kaganka, zawieszzone nad stołem na ścianie, nikło w rdzawi izby. Dym z fajek snuje się pasmami ku powale i układa się w warstwy...

Gospodarz, siedząc na ławie za stołem, raczył gości, by pili i jedli. Nieumiejętnie mu gwara idzie. Izydor Burtan nienuczny był... Jak jałowiec oto krzaczysty usiadł za stołem. Włosy rozrzucone, barłóg w nich, jakby grzebienia nigdy nie widziały, i twarz zczerniała. Oczy rozwarłe i jakby nic nie widzące...

(Plan rozdziałów:)

1. Chrzcziny. Położnica, raczą ją imbierką. Niemowlę też, Marcin. Aluzje do rodu Burtanów. Przyrównanie: do doktora (podobieństwo), do księdza... Mowa o nich. Dziwnie się zrobiło w izbie... Stało Nieznane. Wróżby kumoszek. Organista do ucha Izydora: — Będzie zeń wielki człowiek... słyszycie? Wielki człowiek... Ja wam to przepowiadam. A djabel śmiał się w rokicie.
2. Przybydle. Jak głupawy (boginki, pλανetnicy, bóg leśny: do tańca), rzemień.
3. W szkółce. Rachuje (organistę poprawia). Narada z organistą. (Tajemnica rodu Burtanów — natrącona). Nacisk tegoż i obawy ojca niejasne. Lecz skoro niezdatny do niczego... do szkół.
4. W internacie. Zrównania przez głód... na obiad, śniadanie, jak dziecko. W szkole. Wykłady miast profesora. Do matury. Poprawia logarytmy.
5. Asystent. Koresponduje ze sławami zagranicznymi. Naraz — mrok (wirujące gwiazdy, słowa o pożarze ziemi...). W szpitalu dla obłąkanych. Ojciec go odwiedza. Przyjmuje spokojnie, jak spodziewane fa-

tum. Z profesorem: o księdzu i doktorze, którzy się spalili. (Ksiądz zbuntował się przeciw Kościołowi, Bogu... i kara go za życia spotkała. Spalił się na łożu... trup czarny zwęglony, jakby z piekła wyjęty...). Zabiera syna.

6. Na w s i. Pasię bydło. Do wójta. Żniwa. Bazie poświęcane.
7. W ogniu stodoły... (Ludzie płakali a djabeł śmiał się w rokićie...)

NOTATKA BIBLIOGRAFICZNA

Fragment opowieści *Czantorja* zachował się w autografie; drobne ustępy z niego drukowane były po śmierci autora w *Czasie* (1931, nr. 78) i w *Tęczy* (t. r., nr. 11), obecnie podano tekst ponownie odczytany i wszystek, jaki pozostał. Zachował się w bruljonie, na luźnych kartkach, zapisanych pospiesznie, niewyraźnie; tekst nosi wszystkie cechy pierwszego, niewykończonego rzutu. Niewykończonego przede wszystkim stylistycznie. Autor miał zwyczaj, pisząc bruljon, podkreślać w tekście słowa, z których nie był zadowolony i które następnie zastępował innymi. W bruljonie *Czantorji* zostało wiele takich pozaznaczonych słów i zwrotów, których autor nie zdołał już przetworzyć. Utwór zatem w części napisanej nie został doprowadzony do pełni wyrazu artystycznego.

Dobór i układ zebranego zasobu Nowel i obrazków pochodzi od redaktora; utwory zebrane zostały z różnych druków, w drobnej mierze z autografu. Z serji I w rękopisie zachowały się: obrazek *Sama* i opowiadanie *Przezco Sabala omijał jarmark w Kieżmarku*; czy były gdzie drukowane, niewiadomo. Reszta utworów tej grupy była ogłoszona w druku: obrazek *Dziki w Zorzy*, 1900 nr. 6; *Wyborca* w *Tygodniu* (dod. liter. do *Kurjera Lwow.*), 1901 nr. 3; „*Co ma wisieć nie utonie*“ w humorystycznym piśmie *Liberum veto* 1903 nr. 15; *Betlejem i Asyż* w gwiazdkowym numerze *Kurjera Lwowskiego* 1906 nr. 352. — Z serji II, legenda *O stworzeniu Podhala* w *Gazecie Podhalańskiej* 1926 nr. 52, poczem w książce szkolnej: J. Porazińska—St. Rossowski, *Pierwsze czytania dla szkół powszechnych*, cz. III, Lwów 1927, s. 202 n. W tejże książce znajdują się: *Prędko Michał* (s. 149 n.) i *Dyzma w Betlejemie* (s. 114 n.). *Na hale* drukowano w książce szkolnej: J. Balicki—St. Maykowski, *Będziem Polakami*, Lwów 1928, s. 216 n.; u tychże autorów *Zła zima*, w książce *Kraj lat dziecinnych*, Lwów 1931, s. 169,

a *Orły* w książce *Miej serce*, Lwów 1930, s. 10; opowiadanie *Inklus w gospodarstwie* wzięto z *Gospodarza Polskiego*, 1928 nr. 49, *Owce w burzy* zaś i opowiadanie *Jaś w Chocholowie* z autografu.

Poza pomieszczonemi w tomie niniejszym napisał Orkan kilka jeszcze opowiadań do książek szkolnych; ponieważ jednak cel dydaktyczny góruje w nich zdecydowanie ponad artystycznym, nie włączono ich do powyższego zbioru. W szczególności znajdujemy w książce Pfauówna—Rossowski, *Pierwsze czytania dla szkół powszechnych*, II, Lwów 1927, ustęp *Młyny*; w książce Porazińska—Rossowski, *Pierwsze czytania*, III, obrazki: *Jasiek w fabryce* (s. 56 n.), *Prządki* (s. 86 n.), *Jędrus na weselu* (s. 120 n.), *Przygoda Wojtusia* (s. 165), *Za morze* (s. 201 n.) i *Na obczyźnie* (s. 204 n.).

Z działu *Szkice i wspomnienia literackie* wzięto z pierwodruku: z odczytu *O odczuwaniu dzieła sztuki* drobny fragment, ogłoszony w *Myśli*, książce zbiorowej, Warszawa 1904, reszta z autografu; *Pułkownik Miłkowski* ukazał się w *Nowej Reformie* 1915 nr. 169; wspomnienie: *Marja Wystouchowa* stanowi wstęp do redagowanej przez Orkana zbiorowej książki-epitafjum *M. Wystouchowa. Wspomnienie pozgonne*, Lwów 1905; *Jakób Bojko* mieści się we wstępie do książeczki: J. Bojko, *Pisma i mowy*, Lwów 1904; *Młoda Polska* w paryskim *Wolnem Polskiem Słowie*, 1899, nr. z 5 marca; artykuł *W sprawie Brzozowskiego* przesłał autor do redakcji *Kurjera Lwowskiego*, gdzie go jednak nie ogłoszono; zawdzięczam tekst uprzejmości p. Bolesława Wystoucha; *Jan Sten* drukowany był w *Krytyce* 1914, I, 16 n.; szkic o *Fr. Nowickim* stanowi wstęp do tomu poezyj Nowickiego, jaki się miał pojawić w wydawnictwie „Biblioteka Narodowa“; tom przygotowany nie został jednak dotąd wydany drukiem; wstęp drukujemy tutaj za zgodą Dyrekcji Zakładu Nar. im. Ossolińskich; wobec jednak chwilowej zatrąty czystopisu dajemy go z redakcji bruljonowej. — Oba ustępy o *St. Witkiewiczu* przedrukował autor w *Warcie* (Lwów 1927), skąd też wzięto tekst niniejszy. Sylwetę K. Kietlicz-Rayskiego „*Cichy pan*“ drukowała *Gazeta Zakopiańska* 1922 nr. 33; *Podhale w życiu Kasprowicza* w *Wiadomościach Liter.* 1926 nr. 43; *Wieś Tetmajerów* w *Kurjerze Lwowskim* 1912 nr. 147. Z grupy *Poeci podhalańscy* sylwetka J. Jedlicza w *Tygo-*

dniu 1902, nr. 48, *F. Gwiżdż* z autografu, *A. Galica* z przedmowy do dramatu *Galicy Przysięga*, Kraków 1909. Z grupy *Pro domo sua* rozprawka O „*Winę i karę*“ w *Tygodniu* 1906, nr. 36, *Potrójna cenzura* w *Naprzodzie* 1907 nr. 288. Szkice O literaturze ukraińskiej ukazały się: *Współczesna poezja ukraińska* jako przedmowa do antologii S. Twerdochliba, Lwów 1911, *Powieściopisarze i noweliści*, zamierzony jako przedmowa do wyboru nowel *Młoda Ukraina*, ukazał się ostatecznie dopiero w *Naprzodzie* 1908 nr. 157, a *M. Jackiw* jako przedmowa do opowiadań tego autora *Wieczorne psoty*, Warszawa 1910.

Dział *Myśli* wzięty w całości z autografu; wyboru z notat, pisanych (dorywczo) różnemi czasy, przeważnie jednak w l. 1903 i 1904, i zachowanych w stanie całkowicie przez autora nieuporządkowanym, dokonał i układ wprowadził redaktor.

Plany zamierzonych powieści: historycznej *Ruiny* (nazywanej także *O skarby Lupula*), autobiograficznej *Jan Krzysztof polski* i trzeciej, opartej na rzeczywistych kolejach życia jednego z kolegów autora, Marcina Burtana — z autografu.

Pełen melancholji niedokonania, wiersz naczelny, który się wydał najstosowniejsem wprowadzeniem do tego zbioru-pogrobowca, ukazał się w tomie *Z martwej roztoki* (1912).

P O S Ł O W I E

W tomie niniejszym zgromadzono tę część plonu literackiego Orkana, której on już to nie mógł dokonać, nadając jej ostateczny kształt artystyczny, już też nie zdołał zebrać w osobno związaną całość książkową. Mieści on zatem przeważnie tylko ułamki, szkice i znaleziska. W ten sposób jest też wyrazem tragicznego losu pisarza, który, zniewolony przez śmierć, odszedł był w połowie pracy, nie wypowiedziawszy się w pełni, nie mogąc zakłść w skończony kształt literacki „najcudowniejszego z swoich marzeń“.

Praca nad *Czantorją* przypada na lata 1928—29, przedśmiertne; stoi ona w związku z ogłoszonym podówczas przez wojewodę śląskiego konkursem powieściowym, w którym Orkan — mając zresztą tytuły wdzięczności wobec województwa — pragnął wziąć udział. W zasadniczym charakterze swym miała powieść ta być pokrewną *Drzewiej*; i ona sięgała czasów, „kiedy do roztek, naturalnem, eposowem życiem napełnionych, przyszedł zwyczajnie człowiek i przywłókł za sobą dramat“. Tyle, że tu zamknięcie dramatu miało być odmienne. Węzeł jego zaś, jak w tamtej powieści tak i w tej, związany był sposobem tradycyjnym, przejętym od innych; tam oparty o „wieść gminną“, tu nieodległy wiązaniu szekspirowskiego *Romea i Julji*, a tylko osadzony

w terenie nieopodal źródeł Wisły i wprowadzony w świat ludzi prostych. *Czantorja* miała być powieścią o miłości pasterskiej, która przemoże zapiekłą nienawiść dwóch rodów. I tutaj także, poza wiązaniem i rozwiązaniem węzła głównego chodziło autorowi o rozwinięcie w utworze uwielbienia dawnej obyczajowości ludowej, o pokazanie świata prymitywnej lecz bogatej wyobraźni, o uwydatnienie przyrodzonej wielkoduszności pierwotnego człowieka górskiego.

Dla ujęcia kolorytu lokalnego, dla wzbogacenia utworu w autentyczny tamtejszy materiał baśniowy, sięgał autor do literatury drukowanej (głównie do relacyj M. Wyslouchowej: *Ze śląskiej ziemi, Z Wisły do Izdebnego*), oraz do żywej tradycji miejscowej (głównie do opowiadań J. Wantuły w Ustroniu); bawiąc w tamtych stronach, nasłuchiwał charakterystycznych pasterskich „helokań“ i t. p. Materiał ten zdołał autor zużytkować w drobnej zaledwie części. Jak widać z zarysu dalszej treści, część wykończona utworu stanowi zaledwie $\frac{1}{4}$ całości. Pozostał w ten sposób jedynie wstępny zacios na dzieło, które, ile z fragmentu wnosić wolno, udalością wykonania osiągnęłoby wyżyny, na której stoi *Drzewiej*.

Pokłosie *Nowel i obrazków* zebrano tutaj w dwie grupy. Pierwsza z nich obejmuje utwory wczesne, które autor, dla jakichś swych racyj, poniechał jużto w rękopisie, już też w pierwodrukach. Są tam i najwcześniejsze, co wykazują właściwą początkującemu autorowi skłonność do osobliwego rodzaju sentymentalizmu w oprawie realistycznej, do surowego, publicystyką podszytego spo-

łecznikowstwa, to znów jakby do pewnego zapatrzenia się w cykl Tetmajerowy. Dla obrazu rozwoju talentu nowelistycznego autora pierwociny te stanowią pozycję nieobojętną.

W grupie drugiej zebrano opowiadania późniejsze, z ostatnich lat życia autora. Wszystkie one powstały z inicjatywy postronnej, z zapotrzebowań szkoły. Zdarzyło się, że mniej więcej równocześnie, r. 1926 i nieco później, dwaj redaktorzy podręczników szkolnych zwrócili się do Orkana o napisanie z poddanego zakresu obrazków, któreby na tle przyrody czy wsi podhalańskiej ukazywały w formie nowelistycznej jakieś charakterystyczne dla obyczaju sceny rodzajowe, lub też poddawały przykłady wyższych dążeń i osiągnięć człowieka. Orkan podjął się zadania ochotnie, bo też rzeczywiście leżało ono na linii jego przyrodzonych skłonności artystycznych. Zawsze najchętniej odsłaniał on ludziom dalszym swoistą urodę kraju swych lat dziecinnych, zawsze biorąc podnietę ze szczegółowo zaobserwowanej dookolnej rzeczywistości, wydobywał z niej wzwyż kierujące wskazania.

Tej szczęśliwie utrafionej inicjatywie postronnej zawdzięczamy — poza pewną ilością obrazków zbyt wyłącznie poświęconych zilustrowaniu jakiegoś tematu szkolnego — znakomitą większość takich, w których artystyzm przedstawienia wziął szczęśliwie górę nad dydaktyką, w których wizja poetycka przeniknęła organicznie w poddane wątki tematyczne, objęła je miłośnicie i wyniosła na wyżyny piękna. W ten sposób uzyskaliśmy utwór o tak czystym i silnym wydzwięku symbolicznym, jak *Orły* (mieszczące w sobie niewątpliwie echa walk

z r. 1920 i n. o zachodnio-południową granicę Polski), o tak wysokich wymiarach powściągliwego patosu heroicznego, jak *Zła zima*, czy rzewności religijnej, jak *Dyzma w Betlejemie*. Pisząc te poddane z boku obrazki nowelistyczne, pokazał autor, że niemasz takich tematów ani okoliczności tworzenia, z którychby szczerzy talent pisarski nie wy dobył dzieła sztuki o wysokim pokroju.

Drugą połowę tomu wypełniają zgromadzone w jedno studja literackie, plon przygodnych wypowiedzi autora w dziedzinie krytyki z całego trzydziestoletniego okresu jego działalności pisarskiej. Wypowiedzi są przygodne, wywołane były prawie zawsze jakąś doraźną potrzebą: są to przeważnie wspomnienia pośmiertne o ludziach miłych sercu autora, przedmowy do bliskich mu dzieł, wystąpienia w obronie dzieł własnych i t. p. Widzimy: — krytykiem ni recenzentem z powołania autor nie był; nawet w tem, co z tej dziedziny przygodnie napisał, chodziło mu nie tyle o sąd bezstronny, wnikliwy i wszechstronny, o uświadomienie czytelnikowi i o umotywowanie pełnej wartości bieżących zjawisk literackich, ile raczej o podniesienie i o uwielbienie wybranych jednostek, dusz ludzkich, bliskich ustrojowo duszy autora, takich jak T. T. Jeź, Wysłouchowa, Bojko, Stan. Witkiewicz, jak cała grupa twórców podtatrzańskich. Niemniej jednak i dla uchwycenia ogólnego nastroju pokolenia, jego różniczkowania w sobie, dla rozpoznania jego miłości (Słowacki!) i wgardliwych niechęci (pozytywizm!) znajdzie badacz epoki niejedno świadectwo cenne w tych przygodnych zwierzeniach krytycznych Orkana.

Taka osobliwego rodzaju jednostronność w sądach

literackich Orkana jest w zgodzie ze stanowiskiem, które on zasadniczo w tych sprawach zajmował, z jego poglądem na rasowe powinowactwo dusz. Gdzieś około r. 1903 powziął był Orkan pomysł rozprawy, czy może nawet większego dzieła, gdzie chciał rozwinąć teoretycznie poglądy swe na naturę dusz ludzkich, ukazać wynikające stąd konsekwencje społeczne, polityczne, religijne, literackie i t. p. Projektował dla tego dziełka tytuły różne, najczęściej: *Teorja socjalna*. Rozmyślał nad niem długo, notował luźne uwagi, szkicował zarys całości, aż ostatecznie zaniechał myśli. Ale echa tej teorji powracają wielekroć w pismach autora, odzywają się w niejednym z ninie zebranych studjów literackich, usłyszymy je nawet jeszcze w *Listach ze wsi*.

Teorja to w poglądach tego pisarza-społecznika wysoce osobliwa i znamienna, właśnie przez to, że niespodziana. Krótko mówiąc, jestto jakby kto na bujnej płonce egalitaryzmu zaszczerpił zraz konsekwentnego elitaryzmu. Orkan, wyrosły w typie myślenia i odczuwania bardzo bliskiego socjalistycznemu, piewca cierpienia, wywołanego krzywdzącym ustrojem społecznym, — przychodzi oto do przeświadczenia, że nierówność ludzi nie jest wytworem złego ustroju świata, ale gruntuje się na jakiejś niepojętej predestynacji. Dusze są sobie nierówne w samych swych istotach i co więcej — nigdy sobie równe nie będą. Jedne są zdatne do najwyższego rozwoju, inne do połowicznego, inne wreszcie do żadnego. Zdatne raz na zawsze. W ramach tych zdatności, jakby zgóry przydzielonych, przyrodzonych, rozwijać się one mogą, pod-



nosić wyżej lub niżej, oczywiście nie bez pewnej zależności także od warunków życiowych.

„Jest stąd ogromny optymizm, że można zdobyć szczęśliwość, i straszny pesymizm, że za w d y będą najniższe stopnie dusz i nigdy wszyscy nie zejda się w rozwoju wyższym“ (str. 261).

Podkreślić zaś trzeba wyraźnie, że ta nierówność ras duchowych nie ma nic wspólnego z ustalonym układem hierarchji społecznej. Dusze zdatne do najwyższych stopni rozwoju mogą się znajdować równie dobrze na nizinach społecznych bytowania, jak i wśród najmniejszych sfer; podobnież jednak zwyczajne tu i tam są dusze-głaby. A to rasowe pokrewieństwo dusz równogatunkowych ma być, zdaniem Orkana, podwaliną przyszłego należytego ustroju świata. Dotychczasowe zasady ugrupowań: klasowość, narodowość, — niczem są, etapem przejściowym (co najwyżej) wobec praw spoistości, umocnionych na tamtem pokrewieństwie ras duchowych.

Nie może tu oczywiście chodzić o ocenę tego pomysłu, o sąd nad jego zasadnością psychologiczną, czy życiową przydatnością. Ani nawet o dochodzenie, którędy dostał się on i ugruntował w pojęciach poety. Trudno jednak nie zaznaczyć, że nie obyło się tam bez wpływu tej atmosfery literacko-artystycznej, w jakiej Orkan znalazł się w Krakowie za wczesnych lat Młodej Polski, a zwłaszcza bez przyczynienia się panujących tam podówczas nagminnie pojęć o twórcy — duszy wybranej, „dostojnej“, kapłańskiej, wyższej ponad przyziemne rzesze pospolitego „filisterstwa“. Kto wie, czy nie tędy, czy nie przez tę krakowską sugestję zjawily się w tworzywie pla-

nowanego dzieła te hasła „świętego anarchizmu artysty“, tak — zdawałoby się — obce strukturze psychicznej Orkana. Sam on wspomina raz, że zapowiedzią, jakby próbą bezświadomą przyszłego elitarnego ustroju, opartego o zasadę ras duchowych, są już współczesne

„zakony“ artystów, wyodrębniających się — przynajmniej w teorji, w pisanem *Confiteor* — od „tłumu“ (str. 267).

Mowa oczywiście o przybyszewszczyźnie, tak zresztą skądinąd niemiłej autorowi *Skapanego świata*.

Kto wie, czy nie jesteśmy tu u źródła tego osobliwego rodzaju rozdwojenia, rozdarcia duchowego, jakie nas uderza i niepokoi w Orkanie-Rakoczym. Orkan-społecznik, uparty entuzjasta gromadzkiej naprawy życia, śpiewak *Pieśni o buncie*, w jakimś momencie i za czyjąś sprawą wchłonął był w siebie silny zaczyn indywidualizmu „młodopolskiego“, kultu duszy wyższej „dostojnej“, — i z wynikłym stąd procesem fermentacyjnym przez długi czas nie mógł się w sobie uporać. Do opanowania go, do wyklarowania się wewnętrznego dochodził właściwie dopiero w okresie *Listów ze wsi*. Tutaj, w strzępach luźnie zanotowanych rozmyślań *Teorji*, wśród jej ech, przewijających się przez sądy literackie, jesteśmy jakby u źródła, w pierwszych stadjach tego procesu, tak doniosłego dla formowania się indywidualności twórczej Orkana.

W ten sposób zetknęlibyśmy się z jednym jeszcze przejawem przyrodzonej, potężnej żywotności tego pisarza, w którego duszy z wyjątkową siłą napięcia i w niebywale bogactwie kłębiła się energia witalna, dążąca przez kolejne przeistoczenia do pełni wyrazu artystycznego.

Tem boleśniej odczuwać musimy tragizm tej twórczości, załamanej i stłumionej, zanim zdołała pochwycić spełna owo marzone „odbicie w mgle pragnionych zdarzeń“ wpierw, nim zatonać miało na zawsze „w pustyni zimnej“.

St. P.

T R E Ś Ć

	Str.
<i>Najcudowniejsze</i>	5
CZANTORJA	7
NOWELE I OBRAZKI. Serja pierwsza	53
Sama	55
Dziki	58
Wyborca	61
„Co ma wisieć — nie utonie“	66
Przezco Sabała omijał jarmark w Kieźmarku	69
Betlejem i Asyz	73
NOWELE I OBRAZKI. Serja druga	81
O stworzeniu Podhala	83
Na hale	87
Owce w burzy	92
Zła zima	96
Orły	101
Prędko Michał	106
Inklus w gospodarstwie	110
Jaś w Chochołowie	116
Dyzma w Betlejemie	120
SZKICE I WSPOMNIENIA LITERACKIE	127
O odczuwaniu dzieła sztuki	129
Pułkownik Miłkowski	137
Marja Wyślouchowa	143
Jakób Bojko jako pisarz	153
Młoda Polska	157
W sprawie Stanisława Brzozowskiego	165
Jan Sten	170
Franciszek Nowicki	174
O Stanisławie Witkiewiczu	192

	Str.
Wspomnienia Witkiewicza	201
„Cichy pan“	207
Podhale w życiu Kasprowicza	211
Wieś Tetmajerów	217
Poeci podhalańscy	221
1. Józef Jedlicz	221
2. Feliks Gwiżdż	223
3. Andrzej Galica	226
Pro domo sua	229
1. O <i>Winę i karę</i>	229
2. Potrójna cenzura	236
O literaturze ukraińskiej	242
1. Współczesna poezja ukraińska	242
2. Powieściopisarze i noweliści	249
3. Michajło Jackiw	253
MYŚLI	257
PLANY POWIEŚCI	275
NOTATKA BIBLIOGRAFICZNA	287
POSŁOWIE	291

WŁADYSŁAW ORKAN

ZBIOROWE WYDANIE DZIEŁ

POD RED. PROF. ST. PIGONIA

Dotychczas ukazały się:

- Drogą Czwartaków i inne wspomnienia wojenne.*
Str. 208. Nakład Gebethnera i Wolffa . . . 5.—
- Listy ze wsi i inne pisma społeczne.* T. I. Str. 281. 5.—
T. II. Str. 269. Nakład Gebethnera i Wolffa . 5.—
- Czantorja.* Nakład Gebethnera i Wolffa.
- Kostka Napierski* (w przygotowaniu). Nakład Gebethnera i Wolffa.
- Pomór* (w przygotowaniu). Nakł. Gebethnera i Wolffa.
- Poezje i dramaty* (w przygotowaniu). Nakład Gebethnera i Wolffa.
- Drzewiej.* Powieść. Str. 229 4.—
- Herkules nowożytny i inne wesole rzeczy.* Str. 204 . 4.—
- Komornicy.* Powieść. Str. 200 4.—
- Miłość pasterska.* Nowele. Str. 209 4.—
- Nad urwiskiem.* Szkice i obrazki. Str. 213 4.—
- Nowele.* Str. 190 4.—
- W Roztokach.* Powieść. Dwa tomy. Str. 485 8.—

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA, ZGODA 12.

WŁADYSŁAW ORKAN LISTY ZE WSI

Tom I. str. 281 Cena zł. 5.—

Tom II. str. 269 Cena zł. 5.—

G Ł O S Y P R A S Y :

...w tych dwóch tomach „Listów ze wsi“, w tej publicystyce i w tem społeczeństwie Orkana są karty tak piękne, takie przepojone poezją, że odczytuje się je jeszcze raz i jeszcze raz. Osobliwie te, które są świadectwem dzieciństwa i młodości poety, gdy wsłuchiwał się on w baśni, opowieści i legendy podhalańskie. Pozatem jest w jego „Listach“ jeszcze cudowna jakaś melancholja. Widzimy na tych kartach świat niedawny przecie, a jednak jakiś daleki już i bezpowrotny. Te „Listy“ są i cenne i piękne. Dobrze się stało, że zostały zebrane i wydane.

P. HULKA-LASKOWSKI, „Tygodnik *Illustr.*“ 7. VI. 1936.

...Listy te są prawdziwą ozdobą współczesnej literatury polskiej. Mówię współczesnej — gdyż choć są w rozmaitych okresach życia Orkanowego pisane — wybiegają ciągle wprzód jak dobrzy, niezastąpieni niekiedy, przewodnicy po zagadnieniach polskiego życia duchowego. Pisane od jednego rzutu łączą w sobie rzecz rzadką: najwyższy wzlot twórczości artystycznej i rzeczowy komentarz.

„*Merkuryusz Polski Ordynaryjny*“, 27. X. 1935.

...Ukazanie się w tych warunkach „Listów ze wsi“ Władysława Orkana było rzeczą potrzebną, ważną i konieczną.

„Listy ze wsi“ w dwóch pierwszych tomach dzieł Orkana, obok innych pism społecznych niewątpliwie najciekawsze, powinny być czytane uważnie. Zawierają niesłychanie dużo precennych wskazówek.

A. CHOR., „*Kurjer Polski*“, 3. XI. 1935.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA, ZGODA 12.

WŁADYSŁAW ORKAN

DROGĄ CZWARTAKÓW I INNE WSPOMNIENIA WOJENNE

Str. 208 Cena zł. 5.—

GŁOSY PRASY:

...Jako tom trzeci pism zebranych Orkana, wychodzących pod redakcją Stanisława Pigionia, ukazują się wspomnienia wojenne: „Drogą Czwartaków“. Ta proza i ta publicystyka jest ogromnie żywa, mocna, bezpośrednia, a zarazem dziwnie bliska dla swojej prostoty i pięknej bezpretensjonalności poety-żołnierza, działacza i publicysty.

P. HULKA-LASKOWSKI, „*Tyg. Illustr.*“, 7. VI. 1936.

...Nieposzlakowana kryształowość języka Orkana, haftowanego tu i ówdzie krzepkim słowem lub zwrotem dialektu podhalańskiego, przyczynia się walcnie do niezapomnianego uroku, jaki się wynosi z lektury tej książki. Stanowi ona rzadki u nas przykład oddania pióra pisarskiego na doraźne potrzeby publicystyki i społeczeństwa bez zatracenia ani na moment wysokich walorów artyzmu bez uszczerbku ani na odrobinę polotu myśli i natchnienia.

MARJAN PIECHAL, „*Gazeta Polska*“, 4. VI. 1936.

...„Drogą Czwartaków“ — należy do najciekawszych dzieł Orkana. Wszystkie te pejzaże wyszły spod ręki autora „*Drzewiej*“ — mają lekki subtelny koloryt jakby „Droga Czwartaków“ nie była usłana trupami i krwią lecz miłością i entuzjazmem.

J. N. KŁOSOWSKI, „*Dzien. Pozn.*“, 8. IV. 1936.

**NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA, ZGODA 12.**

WŁADYSŁAW ORKAN

DZIEŁA

POD REDAKCJĄ
STANISŁAWA PIGONIA

DOTYCHCZAS WYSZŁY Z DRUKU:

NOWELE, z przedmową K. Tetmajera.

NAD URWISKIEM, szkice i obrazki.

KOMORNICY, powieść.

W ROZTOKACH, powieść, 2 tomy.

HERKULES NOWOŻYTNY i inne wesołe rzeczy.

MIŁOŚĆ PASTERSKA, nowele.

DRZEWIEJ, powieść.

DROGĄ CZWARTAKÓW i inne wspomnienia
wojenne.

LISTY ZE WSI i inne pisma społeczne, 2 tomy.

CZANTORJA i pozostałe pisma literackie.

W PRZYGOTOWANIU:

POEZJE, wydanie zbiorowe.

DRAMATY.

POMÓR, powieść.

KOSTKA NAPIERSKI, powieść.

*Wydanie Dzieł Władysława Orkana
wychodzi przy pomocy zasiłku Funduszu Kultury
Narodowej.*